

CO PO COVIDZIE
Popękana władza,
zagubiona opozycja

ŚWIĘTO CIAŁA
Jak działa Bóg
w naturze

POLACY NA ZBIORACH
Prawdziwe koszty
szparaga

NASZE STADO
Ilu trzeba
mieć znajomych

WŚRÓD SROK
Dżentelmeni
i gangsterzy

Kraków 6 czerwca 2021 nr 23 (3752)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Więzień numer jeden

BIAŁORUŚ:
jak dyktator
miażdży
rewolucję
i sztydzi
z Europy



ISSN 0041-4808 NR INDEKSJ 379,425



TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”,
czyli wszystkie światy pod jednym adresem

- Co się wydarzyło w ostatnim pokoju na lewo
- Zbyt krótka sofa dla Herberta
- Zebrania pod Najjaśniejszym Panem
- Obiady czwartkowe i redakcyjna drużyna piłkarska
- Sensacje historyczne: autor, który został papieżem
- Uroki Ziuty i różdżka asystenta kościelnego
- Ks. Boniecki w kuchni



weź, czytaj!

Już w sprzedaży
w punktach z dobrą prasą
i na powszech.net/wislana12

TYGODNIK
POWSZECHNY



WYDANIE WSPIERA

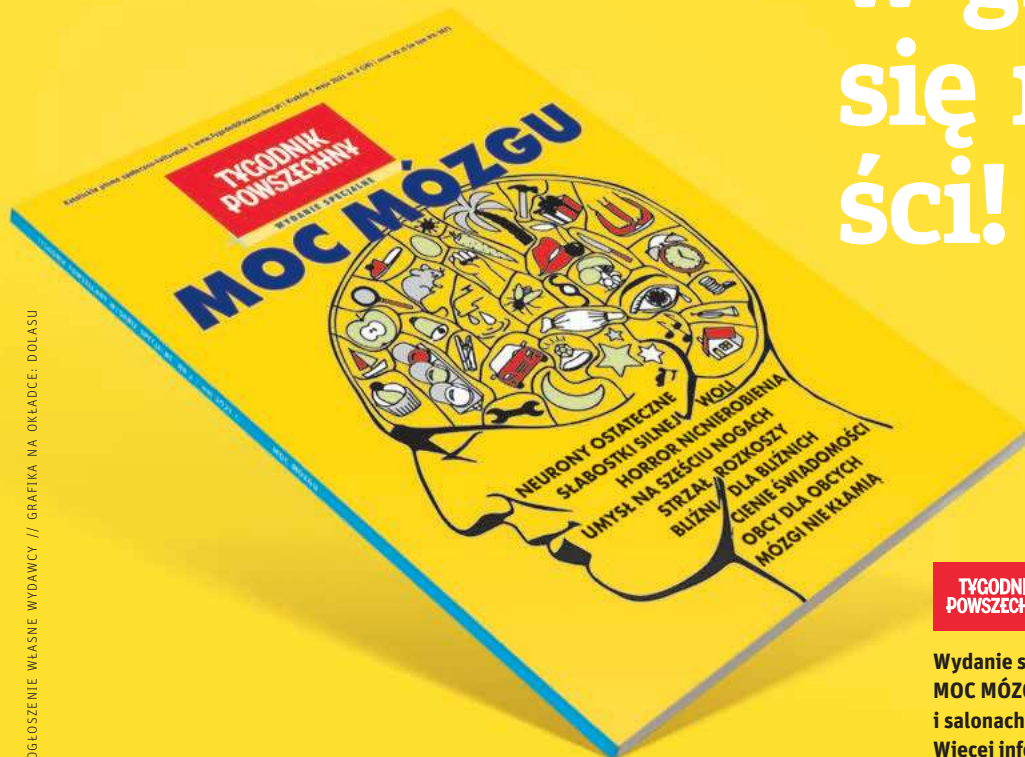


PARTNERZY WYDANIA:



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK

w głowie się nie mie- ści!



TYGODNIK
POWSZECHNY

Wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”
MOC MÓZGU w sprzedaży – szukaj w kioskach
i salonach prasowych.
Więcej informacji na powszech.net/mocmozgu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: DOLASU

KS. ADAM

Boniecki: Myślę o nim jako o dziecku

DYKTATORZY NIE LUBIĄ DYSYDENTÓW. JEŚLI KONIECZNOŚĆ liczenia się z opinią międzynarodową utrudnia im użycie środków ostatecznych, mają inne sposoby: albo zmuszanie dysydentów do emigracji (co jest ryzykowne, bo nie wiadomo, co wyjęty spod kontroli – zwłaszcza więziennej – dysydent za granicą wymyśli), albo też, przeciwnie – porywanie tych, którzy za sprawą swojej emigracyjnej działalności okazali się zbyt dużym zagrożeniem, i przedstawienie ich w roli na przykład terrorystów.

Historia XX wieku uczy, że – zależnie od okoliczności – dyktatorzy często decydowali się na jedną albo drugą metodę. Czasem osoba, którą wcześniej zmuszono do emigracji, była porywana albo zwabiana. I tak, w inteligencji widząc zwolenników starego systemu, wolnomysłicieli i buntowników, w 1922 r. Lenin dokonał – przy pomocy Feliksa Dzierżyńskiego i podległej mu bezpieki (wtedy pod nazwą GPU) – deportacji kilkuset ludzi, inteligentów. Także później władcy Związku Sowieckiego sięgali po ten środek. Aleksander Sołżenicyn – więzień i autor dzieła „Archipelag Gułag”, przełomowego dla postrzegania Związku Sowieckiego na Zachodzie – barwnie opisał swoją deportację w 1973 r., kiedy to został pozbawiony obywatelstwa i wydany z kraju. Wprost z więzienia przewieziono go do samolotu. Dopóki nie wylądował we Frankfurcie nad Menem, nie wiedział, dokąd go wywożą. Wielu dysydentów znalazło się wtedy za granicą i tam prowadziło dalszą działalność. Na wolności, ale jednak poza ojczyzną.

Z punktu widzenia władz bolszewickich i potem sowieckich takie rozwiązanie nie było jednak idealne: z przeciwnikami pozostającymi za granicą stale były kłopoty. W książce „Dzierżyński. Miłość i rewolucja” Sylwia Frołow opisuje skomplikowaną operację zwabienia z powrotem do Rosji jednego z tych kłopotliwych emigrantów, Borysa Sawinkowa. Ten dawny minister w rosyjskim demokratycznym rządzie Aleksandra Kiereńskiego całkiem skutecznie działał w Euro-



pie, docierając do najwyższych szczebli władzy różnych państw. Lenin uważał go za wroga numer jeden, zasłużenie. Należało więc doprowadzić do tego, by Sawinkow uwierzył, że w Rosji powstała potężna organizacja antybolszewicka, która czeka na niego, na doświadczonego przywódcę. Bezpieka sama stworzyła taką organizację, a właściwie jej pozór. Sawinkow uwierzył, przyjechał i wpadł w ręce GPU. Świadom tego,

co się stało, popełnił samobójstwo. Takich operacji przeprowadzono więcej – w Związku Sowieckim i także w komunistycznej Polsce (sprawa tzw. V Zarządu WiN).

Teraz jest inaczej. Bezpieka podległa Alaksandrowi Łukaszence, który bezprawnie używa dziś tytułu prezydenta, nawet nie próbuje zwabiać na Białoruś takich ludzi jak Raman Pratasiewicz czy Sciapan Puciła – twórców sukcesu, którym okazał się prowadzony przez nich internetowy kanał informacyjny Nexta. Dla Białorusinów odgrywa on dziś podobną rolę, jak kiedyś dla nas Radio Wolna Europa: jest źródłem nieocenzurowanych informacji. W tym numerze publikujemy wywiad z 22-letnim Sciapanem Puciłą i opisujemy, co dzieje się na Białorusi. Porwany z pokładu samolotu Pratasiewicz jest jednym z wielu, którzy doświadczają represji: uwięzienia, cierpienia, tortur. Takich ludzi są tam tysiące. Kilkuset z nich usłyszało w ostatnich miesiącach wyroki więzienia. Wielu straciło życie – jak 50-letni Witold Aszurok, kilka dni temu zakatowany w więzieniu, albo 17-letni Dymitrij Stachouski, który – po postawieniu mu zarzutów – nie wytrzymał presji i popełnił samobójstwo.

Raman Pratasiewicz ma 26 lat. Myślę o nim jako o dziecku, inaczej nie umiem. Łukaszenka zaliczył go do terrorystów. To, co stało się w niedzielę 23 maja w Mińsku, pokazało nie tylko arogancję dyktatora, ale przypominało, w jakim świecie żyjemy. Tego chłopca poddano torturom, bo mówił i upowszechniał prawdę o dyktatorze. Czy to znaczy, że jest rzecznikiem przegranej sprawy? To zależy także od nas, od wolnego świata.

© P

Głusi w Polsce Niewysłuchana mniejszość

Bohaterami tekstów Anny Goc są osoby głuche, które posługują się polskim językiem migowym (PJM), a język polski jest dla nich językiem obcym. Jak się im żyje w naszym kraju? Czy ich prawa są respektowane? Na czym polega audyzm, czyli dyskryminacja osób głuchych? Kim są Głusi przez duże „G” i co się kryje za hasłem „duma z bycia Głuchym”?

Czytaj w specjalnym serwisie powszech.net/niewysluchani



**22 W nową normalność
chwijnym krokiem**
KAROLINA LEWICKA
*Marazm ostatnich
miesięcy był tłumaczony
obostrzeniami, ale
po ich zniesieniu
opozycja wydaje się być
zaskoczona możliwością
nieskrępowanego działania.*



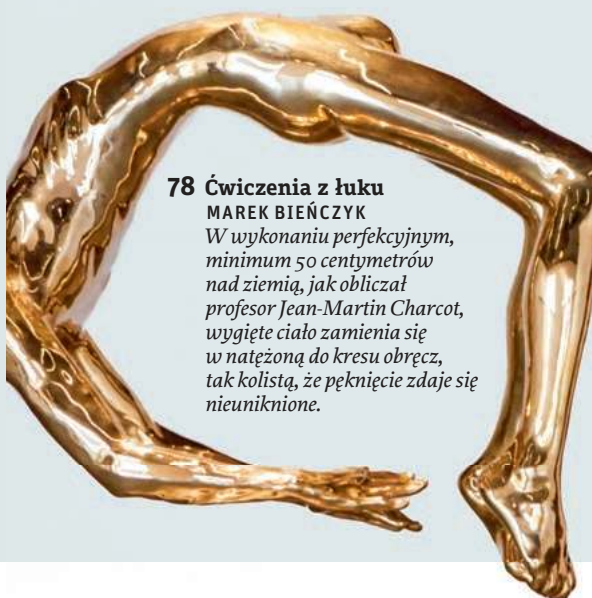
34 Ciało Boga
ROZMOWA Z KS. TADEUSZEM PABJANEM,
FILOZOFEM PRZYRODY:
*Obecny stan wszechświata jest przejściowy.
Pełnia wciąż przed nami.*



**68 Dyskretny
urok rebelii**
ROZMOWA
Z AGNIESZKĄ
TABORSKĄ,
PISARKĄ:
*Nigdy nie kłamałam,
byłam grzeczną
dziewczynką,
niestety. Postaram się
to wkrótce nadrobić
jako staruszka.*



44 Prawdziwe koszty szparaga
ŁUKASZ GRAJEWSKI
Z BRANDENBURGII
*Korespondent „Tygodnika”
zatrudnił się na niemieckiej
farmie szparagów. W tym świecie
Polacy i Rumuni są obywatelami
drugiej kategorii.*



78 Ćwiczenia z łuku
MAREK BIEŃCZYK
*W wykonaniu perfekcyjnym,
minimum 50 centymetrów
nad ziemią, jak obliczał
profesor Jean-Martin Charcot,
wygięte ciało zamienia się
w napiętą do kresu obręcz,
tak kolistą, że pęknięcie zdaje się
nieuniknione.*



**86 Dzień dobry,
sroko**
MONIKA
OCHĘDOWSKA
*Gdy jedna
z nich umiera,
kilka ptaków
zbiera się wokół
martwego
osobnika,
próbując
go ocucić.
Najpierw
krzyczą, potem
zapada cisza.*

- 6 Skąd się wziął koronawirus**
WOJCIECH BRZEZIŃSKI,
AGATA KAŻMIERSKA

7-11 Obraz tygodnia

- 20-21 Czytania / Widzenia**
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

- 22 W nową normalność
chwiejnym krokiem**
KAROLINA LEWICKA

- 26 Iskrzenie**
MAREK RABJI:
*Awaria w Bełchatowie i zamieszanie
wokół kopalni Turów to zwiastuny
poważniejszych problemów*

- 28 Proszę coś zrobić z córką**
PAULINA ZYWAR:
*Nauczyciele Lidii wiedzą o orzeczonem
ADHD. Ale karzą „za złe zachowanie”*

■ ■ WIARA

- 34 Ciało Boga**
ROZMOWA Z KS. TADEUSZEM
PABJANEM

- 38 Sprawy domowe**
MARCIN CHODUŃ:
*Dom siostr Siłkowskich w Wadowicach
był dla Karola Wojtyły wyjątkowym
miejscem*

- 41 Ważny każdy głos**
PIOTR SIKORA o przygotowaniach
papieża Franciszka do najbliższego
synodu

■ ■ ŚWIAT

- 44 Prawdziwe koszty szparaga**
ŁUKASZ GRAJEWSKI

- 50 Covid, kłamstwa i pies
narzeczony**
PATRYCJA BUKAŁSKA:
*Wielka Brytania jako jeden
z pierwszych krajów zaczyna
rozliczać rządzących*

TEMAT TYGODNIKA

STRINGER / TASS / FORUM



- 12 Łukaszenka kontratakuję**
WOJCIECH KONOŃCZUK

Od miesiąca na Białorusi dzieje się
bezprawie na wielką skalę. Dyktator
z Mińska uznał, że tylko masowe represje
uratuja jego władzę.

- 16 Wyciągamy cegielkę po cegielce,
żeby mury runęły**

ROZMOWA ZE SCIANEM PUCIĄ:
Zatrzymując Ramana Pratasiewicza,
reżim Łukaszenki pokazał, że jest gotowy
na wszystko, żeby zastraszyć ludzi.

- 19 Byłem tu**
MARCIN ŻYŁA

Przymusowe lądowanie samolotu
linii Ryanair przypomina, że skutki
międzynarodowej polityki mogą dopaść
wszystkich – i prawie wszędzie.

■ ■ FELIETONY ■

- 33 DOROTA MASŁOWSKA 43 ZUZANNA RADZIK**
63 ANDRZEJ STASIUK 84 JAN KLATA
85 PAWEŁ BRAVO 90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: RAMAN PRATASIEWICZ
PROJ. GRAF. MAREK ZALEJSKI
FOT.: EURORADIO / AP / EAST NEWS

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

- 52 Nie macie tu czego szukać**
PAULINA MAŚLONA Z BARCELONY
*o kryzysie między Hiszpanią
a Marokiem*

- 54 Związki partnerskie dzielą Litwę**
DOMINIK WILCZEWSKI

■ ■ HISTORIA

- 56 Trwanie śladu**
MATEUSZ FAŁKOWSKI: *Upamiętnienie
Polaków, którzy zgineli, ratując
żydowskich sąsiadów, nie jest
wymierzone w kogokolwiek*

■ ■ NAUKA

- 60 Małpie rachunki**
ŁUKASZ KWIATEK: *Czy ludzie mogą
mieć jedynie 150 przyjaciół?*

- 64 Wielkie Pytania na nowo**

■ ■ KULTURA

- 68 Dyskretny urok rebelii**
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ TABORSKĄ

- 72 Dzień po końcu świata**
PIOTR KOSIEWSKI: *Joanna Rajkowska
zajmuje się pamięcią, której nie
dostrzegamy lub wypieramy*

- 74 Horror nieczystego sumienia**
JAKUB MAJMUREK: *Serial „Nadciągaj
noc” stawia pytanie, jak daleko możemy
się posunąć, by uciec od konfrontacji ze
złem, które popełniliśmy*

- 76 Bliscy oddaleni**
ANITA PIOTROWSKA o filmie „Ojciec”
w reżyserii Floriana Zellera

- 84 Praca nad umieraniem**
LEKTOR o książce Ignacego Karpowicza
„Cicho, cichutko”

■ ■ Z ODDECHEM

- 78 Ćwiczenia z łuku**
MAREK BIEŃCZYK

- 83 Tygodnik Czytelników**

■ ■ ZMYŚŁY

- 86 Dzień dobry, sroko**
MONIKA OCHĘDOWSKA

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Strona świata

Po raz drugi w ciągu niespełna roku wojsko przejęło władzę
w Mali – o zamachach stanu, zmorze afrykańskich państw,
które znów wracają do mody, pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ Własny pokój [Podkast Powszechny]

Matka, nawet gdy nie jest twórczynią, to jest ciągle oceniana.
No, ale trudno. Jest takie pojęcie: wystarczająco dobra matka.
I to mi się podoba – opowiada **IWONA CHMIELEWSKA**,
autorka i ilustratorka książek dla dzieci i dorosłych powszech.net/podkast

Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



SKĄD SIĘ WZIĄŁ KORONAWIRUS

Biały Dom chciał „ucięcia spekulacji” w sprawie pochodzenia SARS-CoV-2.
Nie udało się. Czy laboratorium w Wuhan
było jednak powiązane z wybuchem pandemii?

AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

MNIEJ WIĘCEJ ROK TEMU PREZYDENT DONALD Trump zaczął lansować teorię, że koronawirus pochodzi z laboratorium w Wuhan. Teraz jego następca, Joe Biden, ogłosił, że chce nowego śledztwa wywiadu w tej sprawie. To – jak zapowiedział Biały Dom – ma uciąć spekulacje o pochodzeniu wirusa.

Pekin zareagował furją. Rzecznik chińskiego MSZ oskarżył Waszyngton o nieodpowiedzialność i brak szacunku dla nauki. „Ich celem jest stygmatyzowanie nas i polityczne manipulacje” – grzmiał podczas konferencji prasowej.

Choć ostatnio w mediach ponownie pojawiają się doniesienia o tajemniczym pochodzeniu

SARS-CoV-2, to za sprawą badań genomu wirusa konsensus naukowy w tej sprawie już od dawna jest jasny. Genetycy pod kierownictwem Kristiana Andersena z Laboratorium Scripps wykluczyli, by wirus został stworzony przez człowieka. Z ustaleń naukowców wynika, że SARS-CoV-2 zawiera przypadkowe, rozrzucone po całym kodzie genetycznym mutacje, wynikające z naturalnych procesów. Gdyby wirus był stworzony w laboratorium, naukowcy znaleźliby w nim całe bloki genów z innych wirusów.

Co więcej, badaczom udało się odtworzyć kroki ewolucyjne, jakie SARS-CoV-2 musiał wykonać, by zarazić człowieka. Najbardziej prawdo-

Mieszkańcy Wuhan nad rzeką Jangcy, która po obfitych opadach zalała bulwary i park. Chiny, 26 maja 2021 r.

podobny scenariusz wygląda tak: hodowane na przemysłową skalę zwierzęta (cywety, łuskowce albo bambusowce) weszły w kontakt z występującym u miejscowych nietoperzy wirusem o 96-procentowym pokrewieństwie z SARS-CoV-2. Następnie wirus przeszedł mutację w organizmie nowego nosiciela, która pozwoliła mu na efektywne zakażenie człowieka. Podobną drogę, z nosicielem pośrednim, pokonało wcześniej wiele innych wirusów, wśród nich HIV, SARS czy MERS. Teraz na tej samej ścieżce może być ptasia grypa. Eksperci od lat przestrzegają, że to konsekwencja dewastacji środowiska naturalnego. Pandemia COVID-19 w tym kontekście może być strzałem ostrzegawczym.

To jednak nie wyklucza możliwości, że „pacjentem zero” był ktoś zatrudniony w Instytucie Wirusologii Wuhan, na którym skupiają się teorie o pochodzeniu innym niż naturalne. Opublikowany niedawno raport, mający pochodzić z amerykańskiego wywiadu, wskazuje, że w listopadzie 2019 r. troje pracowników laboratorium trafiło do szpitala z objawami podobnymi do grypy. Oficjalnie pierwsze przypadki COVID-19 zarejestrowano miesiąc później. Czy laboratorium badało wyizolowanego w przyrodzie wirusa, który na skutek wypadku wydostał się na zewnątrz? Tego też nie da się wykluczyć, choć to wciąż mało prawdopodobne.

Opublikowany w marcu raport WHO wskazywał taki scenariusz jako najmniej realny. Jego autorów z międzynarodowego zespołu skrytykowano jednak za ścisłą współpracę z chińskimi władzami.

Oświadczenie prezydenta USA dało pożywkę nowej fali sensacyjnych teorii, choć jasno wyrażoną intencją Białego Domu jest „ucięcie spekulacji” w sprawie pochodzenia wirusa. Na razie efekt jest jednak odwrotny. Facebook, który od miesięcy zabiegał, by rozprzestrzeniające się w portalu kłamstwa nie zniweczyły wysiłków na rzecz walki z pandemią (za co był oskarżany o cenzurę), teraz na decyzję Bidena zareagował dopuszczając publikowanie treści, które wcześniej blokował.

Dodatkowo problemem może okazać się to, że Joe Biden dał agencjom wywiadowczym na dojście do sedna sprawy 90 dni. Eksperci są przekonani, że to za mało czasu. ©

Szczepienia czekają na ludzi

MACIEJ MÜLLER



SZCZYT MAMY JUŻ ZA SOBĄ. NIESTETY, CHODZI O SZCZYT ZAINTERESOWANIA SZCZEPNIENIEM PRZECIW COVID-19. W ubiegłym tygodniu liczba dziennych wkluczeń nie przekroczyła już – jak w poprzednich tygodniach – 400 tys. Eksperci są zgodni, że tempo akcji będzie już tylko spadać.

Rząd próbuje temu zapobiec – od 1 lipca ma ruszyć loteria. Raz na tydzień można wygrać 50 tys., nagrodami są też hulajnogi, vouchery, a nawet samochody hybrydowe. „Na razie nasza polityka polega na przekonywaniu, a nie stosowaniu środków przymusu” – deklaruje min. Adam Niedzielski, nie kryjąc przy tym, że „dochodzimy do punktu przesilenia” i już w czerwcu „to szczepienia będą czekać na ludzi”. Narracja skupia się na razie na podkreślaniu ułatwień dla zaszczepionych (np. prostszy dostęp do opieki medycznej i usług publicznych, na koncerty czy mecze), na budzeniu społecznej odpowiedzialności i przekonywaniu, że wolność osobista kończy się tam, gdzie zaczyna bezpieczeństwo innych. Wielu skutecznej argumentacji dostarcza pracodawca – bo zaszczepienie załogi jest warunkiem *sine qua non* normalnej pracy firm. O tym, jak trudno przekonać nieprzekonanych, świadczy kazus krakowskiej AGH. Kiedy uczelnia za-

prosiła studentów i pracowników na szczepienia w czerwcu, padły oskarżenia o łamanie praw człowieka, zmuszanie do udziału w eksperymencie i wprowadzanie segregacji. Protestującym nie spodobała się zapowiedź, że zasady udziału w zajęciach dla osób niezaszczepionych „mogą być uciążliwe”, ponieważ „będą musiały one zostać objęte systemem specjalnej ochrony fizycznej i organizacyjnej dla zapewnienia im bezpieczeństwa”.

Minister zdrowia opowiada się na razie za miękkimi metodami perswazji, coraz częściej pojawiają się jednak – także w otoczeniu rządowym – postulaty zaostrzenia kursu. Dr Konstanty Szuldrzyński z Rady Medycznej przy premierze ocenił w rozmowie z Polsatem, że szczepienia powinny być obowiązkowe. „Jeśli są obowiązkowe przeciwko gruźlicy, to dlaczego nie przeciw COVID-19? Koronawirus jest znacznie groźniejszy” – argumentował.

Dostrzegalne ostatnio wzrosty zakażeń w Wielkiej Brytanii świadczą o realnym zagrożeniu, jakie niesie wariant indyjski koronawirusa, bardziej zakaźny od brytyjskiego. Szczepienia wprawdzie chronią przed nim skutecznie, ale dopiero po dwóch dawkach. Stawką jest osiągnięcie odporności zbiorowej, a czas pracuje na naszą niekorzyść. ©

Odporność na COVID-19 może być wieloletnia

W BŁOGICH CZASACH przed pandemią SARS-CoV-2 inne gatunki koronawirusów powodowały nawet 30 proc. zwykłych przebiegów. Po takiej sezonowej infekcji uzyskuje się krótką odporność – do 12 miesięcy. Dlatego obawa, że odporność przeciwko wirusowi, który w grudniu 2019 r. pojawił się w Wuhan, również będzie krótkotrwała, towarzyszyła naukowcom od początku pandemii.

W ostatnim czasie pojawiły się jednak dwie prace sugerujące, że odporność, jaką zyskują ozdrowieńcy, może utrzymywać się bardzo długo. Zijun Wang z Uniwersytetu Rockefellera w Nowym Jorku i współpracownicy zaobserwowali, że u 63 przebadanych ozdrowieńców przeciwciała i limfocyty B (komórki pamięci immunologicznej) były na stałym poziomie między 6. i 12.

miesiącem od przechorowania. Szczepienia w tej grupie wywołały dodatkowe wzmocnienie odporności i „zaktualizowanie” jej o nowe warianty komórek i białek.

Z kolei w badaniu opublikowanym w „Nature” przez Jacksona S. Turnera i współpracowników u 15 z 19 przebadanych ozdrowieńców w aspiracie ze szpiku kostnego po siedmiu miesiącach od pierwszych objawów znaleziono komórki plazmatyczne, które ciągle produkują niewielkie ilości przeciwciał. Pomimo tego, że miano (ilość) przeciwciał z miesiąca na miesiąc spadało, naukowcy zauważają, że nasza odporność na SARS-CoV-2 opiera się na dwóch filarach – komórkach pamięci i długo żyjących komórkach plazmatycznych, a to być może pozwoli dłużej uchronić się przed reinfekcją.

Co więcej, ci sami badacze w nieopublikowanej jeszcze pracy sugerują, że podobne komórki mogą powstawać w wyniku zaszczepienia, choć na ostateczny dowód trzeba będzie jeszcze poczekać. © BARTOSZ KABAŁA

DOMINIKA CHABIN-PACTWA,
PREZESKA FUNDACJI „NIEODKŁADALNI”:

Przewijamy Polskę

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Do niedawna to był temat tabu.



ARCHIWUM PRYWATNE

DOMINIKA CHABIN-PACTWA: Bo także my, opiekunowie, nie domagaliśmy się zmian: dostosowania toalet w miejscach publicznych tak, by również

osoby całkiem zależne – a nie tylko te potrafiące przesiąść się z wózka na muszlę klozetową – mogły z nich godnie skorzystać. Chodzi o przekształcenie toalet oraz zamontowanie przewijaków. Od jednej z koleżanek, matki 36-latką, usłyszałam, że przez dekady przewijała go na podłogach, i nawet jej do głowy nie przyszło, że można inaczej. Inni nie wychodzili z domów. O upokorzeniu mówią też same osoby zależne.

Co mówią?

Że gdy wychodzą, unikają wcześniej – nawet przez dobę! – picia wody. Że biorą przed wyjściem środki na... biegunkę. Z kolei opiekunów osób zależnych łączy jedno: powtarzają, że ze wszystkim muszą sobie radzić sami, że mają nawet przymus życia wiecznie, by nie zostawić dzieci. Teraz postanowiliśmy zawalczyć o godność naszych podopiecznych.

Czyli tysiący, dla których jest akcja „Przewijamy Polskę”.

Zainicjowana przez Annę J. Nowak z poznańskiego Stowarzyszenia na Rzecz Dzieci i Dorosłych z Mózgowym Porażeniem Dziecięcym „Żurawinka”, nagłośniona przez warszawską Fundację „Integracja”, a wsparta przez kilka innych organizacji. Pierwsze instytucje już zadeklarowały zmiany, przykładem gliwickie centrum handlowe Arena. Czekamy na kolejne instytucje – publiczne i prywatne. Taki remont to niewielki wydatek, a może zmienić życie wielu ludzi. ©P

Do akcji można się zgłaszać, kontaktując się z jedną z organizacji-inicjatorów: gliwickimi „NieOdkładalnymi”, „Integracją”, „Żurawinką”, Fundacją „Mali Siłacze” z Krakowa bądź Lubelskim Forum Organizacji Osób Niepełnosprawnych.

KRAJ W SKRÓCIE

ZAWIADOMIENIE

NIK skierował do prokuratury zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez premiera Morawieckiego, szefa KPRM Dworczyka, ministrów Sasina i Kamińskiego w związku z podjętą bez podstaw prawnych organizacją wyborów kopertowych. Prokuratura podlega ministrowi Ziobrze, który orzekł, że w sprawie tamtych wyborów powinna odpowiadać opozycja.

ORZECZENIE

Sąd Najwyższy orzekł, że prawo do oddychania czystym powietrzem nie należy do tzw. dóbr osobistych, choć potwierdził, że zły stan środowiska może naruszać zdrowie, prywatność i wolność. Rozstrzygnięcie było efektem jednej z toczonych przed sądami niższych instancji spraw, w których ofiary smogu domagają się zadośćuczynienia od Skarbu Państwa.



TOMASZ KAWKA / EAST NEWS

GŁOSOWANIE

Sejm głosami większości rządowej wybrał dr. Karola Nawrockiego, dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, na prezesa IPN. Kandydaturę musi jeszcze zaakceptować Senat, co nie jest oczywiste.

POMYLENIE

Choć może bardziej prawdopodobne, niż się wydaje: postulowana przez opozycję preambuła do ustawy ratyfikującej Fundusz Odbudowy nie została przyjęta przez Senat, bo jeden z senatorów KO przez pomyłkę głosował przeciw, a drugi „z powodów technicznych” nie wziął udziału w głosowaniu.

Zmienne sojusze wokół RPO

TO PIĄTE PODEJŚCIE do wyboru rzecznika praw obywatelskich. Zgodnie z dżentelmeńską umową Jarosława Kaczyńskiego i Jarosława Gowina, tym razem kandydatkę – bo sugerowano Lidię Staroń – miało wskazać Porozumienie. Tyle że namaściło ono Marka Konopczyńskiego. Profesor nie uzyskał poparcia PiS, jego kandydatura przetrwała raptem dobę, sam zrezygnował, po czym doszło do odwrócenia sojuszy.

Gowin i trzech jego wiceministrów poparło wskazanego przez ludowców kandydata niemal całej opozycji (Konfederacja się waha) – prof. UW Marcina Wiacka, który zresztą reprezentował Porozumienie w sporze z Adamem Bielanem. A PiS wystawiło Staroń, bo – jak mówił Ryszard Terlecki – „bardzo chciała”. Sejm ma głosować nad kandydatami 15 czerwca, wynik jest trudny do przewidzenia.

To kolejny zgrzyt między koalicjantami. Poza tym trwa spór o Polski Ład. Wprawdzie Gowin podpisał się pod dokumentem, ale już kilka dni później zakwestionował plan podwyższenia podatków przedsięwzięt. To rozwiązanie chętnie poprze Lewica, ale wicepremier pogroził, że „jeśli PiS zamierza rządzić z Lewicą, to oznacza to koniec projektu Zjednoczonej Prawicy”.

Rozbrat może nastąpić jeszcze wcześniej – w czerwcu Bielan i wyprowadzeni przez niego z Porozumienia politycy będą się łączyć z Partią Republikańską, by następnie doszłusować, jako czwarty podmiot, do obozu władzy. Bielan wchodzi, my wychodzimy – ostrzega Porozumienie.

© KAROLINA LEWICKA

Autorka jest dziennikarką Radia TOK FM.

Kapitał na wagę wygranej

SĄD OKRĘGOWY w Białymstoku oddalił powództwo banku ING BSK, podzielając zdanie wcześniejszych instancji w sprawie roszczenia o opłatę za korzystanie z kapitału wobec posiadacza kredytu hipotecznego w obcej walucie.

Najprawdopodobniej to dopiero pierwsze takie orzeczenie w sprawie frankowej, ale o potencjalnie przełomowym znaczeniu dla ponad 30 tys. polskich rodzin, które złożyły przeciw bankom pozwy o unieważnienie umów kredytu indeksowanego kursem franka szwajcarskiego. Argumentu o konieczności zapłaty za kapitał udostępniony w ramach unieważnionej umowy banki używają od pewnego czasu jako straszaka, mającego zniechęcić klientów do wchodzenia w spór sądowy. Czynią to pomimo stanowiska Rzecznika Finansowego, który już w ub. roku w podobnej sprawie orzekł, że tego typu roszczenie nie ma podstawy ani w prawie polskim, ani unijnym. Do identycznych wniosków doszedł teraz sąd. W sprawie legalności opłat za korzystanie z kapitału głos jeszcze w marcu miał zabrać Sąd Najwyższy, ale jego posiedzenie już kilka razy odwołano. ©P MR

Śmierć emira, czyli Państwo Islamskie atakuje

ABUBAKAR SHEKAU, przywódca (zwany emirem; na zdjęciu obok) nigeryjskich džiha-dystów z ugrupowania Boko Haram, zginął w leśnym obozowisku na pograniczu Nigerii i Kamerunu. Nigeryjskie wojsko, które od lat toczyło z nim wojnę i kilkakrotnie ogłasza-ło, że zginął, tym razem jest powściągliwe. Nie chce się znów wystawiać na szyderstwa, gdyby wieść miała okazać się nieprawdziwa. Powściągliwość bierze się także z tego, że je-śli Shekau faktycznie zginął, to nie zabili go żołnierze, lecz niedawni towarzysze broni, którzy – nie mogąc znieść jego metod walki i rządów – dokonali rozłamu i przystali do Państwa Islamskiego, jako jego ekspozytura (zwana wilajetem) w Afryce Zachodniej.

Powstały na przełomie stuleci ruch reli-gijno-zbrojny Boko Haram od 2009 r. toczy wojnę na północnym wschodzie Nigerii, na północy Kamerunu i na wybrzeżach jeziora Czad, w Nigrze i Czadzie. W samej Nigerii wskutek zamachów i działań zbrojnych dži-hadystów zginęło co najmniej 40 tys. ludzi, a 2 mln straciły domy. Teraz, po śmierci She-kaua, Boko Haram zostanie zapewne wchło-nięte przez Państwo Islamskie, które prze-jmie kontrolę nad rebelią nad jeziorem Czad, a walka z nim będzie jeszcze trudniejsza.

Państwo Islamskie, rozbite w Iraku i Syrii, odradza się w Afryce. Jego bojownicy mają



AFP / EAST NEWS

obozowiska w Libii i toczą swoje wojny od Somalii na wschodzie, przez pustynie i sa-wanny Sahelu (Niger, Mali, Burkina Faso), po Wybrzeże Kości Słoniowej i Benin na za-chodzie. Teraz obszar ich działań rozciągnie się na południe aż po jezioro Czad.

Bojownicy Państwa Islamskiego zdo-bywają też przyczółki na wschodnim wy-brzeżu Afryki, gdzie od wieków żyją liczne wspólnoty muzułmanów, a nawet w samym jej sercu, w Kongu, gdzie rozłożył się Środko-woafrykański Wilajet, obejmujący też Ugan-dę, Tanzanię i Mozambik.

© P. WOJCIECH JAGIELSKI

Więcej w internetowej rubryce autora
„Strona świata”

Macron w Kigali

NA FRANCJI CIAŻY „straszliwa odpowiedzial-ność” za ludobójstwo w Rwandzie – oświad-czył Emmanuel Macron podczas wizyty w tym wschodnioafrykańskim państwie. Zdaniem francuskiego prezydenta, w 1994 r. jego kraj popełnił błąd, popierając ówczesne, sprzymierzone z nim rwandyjskie władze, które inicjowały masowe zabijanie. W ciągu kilku miesięcy zginęło ok. 800 tys. Tutsich i umiarkowanych Hutu (obie grupy etnicz-ne tworzą niemal całość rwandyjskiego spo-lecznościwa).

„Tylko ci, którzy przeżyli, mogą, być może, wybaczyć” – powiedział Macron. Sło-wo „przepraszam” nie padło, ale dla wielu Rwandyjczyków to i tak dużo. Wystąpie-nie było konsekwencją raportu, który pre-zydent zamówił dwa lata temu, otwierając przed grupą historyków państwowe archi-wa. Badacze uznali, że administracja ówcz-esnego francuskiego przywódcy François Mit-

terranda przymykała oczy na przygotowania do ludobójstwa Tutsich, prowadzone przez jego rwandyjskiego odpowiednika Juvénala Habyarimana. Śmierć Habyarimana w kata-strofie lotniczej w kwietniu 1994 r. zapoczątkowała masakry.

Ludobójstwo zakończyło w lipcu 1994 r. zajęcie Kigali, stolicy kraju, przez rebelian-tów dowodzonych przez Paula Kagamego. Teraz – jako prezydent Rwandy – uznał on wystąpienie francuskiego gościa za „akt nie-zwykłej odwagi”. Po ponad dwóch dekadach rządów Kagamego państwo przeżywa go-spodarczy boom, ale organizacje praw czło-wieka oskarżają go o autorytaryzm, a dysy-denci uciekają za granicę. Przyjazd Macro-na kończy „cichą wojnę” między Paryżem a Kigali wokół wydarzeń sprzed 27 lat. Kil-ka miesięcy temu francuska policja arešto-wała także biznesmena Féliciena Kabuge, który finansował niesławne Radio Tysiąca Wzgórz (na jego antenie podżegano do za-bijania) i import, tuż przed ludobójstwem, pół miliona maczet. © P. MARCIN ŻYŁA

Ani wolne, ani uczciwe



PAWEŁ PIENIAŻEK

CHOĆ SYRYJCZYCY MIELI DO WYBO-ru trzech kandydatów, to wybór był żaden. Od początku było jasne, że zwycięzcą może być tylko Baszar al-Asad, rządzący od 21 lat. Według oficjalnych danych w wyborach pre-zydenckich z 26 maja (przeprowadzo-nych na terenach kontrolowanych przez Damaszek) miał on otrzymać 95,1 proc. głosów. Tym samym za-początkował swoją czwartą już sied-mioletnią kadencję. Klan Asadów (bo przed Baszarem rządził jego ojciec Hafiz) będzie zatem rządził Syrią już niemal sześć dekad.

Asad z żoną Asmą oddali głosy w mieście Duma, nieopodal stołecz-nego Damaszku. Duma była jednym z symbolów powstania przeciw Asa-dowi, które wybuchło w 2011 r., a po-tem przerodziło się w wojnę (naj-pierw domową, a potem z udziałem także innych krajów). W 2018 r. to właśnie w Dumie miało dojść do ata-ku chemicznego, o który oskarżany jest reżim. „Dziś dowodzimy z Dumy, że naród syryjski jest jednością” – mó-wił Asad. Jednak Syria pozostaje głę-boko podzielona. Od 2011 r. zginęło ok. 400 tys. ludzi (to ostrożne sza-cunki), a ponad połowa z 22-milio-nowej populacji musiała opuścić domy, z czego aż 5 mln uciekło za granicę. Choć Asad, wspierany przez Rosję i Iran, kontroluje dziś trzy czwarte kraju, a zeszły rok był naj-spokojniejszy od 2011 r., wojna da-leka jest od zakończenia. Kraj jest zrujnowany, podobnie gospodarka. Czwarta część Syrii jest pod kontro-lą różnych grup zbrojnych: sił kur-dyjskich i rebelianckich (te trzymają się jeszcze głównie w prowincji Idlib); Państwo Islamskie działa we wschod-nich regionach.

W przeddzień rytuału wyborczego USA, Wielka Brytania, Niemcy, Fran-cja i Włochy we wspólnym oświadcze-niu uznały, że wybory nie są „ani wol-ne, ani uczciwe”. Natomiast opozycja (mocno podzielona) nazwała je „farsą”. Zwycięstwa Asadowi pogratulowały m.in. Chiny, Iran i Rosja. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

LITURGIA

Po raz pierwszy w bazylice św. Piotra w kaplicy Europy w Grotach Watykańskich została odprawiona liturgia prawosławna (na zdjęciu). Zorganizował ją Bułgarski Kościół Prawosławny w ramach corocznej pielgrzymki do grobu św. Cyryla w rzymskiej bazylice św. Klemensa z okazji prawosławnej uroczystości świętych Cyryla i Metodego.



VATICAN NEWS

KARA

Zakaz uczestniczenia w celebracjach i spotkaniach publicznych oraz w zebraniach episkopatu, nakaz życia w duchu pokuty oraz nakaz wpłaty odpowiedniej sumy na rzecz Fundacji Świętego Józefa – takie kary nałożył Watykan na bp. Tadeusza Rakoczego. Biskup senior diecezji bielsko-żywieckiej jest piątym polskim hierarchą ukaranym w związku z zaniechaniami w sprawach nadużyć seksualnych popełnionych przez duchownych wobec osób małoletnich.

PROPOZYCJA

Debatę episkopatu z gronem osób z różnych środowisk zainteresowanych wyjściem Kościoła z kryzysu zaproponował dominikanin o. Adam Szustak podczas spotkania z abp. Stanisławem Gądeckim. Przewodniczący episkopatu zaprosił znanego rekolekcyjnego na rozmowę po tym, jak o. Szustak ostro skrytykował biskupów.

Ten wyjazd biskupom się należy

EDWARD AUGUSTYN



INFORMACJA, ŻE POLSCY BISKUPI ZOSTALI WEZWANI przez papieża „na dywanik”, wzbudziła wiele emocji. Ale mówią one więcej o nas, społeczeństwie (a przynajmniej o dużej jego części), niż o rzeczywistej relacji między Watykanem a episkopatem. Są wyrazem oczekiwania – wręcz pragnienia – by papież wreszcie zrobił porządek w polskim Kościele. Przekonania, że jedynym ratunkiem jest jego osobista interwencja.

Podobne nastroje panowały dwa lata temu, gdy do Polski przyjeżdżał abp Charles Scicluna, zwany „pogromcą pedofilów”, którego raport doprowadził do dymisji episkopatu Chile. Jego wizyta miała charakter szkoleniowy, ale i tak wszyscy czekali na szeryfa.

Biskupi pojadą w październiku do Rzymu z długo oczekiwaną i planowaną wizytą „ad limina apostolorum”, którą prawo nakazuje składać regularnie co pięć lat. I nie ma w tym niczego nadzwyczajnego.

Gdyby Franciszek chciał ich wezwać w trybie pilnym, dałby im nie pięć miesięcy, ale pięć tygodni, jak biskupom chilijskim w 2018 r. Albo zarządził wizytację polskich diecezji, tak jak

w ubiegłym tygodniu zrobił w diecezji kolońskiej.

Najwyraźniej nie widzi potrzeby. Duża liczba spraw z Polski – przeciwko księżom wykorzystującym nieletnich i biskupom ukrywającym przestępców – świadczy, paradoksalnie, na korzyść polskiego Kościoła: mechanizmy samooczyszczenia działają. Ukaranie w ciągu roku pięciu polskich hierarchów było możliwe dzięki postępowaniom prowadzonym przez metropolitów z Poznania, Warszawy czy Krakowa. A sprawnie działająca sieć diecezjalnych delegatów ds. ochrony nieletnich jest podawana za przykład dla innych. Co oczywiście nie znaczy, że nie ma problemów. Ale – z punktu widzenia Watykanu – nie są większe niż w innych krajach i nie rozwiąże się ich jedną szybką decyzją.

Nagłych, zbiorowych i spektakularnych dymisji nie będzie. Ale trochę stresu dobrze biskupom zrobi. Zbyt rzadko są rozliczani ze swojej pracy. Miejmy nadzieję, że rozmowa z Franciszkiem, który jest nieczuły na okrągłe słowa, będzie konkretna i trudna.

Niech jadą. Ten wyjazd im się po prostu należy. ©

Coraz więcej świeckich w strukturach Kościoła

FRANCISZEK wielokrotnie apelował, by biskupi dzielili się odpowiedzialnością ze świeckimi – a zwłaszcza o to, by w struktury kościelne w większym stopniu angażowano kobiety. W krajach niemieckojęzycznych pojawia się coraz więcej odpowiedzi na ten apel.

Ostatnio metropolita Kolonii kard. Rainer Maria Woelki mianował Carmen Breuckmann-Giertz doradczynią ds. formacji kleryków i diakonów. Niemiecka teolożka wraz z nowym regensem studiów i ojcem duchownym seminarium kolońskiego utworzy zespół odpowiedzialny za przygotowanie przyszłych księży.

Na rewolucyjny krok w porozumieniu ze Stolicą Apostolską zdecydował się szwajcarski biskup Lozanny, Genewy i Fryburga Charles Morerod. Zapowiedział on, że wikariuszami biskupimi mianuje diakona oraz dwoje świeckich – kobietę i mężczyznę. Wikariusz biskupi z w imieniu biskupa sprawuje władzę wykonawczą „w określonej części diecezji lub w oznaczonym zakresie spraw”. Kodeks prawa kanonicznego zaleca, by wikariuszami zostawali „kapłani, którzy ukończyli co najmniej 30 lat, posiadający doktorat lub licencjat z prawa kanonicznego lub teologii”. ©

ARTUR SPORNIAK

Różnie w Boże Ciało

TRUDNIEJ BĘDZIE w tym roku spotkać procesję idącą ulicami w uroczystość Bożego Ciała. Z powodu pandemii biskupi zalecają, by odwieczyny czterech ołtarzy odbywały się na terenach przykościelnych z zachowaniem reżimu sanitarnego (odstęp między ludźmi powinien wynosić 1,5 m), a także unikanie organizowania wspólnej procesji przez kilka parafii.

W większości diecezji to proboszczowie decydują, czy procesja ma się odbyć. W diecezjach płockiej i częstochowskiej biskupi zalecają zorganizowanie adoracji Najświętszego Sakramentu w kościołach. W Legnicy ma się odbyć centralna procesja z katedry do sanktuarium św. Jacka, ale bez zatrzymywania się przy czterech ołtarzach.

Nie wszyscy w równym stopniu zalecają środki ostrożności. Kuria w Kaliszu przypomina, że nie ma nakazu noszenia maseczki na świeżym powietrzu, natomiast kuria kielecka to zaleca, przewidując trudności z zachowaniem dystansu. ©

ASK



WIELKA LITERA / MATERIAŁY PRASOWE

ZAMIEŃIŁ TYCH KILKA POKOI swojego wydawnictwa w dom dla pisarzy. Szczęśliwą wysepkę w mieście. Prawdziwe „u siebie” dla swoich autorów. Mówił do nas „kochana”, „kochany”, bo żywił mocne uczucia i wszystko go głęboko dotykało. Już nie zdążymy mu oddać tej miłości. 27 maja 2021 roku w wieku 53 lat zmarł na covid Paweł Szwed, Wydawca, szef Wielkiej Litery, Przyjaciół. Cześć Jego Pamięci. © MAREK BIEŃCZYK

Embriony: badania będą dłuższe

MIĘDZYNARODOWE TOWARZYSTWO Badań nad Komórkami Macierzystymi (ISSCR) opublikowało nowe, bardziej liberalne rekomendacje dotyczące eksperymentów naukowych z udziałem ludzkich embrionów. Dotychczasowa reguła dopuszczająca hodowanie zarodków przez 14 dni od zapłodnienia obowiązywała od 1979 r., kiedy techniczne możliwości pozwalały na maksymalnie pięciodniową hodowlę. Granicę 14 dni wyznacza początek rozwoju pierwszych zawiązków centralnego układu nerwowego, choć pierwszy neuron powstaje dopiero po 40. dniu życia.

W najnowszych wytycznych ISSCR nie wydłuża tego okresu, ale znosi całkowicie górną granicę, pozostawiając decyzję o długości każdego eksperymentu w gestii lokalnych komisji bioetycznych. Zalecenia Towarzystwa nie są obowiązującym prawem, jednak wiele państw tworzy swoje regulacje właśnie na ich podstawie.

Nowe zasady wzbudzają etyczne wątpliwości, ale według części badaczy pozwolą lepiej poznać rozwój zarodków między 14. a 28. dniem od zapłodnienia. To czas kluczowy dla powstawania i różnicowania tkanek, a więc także pojawiania się wielu chorób i przyczyn poronień. Do tej pory część naukowców badała rozwój zarodkowy przy pomocy modeli embrionów stworzonych z komórek macierzystych. Teraz pojawi się możliwość skonfrontowania ich z rzeczywistymi zarodkami. © BK

KULTURA W SKRÓCIE

WOJNY STREAMINGOWE

Właściciel Amazona kupił legendarne hollywoodzkie studio MGM, wzbogacając się o kilka tysięcy filmów, w tym serię przygód Bonda.

Nie tak dawno w celu poszerzenia swojej oferty streamingowej Disney przejął kultową wytwórnię 20th Century Studios. Z tego powodu doszło także do fuzji WarnerMedia i Discovery.

ZMIANY W LUWRZE

Dotychczasowa szefowa Muzeum Orsay, Laurence des Cars, została nową dyrektorką Luwru. 54-letnia historyczka sztuki jest także pierwszą kobietą, która poprowadzi to największe muzeum na świecie. Zastąpi Jeana-Luca Martineza, który kierował nim od 2013 r.

REPUBLIKA MARZEŃ

Prestiżowa niemiecka wytwórnia Deutsche Grammophon wyda autorską płytę pianistki, kompozytorki i wokalistki Hani Rani oraz wiolonczelistki Dobroslawy Czoher. Duet ma już na koncie płytę z kompozycjami Grzegorza Ciechowskiego „Biała flaga”.

KREATYWNY KIERUNEK

Uniwersytet Warszawski otwiera nowe kierunki studiów. Tegoroczni maturzyści obok nanoinżynierii i chemii jądrowej mogą wybrać także sztukę pisania. W programie warsztaty poetyckie i krytyczne, zajęcia z projektowania książek, tworzenia seriali i sztuki horroru.



PATRYCYJA BUKAL-SKA

opowie Agnieszce Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM o tym, jak Wielka Brytania wychodzi z pandemii (tekst na s. 50), w środę 2 czerwca o godz. 15.20 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl

Co się stało z Naszą Klasą

MAREK RABIJ



MILLENIALSI WZRUSZĄ PEWNIE ramionami, ale dla pokolenia 40-latków, którzy wchodzili w dorosłość w świecie bez internetu, to wiadomość o znaczeniu wykraczającym daleko poza sferę biznesowych statystyk: 27 lipca br. serwis Nasza Klasa zakończy działalność.

Witryna jest dziś praktycznie martwa, decyzja jej aktualnego właściciela, spółki Ringier Axel Springer Polska była więc niejako do przewidzenia. A jednak żal – nie tylko wzruszeń towarzyszących odnajdywaniu od dawna niewidzianych koleżanek i kolegów czy gorączkowemu przeglądaniu galerii szkolnych zdjęć. Historia Naszej Klasy stanowi bowiem idealną ilustrację fenomenu mediów społecznościowych (pamiętacie jeszcze termin Web2.0?), które przez tych kilkanaście lat przeszły ewolucję od narzędzia do produktu i od wspólnoty do korporacji. A przede wszystkim – od zabawy do zagrożenia dla życia publicznego.

W listopadzie 2006 r. czterech studentów informatyki Uniwersytetu Wrocławskiego założyło serwis umożliwiający nawiązanie kontaktu ze szkolnymi znajomymi. Już pod koniec pierwszego dnia działalności witryna miała tysiąc użytkowników. Do lutego było ich już 100 tys. W szczycie popularności – aż 14 milionów.

Bez algorytmów wzmacniających efekt społecznej bańki, podsuwania tematów do polaryzacji i manipulacji w wynikach wyszukiwania, Naszej Klasie udało się zbudować – a w zasadzie na chwilę odbudować – prawdziwe mikrowspólnoty klasowe. Jej równie szybki uwiad niejako wpisany był w genialną prostotę tego pomysłu: zaspokoiwszy głód stojący za jego narodzinami, serwis po prostu przestał być potrzebny.

Współczesne media społecznościowe pod tym względem bardziej przypominają używki niż pożywienie: coraz częściej korzystamy z nich tylko dlatego, że musimy. © P

ŁUKASZENKA KONTRATAKUJE

Od miesiąca na Białorusi dzieje się bezprawie na wielką skalę.
Dyktator z Mińska uznał, że tylko masowe represje
uratują jego władzę.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Mińsk, Białoruś, 25 października 2020 r.

GDY SAMOŁOT LINII RYANAIR LECĄCY z Aten do Wilna został zmuszony do lądowania na mińskim lotnisku, uwaga światowych mediów znów skupiła się na Białorusi. Jednym z pasażerów był 26-letni Raman Pratasiewicz: opozycyjny dziennikarz i współtwórca sukcesu Nexty, czyli działającego z Warszawy kanału w komunikatorze Telegram. Nexta jest dziś jednym z najważniejszych niezależnych mediów białoruskich, a Łukaszenka jest przekonany, że bez Nexty nie byłoby masowych protestów po sfałszowanych wyborach prezydenckich z sierpnia 2020 r. Czytana przez ok. 2 mln Białorusinów (tj. co piątego mieszkańca kraju), Nexta wystąpiła wówczas jako ośrodek próbujący organizować i koordynować protesty.

Pratasiewicz, od kilku miesięcy redaktor naczelny innego antyreżimowego kanału (działającego z Wilna), oraz 22-letni założyciel Nexty Sciajan Puciła [wywiad



z nim publikujemy w tym numerze – red.] stali się jednymi z głównych wrogów reżimu. Aby dopaść przynajmniej jednego z nich, Mińsk zdecydował się na uprowadzenie obcego samolotu. Przy okazji zatrzymano Sofię Sapięgę, partnerkę Pratasiewicza, która podróżowała wraz z nim.

Po dwóch dniach białoruskie KGB (tajna policja nosi tutaj tę samą nazwę, co w czasach sowieckich) opublikowało krótkie nagranie, na którym Pratasiewicz przyznaje się do zarzucanych mu czynów (grozi mu za to długoletnie więzienie). Na jego twarzy widać przypudrowane ślady bicia. Nie ma wątpliwości, że KGB ma swoje sposoby – fizyczne i farmakologiczne – aby wymusić zeznania. Niewykluczone, że Sapięga została wzięta jako zakładniczka, aby jej losem można było szantażować Pratasiewicza. Na wszelki wypadek została aresztowana na dwa miesiące – prokuratura twierdzi, jakoby

była współtwórczynią innej antyreżimowej strony internetowej.

Za sprawą uprowadzenia Pratasiewicza sytuacja na Białorusi wróciła na czołówki światowych mediów. Po tym, gdy późną jesienią 2020 r. wygasły masowe protesty, świat stracił zainteresowanie tym krajem. Niesłusznie. Być może porwanie samolotu sprawi, że do zachodniej opinii publicznej dotrze teraz, iż reżim białoruski od miesięcy stosuje wobec zbuntowanego społeczeństwa represje, jakich w Europie nie było od czasu konfliktów w byłej Jugosławii.

Spójrzmy na wybrane tylko wydarzenia, które miały tam miejsce od połowy maja. Pokazują one, jak działa aparat represji.

14 MAJA: PROCES STUDENTÓW. Tego dnia w Mińsku zaczął się proces jedenastu studentów kilku stołecznych uczelni i jednego wykładowcy, którzy od listopada

2020 r. przebywają w areszcie. Prokuratura oskarża ich o organizację i nawoływanie do udziału w protestach. Wśród nich jest Alana Gebremariam, przedstawicielka Światłany Cichanouskiej ds. młodzieży i studentów.

Od sierpnia 2020 r. z obawy przed aresztowaniem z Białorusi uciekło (głównie na Litwę, do Polski i na Ukrainę) co najmniej kilkuset studentów, którzy gremialnie wsparli antyreżimowe demonstracje. Wielu innych zostało skazanych na kary więzienia. Nie należy mieć złudzeń: wspomniana dwunastka podzieli ich los. Nie zdarzyło się jeszcze, aby w sprawach politycznych białoruskie sądy wydały choćby jeden wyrok uniewinniający.

RÓWNIEŻ 14 MAJA: ZAKAZ „EKSTREMIZMU”. Łukaszenka podpisał znowelizowaną na pilnie ustawę o „przeciwdziałaniu ekstremizmowi” i ustawę o „niedopuszczalności rehabilitacji nazizmu”.

→



→ Ta pierwsza znacząco zaostrza obecne – i tak już restrykcyjne – prawo. Za ekstremizm – czytaj: za wszelką działalność opozycyjną – uznano obrażę przedstawicieli władzy i instytucji państwowych, a także organizację „wszelkich akcji zakłócających porządek społeczny”. Działalnością ekstremistyczną (w istocie opozycyjną) stał się więc także udział w niesankcjonowanych demonstracjach czy protestach, o ile jakiegokolwiek obrażenia poniosłaby w nich co najmniej jedna osoba lub doszłoby do strat materialnych.

Ustawa o „zakazie rehabilitacji nazizmu” jest zaś przygotowaniem do uznania flagi biało-czerwono-białej – historycznej flagi wolnej Białorusi – za symbol nazistowski; z ludźmi, którzy noszą na demonstracjach takie flagi – lub choćby elementy ubrania w takich barwach – reżim walczy od miesięcy.

17 MAJA: WOLNE RĘCE SŁUG REŻIMU. Łukaszenka podpisał nowelizację ustawy o bezpieczeństwie narodowym, która bardzo upraszcza możliwość użycia siły przez funkcjonariuszy organów państwowych wobec protestujących. Nie będą odpowiadać za jakiegokolwiek szkody wyrządzone w trakcie użycia broni czy innych środków przymusu. Przyznano im też praktycznie nieograniczone prawo do inwigilacji obywateli i podmiotów prawnych bez sankcji sądu. Nowe prawo ma służyć zapewnieniu funkcjonariuszy, że za przemoc wobec współobywateli nie spotka ich żadna kara. Reżim zresztą od dawna wysyła sygnały, że w razie potrzeby nie zawaha się wydać rozkazu otwarcia ognia do protestujących.

Tego samego dnia Łukaszenka podpisał też ustawę o ochronie sędziów, funkcjonariuszy i urzędników organów ochrony porządku prawnego i pracowników organów ochrony państwowej. Zwiększa ona bezpieczeństwo osób tworzących system i ich rodzin. Wszystko w trosce o samopoczucie milicjantów, prokuratorów, sędziów czy dziennikarzy mediów państwowych, którzy mają mieć poczucie przynależności do elitarnej kasty.

18 MAJA: ATAK NA TUT.BY. Milicja wtargnęła do biura Tut.by – najpopularniejszego niezależnego portalu internetowego w kraju – oraz do mieszkań jego kluczowych pracowników. Prokuratura Generalna podała, że ma to związek z „pu-

blikowaniem niedozwolonych treści” i „uchylaniem się od płacenia podatków”.

Trzyście osób z kierownictwa portalu zatrzymano, a portal, z którego regularnie korzystało ponad 60 proc. Białorusinów, został wyłączony. Władze, które już wcześniej często krytykowały Tut.by za nieprawomysłne poglądy, a w istocie za zbyt słabą autocenzurę, tym razem uznały, że jedynym pewnym rozwiązaniem problemu będzie zniszczenie portalu.

19 MAJA: NAKLEJKA STUDENTKI. Wioleta Ludczyk, studiująca na Białoruskim Uniwersytecie Państwowym, została zatrzymana przez ochronę uczelni za biało-czerwono-białą naklejkę na laptopie. Wezwana milicja oskarżyła ją o udział w niesankcjonowanej akcji ulicznej, a sąd skazał na grzywnę (równowartość 4,2 tys. zł, czyli wysokość przyzwoitej dwumiesięcznej pensji w Mińsku). To jeden z tysięcy podobnych wyroków wydanych w ostatnich miesiącach. Wystarczy mieć historyczną flagę w oknie czy naklejkę z historycznym godłem Pogoni na aucie, by narazić się na zatrzymanie, kilkunastodniowy areszt czy nawet więzienie.

Wyroki są przy tym bezprawne, gdyż dopiero przygotowywane są zmiany w prawie, które zdelegalizują posiadanie biało-czerwono-białej flagi. Zdaniem kierownictwa Głównego Wydziału do Walki z Przestępczością Zorganizowaną „nadszedł czas, by zrobić porządek” i zrównać historyczny sztandar z symboliką nazistowską.

20 MAJA: POLACY W GORSZYM WIĘZIENIU. Media ujawniły, że Andżelika Borys, Andrzej Poczubut, Irena Biernacka i Maria Tiszowska – zatrzymani w marcu aktywiści Związku Polaków na Białorusi (ZPB) – zostali przeniesieni z aresztu Władarka w Mińsku do złej sławy więzienia w mieście Żodzino. Trzymani są w przepełnionych 15-osobowych celach, gdzie trzeba spać na zmianę.

Prokuratura oskarża ich o „podżeganie do nienawiści na tle narodowościowym” i „rehabilitację nazizmu”, co zagrożone jest karą do 12 lat więzienia. Przygotowywany jest ich proces. Jednocześnie prokuratura pracuje nad sprawą karną przeciw rzekomym zbrodniom popełnionym na Białorusi przez Armię Krajową, nazywaną „formacją nazistowską”.

Tego samego dnia odrzucona została apelacja Igora Bancera, białoruskiego mu-

zyka i byłego rzecznika prasowego ZPB, skazanego na półtora roku prac przymusowych za „obnażenie się przed milicjantem” [wywiad z Bancerm publikowaliśmy w „TP” nr 16; na naszej stronie internetowej zamieściliśmy osobny tekst o sprawie Bancera – red.].



21 MAJA: TRZYNASTU SKAZANYCH. Sąd w Brześciu skazał trzynastu młodych ludzi (w tym dwóch nieletnich) na kary od trzech do pięciu lat więzienia za „działania poważnie naruszające porządek społeczny”, czyli za udział w sierpniowych protestach. Wśród skazanych jest 18-letnia WITALIJA BONDARENKO (na zdjęciu powyżej), która jeszcze w styczniu uciekła z kraju. Na wieść, że zatrzymano jej 17-letniego chłopaka, Dżianisa Chazieję, postanowiła wrócić, aby pomóc go bronić. W marcu sąd skazał jego i ośmiu jego kolegów (wśród nich nieletnich) na kary od trzech do czterech lat więzienia o zaostrzonym rygorze „za udział w pogromach i biciu milicji”. Witalija została zatrzymana kilka dni przed wydaniem tego wyroku.

Wciąż trwa proces ponad pięćdziesięciu uczestników brzeskich protestów z 9 sierpnia (tego dnia z rąk milicji zginął jeden z uczestników, Hienadź Szutau) i ponad siedemdziesięciu pokojowych demonstrantów z 13 września (tzw. sprawa korowodu), którym zarzucono blokowanie ruchu komunikacji miejskiej, klaskanie i wykrzykiwanie haseł. 32 z nich już skazano na przymusowe roboty w otwartych zakładach karnych.

RÓWNIEŻ 21 MAJA: ATAK NA BIEŁSAT. Do mińskiego studia Biełsat, białoruskojęzycznej telewizji nadającej z Warszawy, wtargnęła milicja; zatrzymano sześć osób ze służby technicznej. Cztery z nich skazano następnie na 15-dniowy areszt za

„niepodporządkowanie się funkcjonariuszom”. Minister spraw wewnętrznych oświadczył, że pracownicy Bielsatu zajmowali się „przygotowywaniem fejkowych informacji o organach władzy państwowej”.

Kilka dni później do Kijowa uciekła dziennikarka Bielsatu Alina Malinowska, prowadząca program „Szczyra kaza” („Szczerze mówiąc”). Stało się to po tym, jak zaczęli ją nachodzić kagiebiści – spodziewała się aresztowania. Już po wyjeździe zadzwonił do niej mąż jej siostry, mówiąc, że został zatrzymany przez nieznaną osobę, i że nie zostanie wypuszczony, dopóki Malinowska nie wróci na Białoruś. Nawiązując do tradycji sowieckiej, reżim pokazuje, że nie tylko „wrogowie” nie mogą się czuć bezpieczni, ale też ich rodziny.

Jednocześnie w Bielsat uderzyły reżimowe media, zarzucając stacji „antybiałoruskość”. Może to być przygotowanie do całkowitego sparaliżowania działalności kanału na Białorusi. W ostatnich miesiącach jego dziennikarze byli wielokrotnie skazywani na kary do kilkunastu dni aresztu, a dwójka – Kaciaryna Andrejewa i Daria Czulcowa – zostały w lutym skazane na dwuletnie więzienie [pisaaliśmy o nich w „TP” nr 6 – red.]. Za kratami przebywa dziś kilkudziesięciu dziennikarzy.



KANAL NEXTA LIVE / TELEGRAM

22 MAJA: ŚMIERĆ OPOZYCYJNISTY. Więzienie w Szklowie poinformowało, że „na serce” zmarł 50-letni **WITOLD ASZURAK** (na zdjęciu powyżej), znany opozycjonista i działacz społeczny z Lidy. Jeszcze w styczniu został skazany na pięć lat więzienia za „działania poważnie naruszające porządek społeczny”. Ciało wydano rodzinie dopiero po kilku dniach. Jego głowa była cała w bandażach, usta ledwie widoczne. Służba więzienna twier-

dzi, że „ciało wyslizgnęło się przy wyciąganiu z łodówki”.

23-letnia **SOFIA SAPIEGA**, studentka uniwersytetu w Wilnie i partnerka Ramana Pratasiewicza, podróżowała wraz z nim i także została aresztowana na mińskim lotnisku. Niewykluczone, że po to, aby jej losem można było szantażować Pratasiewicza.

KANAL MOJA OJCZYZNA BIAŁORUŚ / TELEGRAM



45-letni **PAWEŁ SIAWIARYNIEC**, jeden z przywódców opozycji, siedział w areszcie od czerwca 2020 r.; zatrzymano go „prewencyjnie” przed wyborami. 25 maja usłyszał wyrok 7 lat ciężkiego więzienia. Wraz z nim na podobne kary skazano sześcioro innych działaczy.

KANAL MOJA OJCZYZNA BIAŁORUŚ / TELEGRAM



dzi, że „ciało wyslizgnęło się przy wyciąganiu z łodówki”.

Od końca kwietnia Aszurak, który nigdy wcześniej nie skarżył się na problemy z sercem, przestał odpowiadać na listy od rodziny. Wcześniej pisał, że więźniowie polityczni muszą nosić żółte łaty, mające odróżnić ich od innych skazanych.

Pogrzeb Aszuraka w rodzinnej wiosce na Grodzieńszczyźnie zgromadził kilkaset osób. Otwartą trumnę przykryto flagą biało-czerwono-białą. Niezależne media białoruskie cytowały wypowiedź jednego z żałobników: „Nie jest potrzebna żadna niezależna sekcja zwłok. To było wyjątkowo brutalne morderstwo. Póki reszowana twarz to jeszcze nic. Złamany nos, opuchnięte ręce. Proszę wybaczyć te okropne szczegóły, ale jego oczy były niewidoczne (...) Jego mama siedziała i płakała: »Za co oni tak ciebie, syneczku, że aż twoje oczka powypływały«. W kondolencjach przesłanych rodzinie premier Mateusz Morawiecki przypomniał, że dziadek Witolda Aszuraka został zamordowany w Katyniu.

23 MAJA: REJS ATENY-WILNO. Stopniowo poznajemy kolejne szczegóły tego porwania. Reżim od początku utrzymywał, że samolot musiał lądować, gdyż istniało zagrożenie bombowe. Maila z groźbą zde-

tonowania ładunku wybuchowego miał wysłać Hamas (organizacja zaprzeczyła). Potem okazało się, że ów mail wysłano... już po lądowaniu samolotu w Mińsku. Wbrew chaotycznym wersjom władz nie jest prawdą, że Warszawa odmówiła przyjęcia samolotu ani że istniało zagrożenie dla elektrowni atomowej w Ostrowcu, ani że pilot sam prosił o zgodę na lądowanie w Mińsku. O ile reżim gubi się w coraz bardziej absurdalnych zeznaniach, o tyle poza Białorusią niemal nikt nie ma wątpliwości, co się wydarzyło.

24 MAJA: KAGANIEC NA MEDIA. Łukaszienka podpisał kolejny dekret kagańcowy wymierzony w niezależne media i wolność zgromadzeń. Tym razem na dziennikarzy nałożono zakaz relacjonowania wydarzeń organizowanych bez zgody władz (np. protestów antyreżimowych) oraz zakaz publikowania badań opinii publicznej przeprowadzonych bez licencji władz. Z kolei Ministerstwo Informacji otrzymało prawo do zamknięcia każdej redakcji bez decyzji sądu.

25 MAJA: SIEDEM LAT WIĘZIENIA. Sąd w Mińsku skazał Pawła Siawiaryncę, jednego z przywódców opozycji, na siedem lat ciężkiego więzienia za „organizowanie masowych rozruchów”. ➔

→ Siawiaryniec przebywał w areszcie od czerwca 2020 r., gdy zatrzymano go „prewencyjnie” w ramach przygotowań reżimu do wyborów. Amnesty International uznało go za więźnia sumienia.

Razem z Siawiaryncem do więzienia na kilka lat wysłano sześciu innych działaczy opozycji. Większość działaczy opozycji białoruskiej jest dzisiaj na emigracji lub w więzieniu.

26 MAJA: SAMOBÓJSTWO 17-LATKA. Mińszczanin **DZMITRYJ STACHOUSKI** (na selfie poniżej), popełnił samobójstwo, skacząc z wieżowca. W pożegnalnym liście 17-latek napisał: „Winę ponosi Komitet Śledczy. Nie jest tajemnicą, że postawiono mi zarzuty z art. 293 par. 2 kodeksu karnego. W skrócie – za udział w demonstracjach. Gdyby nie ciągła moralna presja na mnie, nie zdecydowałbym się na tak okropny krok jak samobójstwo”.



Dzień wcześniej chłopak został wezwany na przesłuchanie. Groziło mu osiem lat więzienia.

Ciąg dalszy trwa

To zaledwie niektóre z działań reżimu Łukaszenki w ostatnim czasie. Nie wiadomo dokładnie, ile osób przebywa w aresztach i więzieniach z powodów działalności opozycyjnej. Za więźniów politycznych uznano dotąd 436 osób, ale lista ta z pewnością znacznie się wydłuży. Niemal codziennie sądy wydają wyroki skazujące wobec uczestników demonstracji z lata i jesieni 2020 r., a wiele procesów jeszcze się nie rozpoczęło.

Nie należy mieć złudzeń – trwające od kilku miesięcy masowe represje szybko

się nie skończą. Oczywistym celem reżimu jest zastraszenie społeczeństwa, aby nikt już nie śmiał wychodzić na ulicę, pisać negatywnych komentarzy o milicji w mediach społecznościowych, nosić flagi biało-czerwono-białej czy choćby niewielkiego znaczka z Pogonią.

Zachód musi działać

Bezprecedensowe represje na Białorusi odbywają się także dlatego, że reżim czuje się bezkarny. Z jednej strony ma wsparcie ze strony Władimira Putina, który podobne działania obserwuje z nieukrywaną satysfakcją (jest też prawdopodobne, że uprowadzenie samolotu było wspólną akcją służb białoruskich i rosyjskich). Można powiedzieć, że prezydent Rosji stał się gwarantem przetrwania Łukaszenki – po raz kolejny Putin demonstrował to w miniony piątek, podczas spotkania z Łukaszenką w Soczi.

Z drugiej strony po sfalszowanych wyborach Unia Europejska nie była w stanie odpowiedzieć na trwający za jej miedzą państwowy terror. Wprawdzie przyjęto trzy pakiety sankcyjne, ale ograniczają się one do nałożenia zakazu wjazdu dla 88 funkcjonariuszy reżimu i obejmują siedem niewielkich firm, z których część nie prowadzi w Unii działalności. Trudno to nazwać inaczej niż minisankcjami lub – jak ujęła to dosadnie Swiatłana Cichanouska – kpina.

Fala oburzenia, która powstała w Unii po porwaniu samolotu, ma szansę sprawić, że Bruksela wreszcie sięgnie po prawdziwe sankcje, które realnie zaszkodzą reżimowi. Zakaz ruchu lotniczego dla unijnych samolotów w białoruskiej przestrzeni powietrznej takim działaniem nie jest. Jedynym środkiem, jaki może zrobić wrażenie na Mińsku, są sankcje gospodarcze. Unia ma takie możliwości i – jak pokazało ubiegłotygodniowe posiedzenie Rady Europejskiej – jest wola polityczna, aby je wprowadzić. Ale że unijne młyny miały wolno, może się to stać najwcześniej w drugiej połowie czerwca. Pozostaje pytanie o ich zakres i charakter.

Warto też pamiętać, że stawką jest tu również wiarygodność Unii w oczach znacznej części społeczeństwa białoruskiego. Ono oczekuje, że na trwające bezprawie my, Europa, zechcemy wreszcie zareagować inaczej niż kolejnym „poważnym zaniepokojeniem”.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Wyciągamy cegiełkę po cegiełce, żeby mury runęły

SCIAPAN PUCIŁA, 22-LETNI BLOGER I WSPÓŁZAŁOŻYCIEL KANAŁU NEXTA, DZIŚ MIESZKAJĄCY W POLSCE:

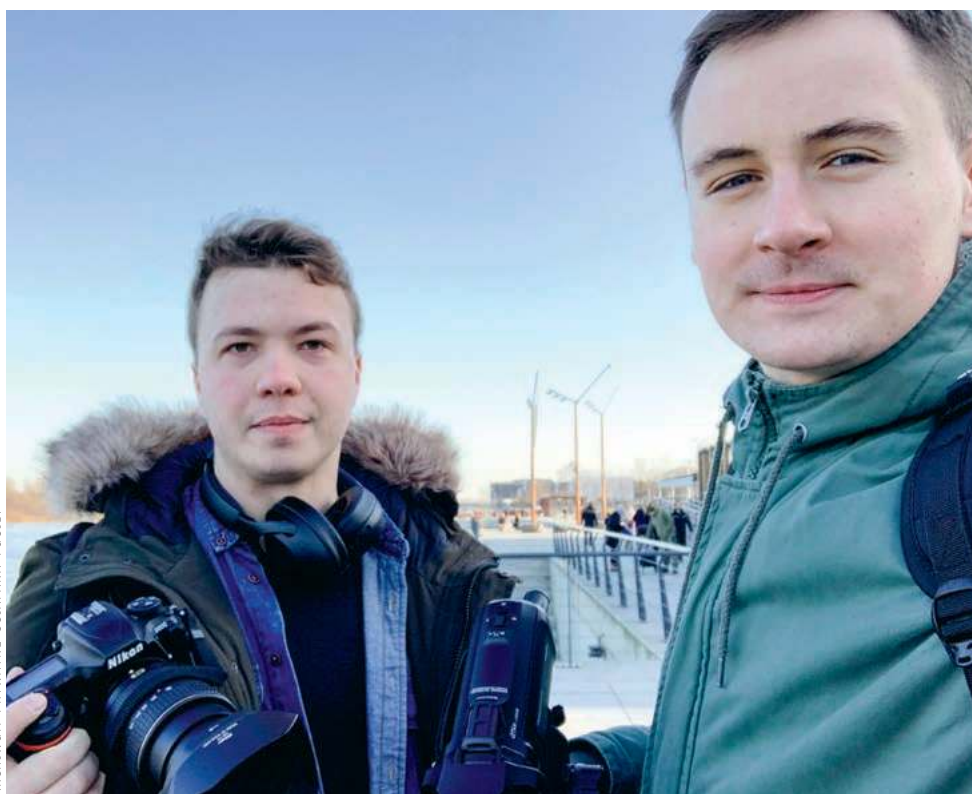
Zatrzymując Ramana Pratasiewicza, reżim Łukaszenki pokazał, że jest gotowy na wszystko, żeby zastraszyć ludzi.

PAWEŁ PIENIAŻEK: Przeszło Ci przez myśl, że za Twoim 26-letnim kolegą mogą wystać myśliwiec, żeby ściągnąć go wraz z całym samolotem do Mińska?

SCIAPAN PUCIŁA: Nie. Nie tylko nie sądziliśmy z Ramanem, że coś takiego jest możliwe, ale też nie omawialiśmy tego, co się stanie, jeśli nas zatrzymają. To było dla mnie szokiem. Nie spodziewałem się czegoś takiego. Choć kiedyś na czacie z administratorami różnych kanałów [na komunikatorze Telegram – red.] rozmawialiśmy o tym, że lepiej nie latać nad Białorusią, bo może być niebezpiecznie.

Raman Pratasiewicz, który był powodem przymusowego lądowania samolotu lecącego z Aten do Wilna, był aż takim zagrożeniem dla Łukaszenki, żeby sięgać po takie metody?

Może na pierwszy rzut oka nie wydaje się, że jest tak groźny, żeby wysłać za nim myśliwiec. Reżim uznał nas z Ramanem za terrorystów. Nawet wcześniej niż Swiatłanę Cichanouską. To dlatego, że reżim boi się tych kanałów, które mobilizowały ludzi w sierp-



SCIAPAN PUCIŁA (ur. 1998) jest blogerem, współtwórcą kanału Nexta na platformach YouTube (kanał ma tu 638 tys. subskrybentów) i w komunikatorze Telegram (Nexta Live jest najpopularniejszym telegramowym kanałem na Białorusi, ma ponad 1,2 mln subskrybentów, a drugim kanałem jest Nexta z 593 tys. subskrybentów). Podczas protestów po sfalszowanych wyborach Nexta była dla Białorusinów ważnym źródłem informacji o wydarzeniach w kraju; dzięki wiadomościom przekazywanym przez Nextę mogli też mobilizować się do akcji antyrządowych w całym kraju. Na zdjęciu z Ramanem Pratasiewiczem (po lewej), Warszawa, luty 2020 r.

niu 2020 r. i później, i pomagały w koordynacji protestów, bo wtedy cały internet na Białorusi nie działał, a Telegram i nasze kanały na tym komunikatorze działały. On nam tego nie wybaczy. Nigdy się z tym nie pogodzi. To jest zemsta.

Raman był też jedną z czołowych twarzy tej rewolucji i jej symbolem. Dla nich to była sprawa honoru, żeby go zatrzymać. Pokazują tym samym, że mogą sobie pozwolić na wszystko, żeby zastraszyć innych.

Co powoduje, że Białorusini tak chętnie sięgają po Telegram – komunikator internetowy albo aplikację do wysyłania wiadomości? Czemu stał się tak skuteczny podczas protestów?

Właśnie dlatego, że nie da się go zablokować. Gdy odcinano w kraju internet, to dzięki VPN [Virtual Private Network, czyli wirtualnej sieci prywatnej – red.] i wbudowanym serwerom proxy Telegram wciąż działał. Trudno było wysyłać wówczas zdjęcia, ale wiadomości tekstowe już się udawało. Dzięki temu mogliśmy reagować na prośby ludzi, którzy oczekiwali od nas informacji, gdzie w jakiejś miejscowości wszyscy zbierają się na protest. To ich mobilizowało.

Telegram stał się popularny na Białorusi, zanim zaczęły się protesty czy dopiero podczas nich?

Stawał się coraz popularniejszy po tym, jak próbowano go zablokować w Rosji [w 2018 r. rosyjskie władze bezskutecznie próbowały zablokować Telegram – red.]. To była głośna sprawa. Białorusini przyglądali się temu. Zobaczyli, że nie da się go unieszkodliwić. To przekonało wiele osób, że jest to bardzo bezpieczny i anonimowy komunikator. Zaufali tej aplikacji.

Nexta to nie tylko redakcja, ale też rzesza ludzi na Białorusi. Oni wysyłali Wam wiadomości, zdjęcia i filmy z miejsc różnych wydarzeń, a Wy je następnie weryfikowaliście i umieszczaliście na swoim kanale. Jak powstała Wasza sieć?

W 90 proc. informacje pochodzą od naszych źródeł i od ludzi, którzy znajdują się na miejscu. Dlatego też nasze kanały uznane są za terrorystyczne – żeby ścigać tych ludzi, którzy nas informują, za rzekome powiązania z terroryzmem.

W jednym z wywiadów mówiłeś, że podczas protestów przychodziło do Was – do Waszej redakcji, która znajduje się w Warszawie – nawet

do dwustu wiadomości na minutę. Kim są ludzie, którzy wysyłają Wam informacje?

To bardzo różne osoby z całej Białorusi, którym zależy na zmianach w kraju. Są wśród nich także osoby z wnętrza systemu. Choć pracują dla reżimu, to chcą jakoś pomóc, przykładowo wysyłając nam zdjęcie dokumentujące coś ważnego.

Teraz ludzie nie wychodzą na ulice, bo sądy wymierzają coraz wyższe kary za samo tylko demonstrowanie. Ale nadal wysyłają informacje, żeby – tak jak w piosenkę – mury runęły. Wyciągają z nich po jednej cegielce, każdy w swojej dziedzinie: lekarze w szpitalach, robotnicy w fabrykach, sportowcy na boiskach...

Tu chodzi o nadzieję, żeby pokazać, że nie jest się samemu, prawda?

Robiliśmy akcje, których hasłem było „Jest nas 97 procent”. Władze bały się tego i w odpowiedzi przeprowadzały swoje wiece, żeby pokazać, że mają poparcie. Jednak te zgromadzenia były nienaturalne, sztuczne, takie nadmuchane.

Mówiłeś, że nie rozmawiałeś z Ramanem Pratasiewiczem na temat potencjalnego zatrzymania. Czy nie obawiasz się, że białoruska



→ **bezpieka, KGB, ma teraz dostęp do jego telefonu i komputera, i że dowie się, jak działa Nexta, a także inny kanał na Telegramie – Biełaruś gołownego mózga – który ostatnio redagował Pratasiewicz?**

Oni naprawdę wierzą, że byliśmy sterowani przez Zachód, Polskę, Stany Zjednoczone, że nam płacili pieniądze za to, że prowadzimy rewolucję. Niczego takiego nie ma i nie będzie. To wyglądałoby źle w oczach Białorusinów. Przez ponad osiem miesięcy funkcjonowaliśmy praktycznie bez żadnego wsparcia, tylko dostaliśmy komputery od Fundacji Dom Białoruski w Warszawie, bo mieliśmy dwa, a potrzebowaliśmy osiem.

Łukaszenka jest wychowany w starym sowieckim systemie, w sowieckim myśleniu, że zawsze jest jakiś zewnętrzny wróg, którego trzeba się bać, i że nic nie dzieje się tak po prostu. Nawet koronawirus to dla nich coś wymyślonego.

I oni teraz chcą, żeby Raman powiedział im, kto nas niby sponsoruje i stoi za nami. To brutalne porwanie samolotu jest aktem terroryzmu, bo oni po prostu wzięli go jako zakładnika. Teraz katują go w więzieniu, są stosowane wobec niego drastyczne metody, żeby powiedział to, co oni chcą usłyszeć. Im nie zależy na prawdzie.

Macie kontakty z ludźmi z całego kraju. Nie boisz się, że to jest właśnie próba zniszczenia zaufania do Was? I zastraszenia, żeby teraz Wasi współpracownicy z Białorusi bali się wysyłać Wam informacje?

Reżim nie cofnie się przed niczym. Będzie kontynuował represje i walczył z opozycją w najdrastyczniejszy możliwy sposób. Reżim już wie, że nie ma szans. To taka atmosfera na zawsze spalonych mostów, jak mówią analitycy. To jest straszne, bo Łukaszenka może robić to, co chce. Dostajemy mnóstwo pogroźek i obawiamy się o życie.

Domyślam się, że Raman Pratasiewicz nie jest pierwszą osobą spośród Twoich znajomych, którą aresztowano.

Np. dziennikarz Władimir Czudencow, dzięki któremu poznaliśmy się z Ramanem, został zatrzymany na białoruskiej granicy w 2019 r. [rok później usłyszał wyrok 5,5 roku więzienia – red.]. Chciał przyjechać do nas do Polski.

Wśród ludzi, którzy przysyłają nam z Białorusi informacje, są także osoby z wnętrza systemu.

Choć pracują dla reżimu, to chcą jakoś pomóc,

przykładowo wysyłając nam zdjęcie dokumentujące coś ważnego.

Masz teraz dużo pracy, jesteś też rozchwytywany przez media, do tego masz określone procedury bezpieczeństwa. Czy znajdujesz czas, i nie mówię tu tylko o ostatnich dniach, na jakieś życie osobiste?

Niestety niewiele. Ale rozumiem, że to, co robimy, jest ważne. Mam nadzieję, że za kilka lat uda mi się odpocząć. Teraz musimy kontynuować walkę. Nie zwalniać i iść do przodu, żeby w końcu zwyciężyć. Jak każdy teraz powie: „A, reżim wygrał”, to nic z tego nie będzie.

Słucham? Za kilka lat znajdziesz czas na odpoczynek?

No tak... Rok temu, w maju, zaczęły się pierwsze protesty, które nie były jeszcze masowe. To były łańcuchy solidarności. Nie zauważyłem nawet, kiedy minął ten rok.

To znaczy, że choć protesty teraz ustały, Nexta będzie miała co robić?

Musimy walczyć na różne sposoby, głównie na polu informacyjnym. Chcemy pokazywać prawdę w odpowiedzi na ich zarzuty, które nie mają żadnych podstaw, na ich propagandę. Ale jest to też walka ekonomiczna. Wiele osób nie kupuje produktów od firm powiązanych z reżimem.

Ludzie boją się teraz otwarcie występować przeciwko reżimowi, bo do nich strzelają, a do więźniów wsadzają za takie

rzeczy, jak choćby biało-czerwono-białe żaluzje w oknie czy maseczki na twarzy w takich kolorach [to kolory historycznej flagi Białorusi, która była flagą państwową przez kilka lat po uzyskaniu niepodległości w 1991 r.; potem Łukaszenka zastąpił ją flagą z czasów sowieckich – red.].

Do niedawna groziło za to do piętnastu dni aresztu, teraz już do trzydziestu. Za pójście na akcję protestu można teraz dostać kilka lat więzienia. Tylko w minionym tygodniu parę osób usłyszało wyroki od pięciu do siedmiu lat więzienia. Nasze źródło, które wysłało nam dokument, dostało osiemnaście lat więzienia [być może chodzi tu o oficera białoruskiej armii, 29-letniego Denisa Urada, który został skazany z paragrafu o zdradzie stanu – red.]. Sytuacja jest bardzo dramatyczna.

Mieszkasz w Polsce od 2018 r.

Czujesz tutaj solidarność czy raczej obojętność?

Byłoby miło, gdyby nareszcie udzielono mi formalnie azylu. W Polsce są dwie procedury: azyl i ochrona międzynarodowa. Dostałem ochronę międzynarodową, a azylu jeszcze nie. Złożyłem taki wniosek i czekam na odpowiedź od ponad półtora roku.

Ale macie faktyczną ochronę ze strony polskiego państwa?

Bo w wymiarze praktycznym to chyba jest najważniejsze.

Mamy ochronę przed biurem. Polskie państwo popiera nas i chce zapewnić nam bezpieczeństwo. Mam nadzieję, że pilnują nas także wtedy, gdy tego nie zauważamy.

Czujesz, że jesteś w niebezpieczeństwie?

Zagrożony czułem się jeszcze przed wybuchem protestów w sierpniu 2020 r. Dostawałem różne pogroźki, całe mnóstwo, przynajmniej od 2019 r., bo już wcześniej prowadziłem kanał na YouTube, gdzie były filmy o Łukaszence. Teraz tych pogroźek jest więcej. Po aresztowaniu Ramana dostaję groźby, że oni nie będą się fatygować po mnie, żeby mnie ściągać do Mińska, tylko że zastrzelą mnie tu na miejscu, w Warszawie.

Oni mi nie wybaczą tego wszystkiego, no więc muszę uważać.

© Rozmawiał PAWEŁ PIENIAŻEK

2014 WSCHODNIA UKRAINA

Gdy pocisk wystrzelony z rosyjskiej wyrzutni Buk eksploduje obok malezyjskiego samolotu pasażerskiego wracającego z Amsterdamu, ginie 298 osób. Choć wynik międzynarodowego śledztwa nie pozostawia wątpliwości co do roli Kremla, próba powołania trybunału pod auspicjami ONZ kończy się fiaskiem. W 2019 r. holenderska prokuratura stawia zarzut morderstwa trzem Rosjanom i jednemu obywatelowi Ukrainy (należał do tzw. separatystów). Wszyscy przebywają w Rosji, która odmawia współpracy. Mimo nieobecności oskarżonych proces w Holandii zaczął się w 2020 r.

2018 SALISBURY

Do pierwszego udokumentowanego użycia broni chemicznej na terytorium państwa NATO dochodzi w Anglii, gdzie dwóch agentów rosyjskiego wywiadu wojskowego usiłuje otruć Siergieja Skripala – byłego oficera GRU zwerbowanego przez Londyn – przy pomocy toksycznej substancji, nowiczoka. Skripal i jego córka przeżywają atak, umiera jednak przypadkowa mieszkanka Salisbury, a duża część miasta zostaje skażona. Sprawcy wracają do Moskwy.

2021 MIŃSK

Samolot pasażerski odbywający lot między dwoma państwami Unii zostaje pod fałszywym pretekstem sprowadzony na białoruskie lotnisko, gdzie władze aresztują opozycjonistę i jego partnerkę.

Byłem tu

MARCIN ŻYŁA

Przymusowe lądowanie samolotu linii Ryanair przypomina, że skutki międzynarodowej polityki mogą dopaść wszystkich – i prawie wszędzie.

OFIARY WŁAMAŃ CZĘSTO MÓWIĄ, ŻE GORsza od poniesionej straty jest świadomość, że do ich mieszkania wszedł ktoś obcy – dotykał rzeczy, patrzył na zdjęcia, grzebał w pamiątkach z dzieciństwa. Gdy do zła wyrządzonego dochodzi zło niespodziewanie obecne, tracimy pewność siebie, a jego sprawcy wygrywają podwójnie.

Tak mogli poczuć się trzy lata temu mieszkańcy angielskiego Salisbury, gdy na zdjęciach z monitoringu zobaczyli na ulicach swojego miasta dwóch rosyjskich agentów szykujących się do ataku nowiczkiem. Teraz, po aresztowaniu Ramana Pratasiewicza, nieprzyjemny dreszcz nie opuszcza wielu z nas. Oto Łukaszenka, ów na pozór paradny dyktator, z którego w Polsce częściej się śmialiśmy, niż się go baliśmy, sięgnął do nieba i ściągnął z niego samolot Ryanaira – jedną z ikon współczesności, symbol luzu i podróży bez granic, dostępnych niemal dla każdego. To kolejne po-

nure przypomnienie, że polityka międzynarodowa dotyczy wszystkich i tak zaskakująco może dopaść wszystkich.

Choć tydzień po przymusowym lądowaniu lotu FR-4978 w Mińsku wiele okoliczności pozostaje niejasnych, słowa zachodnich polityków o „porwaniu” i „terrorystycznym państwowym” są celne. To bowiem nie była improwizacja. Piloci mieli otrzymać informację o bombie, która wybuchnie, gdy samolot znajdzie się nad Wilnem, portem docelowym rejsu. W Mińsku pasażerów wprowadzono z maszyny, aby Ramana Pratasiewicza i Siofię Sapiełę zatrzymać już na terytorium Białorusi (pokład zarejestrowanej w Polsce maszyny nie jest częścią terytorium RP, podlega jednak polskiej jurysdykcji). Łukaszenka świadomie naruszył tzw. pierwszą wolność lotniczą – „święte” prawo do przelotu nad terytorium trzeciego państwa bez konieczności lądowania, od dekad umożliwiające międzynarodowe podróże. Aresztował dwoje ludzi, których uznaje za politycznych wrogów, i wypuścił samolot. Jak włamywacz w mieszkaniu, zostawił nam wiadomość: „Byłem tu. I mogę wrócić”.

Łukaszenkę i Putina, prócz prawdopodobnej współpracy przy sprowadzeniu samolotu Ryanaira na ziemię, łączy lęk przed buntem Białorusinów i Rosjan. Wielu z tych pierwszych – dysydenci, dziennikarze, ich rodziny i bliscy – schroniło się w Polsce. Mimo szczelnej granicy na Bugu na wschód wieloma kanałami płynie pomoc. W oczekiwaniu na upadek dyktatorów takie wzajemne sąsiedzkie doglądanie się jest równie ważne jak twarda polityka. ©

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Drodzy Czytelnicy! 30 kwietnia opuściliśmy ulicę Wiślną. Już jesteśmy na ulicy Dworskiej 1C, 30-314 Kraków

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażewska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kačka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław
Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław
Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezesa)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIAZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Biada ich żonom*



DELEGUJ – DORADZA TEŚĆ PRZEPRACOWANemu Mojżeszowi, by zapobiec grożącemu zięciowi wypaleniu. Jeszcze w Księdze Wyjścia do pomocy przywódcy zostaje powołanych 70 starszych. Najwidoczniej pełnią oni tylko funkcję sędowniczą lub – co sugeruje midrasz – giną w ogniu w Taw’era (Lb 11, 1-3), skoro mamy kolejne powołanie 70 w Księdze Liczb.

Na nowo wybranych zstępuje natchnienie prorockie. Rabin dopowiada, że wywołuje to wśród Izraelitów wielką radość. Uradowana Miriam komentuje: „Szczęśni to mężowie i szczęsne ich żony!”. Odpowiada jej połowica Mojżesza, Sefora: „Nie mów: »Szczęsne ich żony«, lecz »Biada ich żonom«. Od dnia, kiedy Najwyższy przemówił do Mojżesza, twój brat odsunął się ode mnie”. Miriam chce pomóc szwagierce. Wyłuszcza sprawę Aaronowi, trzeciemu z rodzeństwa, stąd „rozprawiała Mirjam wraz z Ahronem o Mojżeszu, z powodu żony Kuszytanki, którą pojął” (12,1; Cylkow). Bóg dotychczas mówił nie tylko z ich bratem, ale również z nimi samymi i z innymi prorokami. Nikt z nich, w konsekwencji bliskiego obcowania z Bogiem, nie porzucił swojej drugiej połowy...

Jak widać, siostra nie ma nagłych ansów do Mojżesza bez powodu. Wedle innej wersji Miriam zauważa, że Sefora przestała nosić biżuterię. Zagadnięta o to, zaniedbywana żona odpowiada szwagierce: „Twój brat już o to nie dba”. Prorokini wie, co to oznacza, i poczucie kobiecej solidarności pcha ją do czynu. Nie wie jednak, że abstynencję nakazał jej bratu Najwyższy: przez trzy dni przed synajską teofanią mężczyznom nie było wolno zbliżać się do swoich żon. Po objawieniu zostali odesłani do własnych namiotów, lecz Mojżesz miał pozostać z Bogiem.

Szemrzące przeciw młodszemu bratu rodzeństwo dostaje od Niebieskiego Ojca ostrą reprimendę za niedocenienie wyjątkowości Mojżesza. Dodatkowo Miriam zostaje ukarana chorobą zwaną *caraat* (Biblia Tysiąclecia: trąd) i w związku z tym musi odbyć przepisową kwarantannę poza obozem. Podczas jej nieobecności Izraelici nie ruszają się z miejsca – czekają, aż ich przywódczyni do nich dołączy. Midrasz zauważa, że w ten sposób wraca do niej dobro, które wyświadczyła małёнkiemu braciszkowi, czekając cierpliwie na rozwój wydarzeń, gdy ten płynął Nilem w koszyku. A może Miriam po prostu cieszy się szacunkiem wśród współplemieńców?

Mija tydzień kwarantanny i prorokini odzyskuje zdrowie. Powiedziałabym raczej: po *caarat* nie ma śladu, ale pozostaje okaleczenie psychiczne. Po tej historii Miriam gdzieś znika, kurczy się w sobie i słyszymy o niej dopiero, gdy przychodzi na nią czas – umiera i zostaje pochowana w Kadesz. Czasem płaci się wysoką cenę za wyrażenie sprzeciwu – zbyt wysoką?

©

O. WACŁAW

Oszajca: *Wadzenie się z Bogiem*



„ZAPEWNIAM WAS: WSZYSTKIE GRZECZY będą ludziom odpuszczone, a nawet bluźnierstwa, których by się dopuścili. Kto by jednak zbluźnił przeciwko Duchowi Świętemu, nigdy nie otrzyma odpuszczenia: będzie winien grzechu wiecznego.

Mówili bowiem: »Opętał Go duch nieczysty«”.

Ta Jezusowa wypowiedź przeraża. Zwłaszcza tych, którzy zaczynają poważnie traktować więź z Bogiem. Kiedy już całkiem szczerze powiedzą głośno „Jezus jest moim Panem”, kilka razy „zasną w Panu”, przeżyją kilkukrotne uzdrowienia, po odprawieniu iluś egzorcyzmów i „pompejanek” oraz nowenn, kiedy wytrenują poprawne składanie dłoni, klękanie na oba kolana, bicie pokłonów i nasłuchają się łaciny, kiedy po tym wszystkim zabraknie w domu pieniędzy, w wypadku zginie jedyny syn, stracą pracę, zawałą egzaminy – następuje tragedia. Dlatego papież Franciszek ostrzega: „Prawdziwy postęp w życiu duchowym nie polega na mnożeniu uniesień, ale na umiejętności wytrwania w trudnych chwilach (...). Musimy nauczyć się mówić: »Mimo że Ty, mój Boże, zdajesz się robić wszystko, abym przestał w Ciebie wierzyć, ja nadal modłę się do Ciebie«. Ludzie wierzący nigdy nie przestają się modlić! Chwilami może to przypominać modlitwę Hioba, który nie godzi się na to, że Bóg traktuje go niesprawiedliwie, protestuje i chce się z Nim sądzić. Czasami także, jak powiedziała pewna staruszka: »gniewanie się na Boga jest też sposobem modlitwy«, ponieważ często syn gniewa się na ojca, ale jest to styl relacji z ojcem, ponieważ uznaje, że jest ojcem – buntuje się”.

To buntowanie uchodzi za grzech przeciwko Duchowi Świętemu. A tymczasem te mroczne noce i dnie to dobra okazja na dopuszczenie do głosu tegoż właśnie Ducha. Wśród Jego darów jest przecież dar mądrości i rozumu, który podpowiada, że Bóg nie spiskuje przeciwko ludziom, ale ludzie przeciw Bogu tak, i to od początku swego istnienia. Ewa i Adam woleli wierzyć wężowi, czyli stworzeniu, niż Stworzycielowi. Dlatego Paweł Apostoł ostrzega: „Jeśli Chrystus jest naszą nadzieją tylko w ziemskim życiu, to jesteśmy bardziej godni pożałowania niż wszyscy ludzie”.

Bóg nikomu nie obiecuje łatwego życia w oszałamiającej ekstazie. Franciszek w „*Patris corde*” pisze: „Szczęście Józefa nie polega na logice ofiary z siebie, ale daru z siebie. (...) Tam, gdzie powołanie, czy to małżeńskie, do celibatu czy też dziewicze, nie osiąga dojrzałości daru z siebie, zatrzymując się jedynie na logice ofiary, to zamiast stawać się znakiem piękna i radości miłości, może wyrażać nieszczęście, smutek i frustrację. Bóg nie czeka na prezenty, ale na nas, i »nie staraj się Go przekupić, nie przyjmie daru« – mówi Jezus, syn Syrachy”.

©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Pierwsi i ostatni

Przyjdą ci na myśl takie sprawy, że ulec gniewowi wyda ci się słuszne. Jednak gniew przeciw bliźniemu żadną miarą nie jest słuszny. Jeśli będziesz szukał, odkryjesz, że i bez gniewu można dobrze załatwić sprawę.

EWAGRIUSZ Z PONTU



Nic nie może uszczęśliwić człowieka, w którym rozgorzał gniew.

ŚANTIDEWA



Wybrał PIOTR SIKORA



„WIELU PIERWSZYCH będzie ostatnimi, a ostatnich będzie pierwszymi” – Liturgia przyniosła nam ten *logion* Jezusa (zob. Mk 10, 31) w dniu 25 maja, kiedy Kościół wspomina m.in. św. Bedę Czcigodnego.

Beda to postać niezwykła; mam do niego stosunek wręcz osobisty (Pan Bóg dał mi tę okazję, by się kilka razy modlić na jego grobie w Durham). Mnich benedyktyński z przełomu VII i VIII w. (zmarły w 735 r.). Czcigo właściwie całe chrześcijaństwo – za świętego uważają go Kościoły katolicki, prawosławny i anglikański. Wspólnoty protestanckie wspominają go z szacunkiem jako jednego z mistrzów wczesnośredniowiecznego Kościoła.

Kościół na Wyspach zapamiętał go przede wszystkim jako swojego pierwszego historyka (autora „*Historia ecclesiastica gentis Anglorum*”). Ale Kościół powszechny, w szczególności europejski, wspomina go jako amatora-biblistę, twórcę komentarzy biblijnych, a także tzw. homiliarzy (tzn. kolekcji kazań/homilii), stanowiących na ogół kompilację najlepszych tekstów patrystycznych. Mu-

szę przyznać, że niejednokrotnie stawałem oniemiały zarówno wobec przenikliwości, jak i aktualności biblijnych refleksji tego dawnego historyka-biblisty. Kiedy więc zobaczyłem tegoroczne Słowo przypadające na dzień jego wspomnienia, postanowiłem poszukać jego doń komentarza. I... nie zawiodłem się!

W komentarzu Bedy do Ewangelii św. Marka znalazłem następujący tekst:

„Wielu jednak pierwszych będzie ostatnimi, i ostatnich pierwszymi. Zobacz oto Judasza, [który] z apostoła stał się apostatą [tak zobaczysz prawdę powiedzenia, iż] wielu pierwszych będzie ostatnimi. Zobacz łotra, który na krzyżu stał się wyznawcą, jak tego samego dnia, w którym został ukrzyżowany za grzechy, raduje się w raju z Chrystusem dzięki łasce wiary. [Tak zobaczysz, że] i ostatni będą pierwszymi. Ale i dzisiaj codziennie widzimy wielu [chrześcijan] wezwanych przez Pana do stanu świeckiego, wybijających się wieloma zasługami w życiu, a także innych od małości oddających się duchowym ćwiczeniom, a przecież na koniec [stają się takimi, którzy] niszczą pokój, (...) zaczęli duchem, a kończą ciałem”. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (6 – 13 VI)

10. Niedziela zwykła: Rdz 3, 9-15; Ps 130; 2 Kor 4, 13 – 5, 1; Mk 3, 20-35;

Poniedziałek: 2 Kor 1, 1-7; Ps 34; Mt 5, 1-12;

Wtorek: 2 Kor 3, 4-11; Ps 119; Mt 5, 13-16;

Środa: 2 Kor 3, 4-11; Ps 99; Mt 5, 17-19;

Czwartek: 2 Kor 3, 15 – 4, 1. 3-6;

Ps 85; Mt 5, 20-26;

Piątek, Uroczystość Najświętszego Serca

Pana Jezusa: Oz 11, 1. 3-4. 8c-9; Ps: Iz 12, 2-6;

Ef 3, 8-12. 14-19; J 19, 31-37;

Sobota: Iz 61, 9-11;

Ps: 1 Sm 2, 1. 4-8; Łk 2, 41-51;

11. Niedziela zwykła: Ez 17, 22-24; Ps 92;

2 Kor 5, 6-10; Mk 4, 26-34.



KRAJ

W NOWĄ NORMALNOŚĆ CHWIEJNYM KROKIEM

Marazm ostatnich miesięcy był tłumaczony obostrzeniami, ale po ich zniesieniu opozycja wydaje się być zaskoczona możliwością nieskrępowanego działania.

KAROLINA LEWICKA

Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Włodzimierz Czarzasty, Adrian Zandberg i Robert Biedroń, Kraków, czerwiec 2020 r.



ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

KURZ PO PANDEMII DOPIERO OPADA, Kale PiS już zdążył się z niego otrząpać. Z kryzysu, mierzonego setkami codziennych zgonów, obóz władzy wychodzi z potencjałem rychłej odbudowy poparcia. Sondaże już ruszyły w górę, a premier w Polskę, by promować finansowe korzyści Polskiego Ładu. Co innego opozycja – w „nową normalność” wkroczyła chwiejnym krokiem, tak słaba i skonfliktowana, jak niemal nigdy dotąd. To wyjątkowy paradoks polskiej polityki: wirus rządzących nie zabił, a opozycji nie wzmocnił. Kaczyński, tak jak niegdyś Tusk, na razie nie ma z kim przegrać.

W tej chwili PiS próbuje wyzerować rzeczywistość, odciąć pandemiczny czas grubą kreską i ruszyć do przodu z rytualnym „nowym otwarciem” za unijne pieniądze. Udało się też posklejać, choć raczej na krótką metę, Zjednoczoną Prawicę. „Będzie dobrze, znów damy radę” – mówiła na prezentacji Polskiego Ładu Elżbieta Witek, a kilka dni później Kaczyński ogłosił w Polskim Radiu, że kryzys wewnętrzny został zażegnany. To deklaracja mocno na wyrost, liczne kryzysy w łonie obozu władzy wcale nie zostały unieważnione, a w kilka dni po demonstracji jedności liderów Zjednoczonej Prawicy na nowo rozgorzał konflikt z Porozumieniem. Niewykluczone, że do wyborów dojdzie już kolejnej wiosny, bo PiS ewidentnie wszedł w tryb kampanijny.

Nowe przystawki Kaczyńskiego

Opozycja powinna zatem szykować gotowość bojową, ale wciąż liże rany po awanturze wokół Funduszu Odbudowy. Fiaszko planu PO i ludowców, by tym głosowaniem doprowadzić do upadku rządu, zamroziło stosunki z Lewicą, która Fundusz poparła, a wcześniej siadła do tajnych negocjacji z Mateuszem Morawieckim. „Straciłem zaufanie do Lewicy, ale będę je odbudowywał z nadzieją, że znów staną się silnym ogniwem w łańcuchu opozycyjnym” – napisał na TT wicemarszałek Sejmu, Piotr Zgorzelski z PSL-u, a Władysław Kosiniak-Kamysz wzywa do szybkiego zakończenia bratobójczej walki.

Na razie nie ma serdecznych rozmów na najwyższym szczeblu między Platformą a Lewicą, ale obie strony przyznają, że prędzej niż później dojdzie do normalizacji wzajemnych stosunków. – Jesteśmy na siebie skazani – mówi mi szef klubu parlamentarnego Lewicy, Krzysztof Gawkowski. – Nie ma wroga na opozycji – wtóruje mu sekretarz generalny PO, Marcin Kierwiński, choć dorzuca też kwestię o „ograniczonym zaufaniu”. Odosobniony jest głos Bartłomieja Sienkiewicza, który przekonuje, że aktualnie liberałom z PO bardziej zagraża Lewica niż populisci: – Mamy naprzeciw siebie wroga. Włodzimierz Czarzasty zdradził wspólnotę opozycji i podał tlen Kaczyń-

skiemu. Podporządkował się też narracji Razem, której posłowie demonizują i deprecjonują III RP. Nie ma szans na współpracę z totalistyczną Lewicą.

Na pewno odbudowa relacji potrwa kilka miesięcy, bo bitwa o Fundusz jest tylko odpryskiem głębszego problemu: nieustannej rywalizacji partii opozycyjnych o ten sam elektorat. Lewica chce się wyrwać spod „opiekuńczych skrzydeł” PO i tak ją osłabić, by podczas kolejnej elekcji jej wyborcy znów nie postawili na silniejszego gracza. Tak było w zeszłym roku – już w pierwszej turze nie oglądali się na Roberta Biedronia, tylko kreślili krzyżyk przy Rafale Trzaskowskim. Tyle że rozwój wydarzeń nie wskazuje na emancypację, lecz na zmianę warty: Platformę w roli starszego brata Lewicy właśnie płynnie zastępuje PiS. „Na odcinku polityki społecznej i nierówności byliśmy pierwsi z diagnozami” – chwalił się Interii prezes Kaczyński.

Entuzjazm lewicowych polityków wobec rozwiązań podatkowych zawartych w Polskim Ładzie oraz towarzysząca temu krytyka PO jako „obroncy bogatych” w mediach społecznościowych oraz TVP Info (do której to stacji są ostatnio nader chętnie i często zapraszani) mogą rychło sprowadzić trio Czarzasty-Biedroń-Zandberg do roli przystawki Kaczyńskiego. O ile bowiem Platforma chce uszczuplić Lewicę od strony obyczajowej, o tyle PiS definitywnie odbierze jej szansę na elektorat socjalny. Im głośniej Razem będzie chwaliło projekty ustaw Zjednoczonej Prawicy, tym bardziej ich potencjalni wyborcy będą wdzięczni Jarosławowi Kaczyńskiemu.

Lewica musi popierać realizację jej postulatów programowych przez PiS, bo trudno, by była w kontrze, choćby wobec progresywnego systemu podatkowego, ale nic na tym nie zyska. A przy okazji może stracić antypisowskiego wyborcę wielkomiejskiego – tego, którego z nią łączy wspólnota światopoglądowa, a który jest owym krezusem z pensją 6 tysięcy brutto. Ten rozdźwięk świetnie widać w najnowszych badaniach prof. Przemysława Sadury i Sławomira Sierakowskiego: młodzi, wśród których elektorat Lewicy rośnie najszybciej – w czym zresztą Lewica pokłada liczne nadzieje – są niechętni projektom redystrybucyjnym, np. chcą likwidacji programu 500 plus. Tych zaś wyborców, którzy pragną państwa opiekuńczego, od Lewicy →

→ silnie odrzuca jej druga nóżka: antykle rykalizm i poglądy w sprawie np. praw osób LGBT.

Wygląda tak, jakby Lewica nie tylko wpadła w pułapkę, ale jeszcze na dodatkach z deszczu pod rynną. Za to prezes PiS-u jest kontent. „Widzę możliwość współpracy, szczególnie w sprawach społecznych” – deklaruje Kaczyński, upatrując w Lewicy rezerwuaru głosów, których może już wkrótce zabraknąć ze strony Porozumienia przy projektach zwiększających daniny dla przedsiębiorców.

Lewica musi być świadoma, czym grozi etykieta „koncesjonowanej opozycji”, którą przykleja jej choćby Rafał Trzaskowski, konkurujący z nią o młodzieliwy elektorat. Stąd lewicowi politycy nieustannie powtarzają, że mają jeden cel – zakończyć żywot obecnego rządu, odsunąć PiS od władzy – tyle tylko, że podążają do niego inną niż Platforma drogą. – Trzeba nam być opozycją racjonalną, a nie totalną – uważa Gawkowski.

Ani jednego triumwira

Akurat teraz z „totalności” Platformy ostało się wyłącznie totalne pogubienie. Partia jest na wyczerpującym froncie wojny wewnętrznej. „Bez daleko idących zmian nie mamy szans utrzymania pozycji lidera opozycji, a w przyszłości wygrania wyborów” – napisało w liście do partyjnej braci ponad pięćdziesięciu parlamentarzystów, niemal jedna trzecia klubu. Pytani, na czym miałyby polegać zmiany, mówią o strategii i programie, ale rzecz i tak idzie o to, by zdjąć ze stanowiska przewodniczącego Borysa Budkę. Słaby lider w czasach spersonalizowanej polityki ciągnie w dół całe ugrupowanie, a sondaże mówią same za siebie – wynik jednocyfrowy jest już całkiem blisko. To może skłonić do ewakuacji z partii tych, którzy do tej pory dostawali się na Wiejską z odległych miejsc, a przy potencjalnie słabym wyniku ugrupowania tracą szansę na powtórkę mandatu, czyli lądują na bezrobociu.

Niektórzy, choćby wyrzucony z partii Ireneusz Raś, chcieliby skończyć z modelem przywództwa funkcjonującym w paradygmacie wodzowskim (tym bardziej że po Donaldzie Tusku kolejni „wodzowie” to jednak nie ten rozmiar kapelusza) i postawić na kolegialne kierownictwo. Raś mówił o triumwiracie. Problem w tym, że trudno w PO znaleźć jednego

porządnego kandydata na triumwira, a co dopiero trzech.

Ostatnią deską ratunku ma być Rafał Trzaskowski, ale prezydent Warszawy chce się budować wśród samorządowców. Ci zaś, często skonfliktowani z PO lub uważający ją za balast, radzą mu, by stworzył ugrupowanie pod własnym szyldem. Na razie Trzaskowski publicznie zapewnia o dobrej współpracy z Budką i deklaruje partyjną lojalność, ale jeśli jego kolejne inicjatywy zakończą się sukcesem, to wtedy bezapelacyjnie pójdzie własną drogą, drenując PO z najbardziej wartościowych ludzi.

Chadeckie wyszywanki

Ludowcy od kilku lat bezskutecznie szukają na siebie pomysłu. Równo dwie dekady temu zaczęli tracić swój tradycyjny elektorat na rzecz nowo powstałej partii Jarosława Kaczyńskiego. Dziś PiS to na wsi potęgą, a poparcie, jakiego udzielają mu mieszkańcy obszarów wiejskich oraz rolnicy, jest dość trwałe i nie ulega erozji, np. pod wpływem kolejnych afer obozu władzy.

Te czy przymknięte na swoje błędy i wypaczenia PiS zawdzięcza transferom socjalnym, których wieś jest głównym beneficjentem (trafia tam 60 proc. środków z programu 500 plus), ale równie istotne są – czego dowiadujemy się z rocznych raportów „Polska wieś” pod redakcją prof. Jerzego Wilkina – polityka godnościowa i historyczna. Oraz partyjna kontrola nad państwowymi mediami. Bo przede wszystkim z nich mieszkańcy wsi czerpią swoją wiedzę o świecie. Aktualnie dowiadują się, że dotrą do nich wodociągi i kanalizacja, nawet gaz, będzie wyższy zwrot akcyzy za paliwo rolnicze, a Kaczyński jest dumny, że PiS reprezentuje wieś.

Wieś szybko też otrzęsła się po ciosie, jakim niewątpliwie była dla niej „Piątka dla zwierząt”, z której Kaczyński ostatecznie się wycofał pod ogromną presją hodowców, Tadeusza Rydyka i własnych posłów. Na ogromnym kryzysie wizerunkowym, który chwilowo zachwiał poparciem dla rządzących, wcale nie skorzystał jednak PSL, tylko Polska 2050. To był koronny dowód na to, że ludowcy nie mają czego na wsi szukać, zwłaszcza że dojrzewa tam nowa konkurencja: Szymon Hołownia jest dziś drugim wyborem elektoratu wiejskiego, a podążający śladami Andrzeja Leppera

Michał Kołodziejczak, obecnie lider Agrounii, zapowiada utworzenie partii politycznej, Kosiniaka nazywa zaś „politykiem przegranym”.

Wypychani ze wsi, do miasteczek i miast ludowcy wciąż jeszcze nie doszli, choć maszerują w tym kierunku od lat i zdobywają przyczółki. Ostatnio uznano, że po fiasku Koalicji Polskiej przyszedł czas na kolejny rebranding. Tym razem mowa o Chadeckiej Polskiej. Projekt miałby przyciągnąć konserwatywne skrzydło PO, właśnie brutalnie odcinane, a w przyszłości być też ofertą szalupy ratunkowej dla Gowina i uciekinierów z PiS. Może w jakimś sojuszu z Szymonem Hołownią. Kryje się za tym wiara, że wybory wygrywa ten, kto skutecznie skolonizuje wyborcze centrum. Tyle że polaryzacja i radykalizacja skutecznie je skurczyły, a pretendentów do tego kawałka ziemi jest wielu. Dość powiedzieć, że onegdaj nawet Konfederacja ustami Krzysztofa Bosaka ogłosiła się „nowym centrum”.

Nie bardzo także wiadomo, co kryje się za opowieścią Władysława Kosiniaka-Kamysza o „centrowej formacji, która szanując tradycję buduje nowoczesną Polskę”, prócz ogólników i chęci wejścia klinem między Platformę i PiS. Niedodefiniowany wciąż projekt wygląda na dość rozpaczliwy powrót do przeszłości, tak jakby ludowcy nie zauważyli, że współczesna chadecka niewiele ma wspólnego z tą powojenną, na której ewidentnie chcą się wzorować. Bronisław Komorowski, który ogłosił, że będzie PSL w tym politycznym dziele wspierać, też nie wskazuje elementów owej chadeckości, prócz obrony kompromisu aborcyjnego. Jednocześnie rezygnacja z niego jest dla byłego prezydenta dowodem na to, że konserwatywny komponent przestała posiadać PO. Stosunek do aborcji jawiłby się zatem jako główne, może nawet wręcz jedyne kryterium konstruowania konserwatywnej tożsamości. Trochę mało, a reszta rozmyta.

Na pytania o sondaże PSL reaguje nerwowo. Balansują na progu od lata zeszłego roku, kiedy ich lider, zapowiadający się na głównego rywala Andrzeja Dudy na początku kampanii, skończył prezydencki wyścig z marnym wynikiem i długo dochodził do siebie. Potem było rozstanie z Pawłem Kukizem, teraz trwają poszukiwania kolejnych sojuszników. Jakby ludowcy przestali wierzyć w samodzielną zdolność do generowania

poparcia. Taki też zamiysł może stać i za Chadeccją Polską.

Patchwork 2050

Wciąż trudno powiedzieć, ile realnej mocy politycznej ma Polska 2050, ale pewne jest, że Szymon Hołownia stale rośnie – sondażowo i personalnie. Ostatnim nabytkiem jest Wojciech Maksymowicz z Porozumienia. Dzięki temu transferowi koło parlamentarne jest prawdziwym patchworkiem ideologicznym – lewicowo-liberalno-konserwatywnym. Ponoć wszystkich łączy wspólne dla Polski 2050 DNA, tyle że – jak można wyczytać na stronie partii – to zbiór haseł dość ogólnych („chcemy Polski demokratycznej, solidarnej, zielonej itd.”), pod którymi mogłaby się podpisać każda opozycyjna partia. Nic dziwnego, że i transfery są możliwe z każdej strony.

Hołownię wciąż niesie efekt nowości, medialna sprawność lidera oraz nie-moc Platformy. Nie musi się też borykać z jakimś zmasowanym atakiem ze strony PiS. Kaczyński czeka, aż Polska 2050 maksymalnie osłabi Platformę, dopiero potem zacznie ją okładać propagandową pałką. Na razie określił projekt mianem „eksperymentu”, za którym nie wiadomo, co stoi: nowa socjotechnika czy nowa idea. PO, która na wzroście Hołowni traci najbardziej, wciąż liczy, że konkurenta przetrzyma dzięki doświadczeniu, mocnym strukturom i większemu pieniądżom. Mści się jednak początkowe niedocenywanie przeciwnika. Rok temu Izabela Leszczyna przekonywała, że „Ho-

Platforma chce uszczuplić Lewicę od strony obyczajowej – **PiS odbierze jej elektorat socjalny.**

Im głośniejsze Razem będzie chwaliło projekty ustaw Zjednoczonej Prawicy, tym bardziej ich potencjalni wyborcy będą wdzięczni Kaczyńskiemu.

łownia pozostanie dla polskiej polityki zjawiskiem nieistotnym”, i takie generalnie było myślenie. Teraz PO karmi się nadzieją, że Hołownia przeminie z wiatrem jak Ryszard Petru.

Bilans politycznego restartu po pandemii nie jest korzystny dla opozycji. Marazm ostatnich miesięcy był tłumaczony obostrzeniami, ale po ich zniesieniu nikt niczym nie zaskoczył. Wręcz przeciwnie – to opozycja wydaje się być zaskoczona końcem trzeciej fali i możliwością nieskrępowanego działania. Wspólny wróg nie tylko opozycji nie łączy, ale nawet udało mu się ją koncertowo podzielić. Sukcesy wynikły ze współpracy, jak choćby Senat, w którym blokowi złożonemu z PO, PSL i Lewicy udało się dwa lata temu odebrać większość PiS, czy dobre wyniki sondażowe wspólnego kan-

dydata na prezydenta Rzeszowa, poszły w zapomnienie.

O wspólnych listach wyborczych nikt nie myśli. Ponoć za wcześniej na taką rozmowę, choć wybory – jeśli brać na poważnie opowieści opozycji o „pozbawionym sejmowej większości Kaczyńskim” – mogą się wydarzyć niemal w każdej chwili. – Na pewno pójdziemy razem – słyszę od polityka Nowej Lewicy – jeśli PiS zmieni ordynację wyborczą do Sejmu i wprowadzi sto okręgów wyborczych, zamiast dotychczasowych czterdziestu jeden.

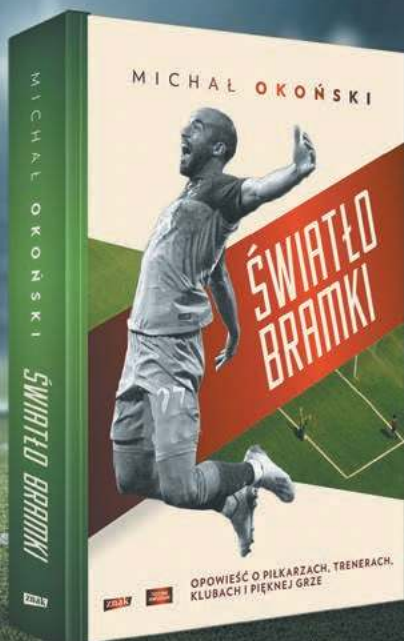
Takie rozwiązanie z miejsca redukowałoby szanse wyborcze ugrupowań małych i średnich, przy podziale mandatów liczyliby się tylko giganci. Ale trudno spodziewać się takiego ruchu po Kaczyńskim dziś, kiedy połączonym siłom opozycji sondaże dają zwycięstwo nad Zjednoczoną Prawicą.

Opozycja może wciąż podążać dotychczasową drogą i tym samym konserwować polityczne *status quo*. Może też przestać się wzajemnie zwalczać i wypracować wspólną strategię działań wobec Zjednoczonej Prawicy, skoro uważa obóz władzy za zagrożenie dla polskiej demokracji. To wymagałoby jednak sporej dojrzałości politycznej, a opozycja siedzi dziś w piaskownicy. Stąd krążący ostatnio po politycznym internecie żart, w którym Kaczyński mówi Bogu, że prosił o słabych przeciwników, ale chyba jednak Bóg nieco przesadził.

© KAROLINA LEWICKA

Autorka jest dziennikarką Radia TOK FM.

REKLAMA



Zapraszamy na premierę książki Michała Okońskiego

ŚWIATŁO BRAMKI

OPOWIEŚĆ O PIŁKARZACH, TRENERACH,
KLUBACH I PIĘKNEJ GRZE

poniedziałek 7 czerwca godz. 19.00

NOWY TEATR | Warszawa | ul. Małajskiego 10/16

W spotkaniu wezmą udział

MICHAŁ OKOŃSKI, PAWEŁ SOŁTYS I PIOTR ŻELAZNY

Wydarzenie transmitowane online. Więcej informacji: powszech.net/swiatlobramki



VIT CERNY / CTK PHOTO / PAP

Wspólny protest polskich, czeskich i niemieckich ekologów przeciwko planom rozbudowy kopalni węgla brunatnego Turów w miejscu styku trzech granic nad Nysą Łużycką, sierpień 2020 r.

Iskrzenie

MAREK RABIJ

Awaria w Bełchatowie i zamieszanie wokół kopalni Turów to tylko zwiastuny poważniejszych problemów. Archaiczna wizja suwerenności energetycznej te zagrożenia jedynie podsycą.

ISTNIEJE SFERA POLSKIEJ GOSPODARKI, której nawet zagorzały zwolennik prezentacji, jakim jest premier Mateusz Morawiecki, woli nie pokazywać w formie slajdów z wykresami. W rządowej propagandzie sukcesu liczą się wszak wyłącznie trendy wzrostowe, a w przypadku polskiego rynku energii elektrycznej rośnie tu akurat to, czym partia rządząca woli się nie chwalić – czyli ceny samego prądu oraz jego import.

W ubiegłym roku krajowy system zasililo 13,3 terawatogodzin (TWh) energii wyprodukowanej za granicą. W ten sposób udział importu w tym rynku

sięgnął 7,8 proc. – czyli blisko pułapu 10 proc. uważanego dość zgodnie przez ekspertów za próg bezpieczeństwa. Tej informacji próżno jednak szukać w rządowych komunikatach, a tym bardziej w materiałach „Wiadomości” TVP, gdzie o krajowym rynku energii mówi się najczęściej w kontekście jego suwerenności. Nawet w trakcie ostatniej awarii w Bełchatowie, która doprowadziła do tymczasowego wyłączenia bloków dających niemal 8 proc. mocy produkcyjnych krajowego sektora energetycznego, rządzący woleli nie podkreślać faktu, że sytuację uratował import prądu głównie z elektrowni niemieckich i czeskich.

Tygrys na głodzie

Jak w rzeczywistości wygląda polska suwerenność energetyczna, pokazują tymczasem dane Eurostatu, z których wynika, że Polska plasuje się w czołówce państw o największym zapotrzebowaniu na importowany prąd. W latach 2008-18 wzrosło ono aż o 60 proc. i nic dziś nie wskazuje na to, by udało się ten trend odwrócić lub przynajmniej wyhamować.

Po chwilowym pandemicznym prze-stoju polska gospodarka powinna jeszcze w tym roku nabrać ponownie rozpędu. Ekspert sektora przemysłowego już dziś bije rekordy: tylko w marcu polskie firmy sprzedawały za granicę towary za 110 mld zł.

W mocno energochłonnym budownictwie również hossa, a wysoka inflacja zachęca do konsumpcji, która z pewnością przełoży się na dalsze wzrosty zużycia energii przez gospodarstwa domowe. A tym samym na coraz słabszych fundamentach będzie posadowiona także rządowa opowieść o polskiej suwerenności energetycznej.

W zeszłym roku polskie elektrownie wyprodukowały niespełna 158 TWh energii – o 6 TWh mniej niż rok wcześniej. Winą można by oczywiście obarczyć lockdown i hamowanie polskiej gospodarki, ale spadek zużycia prądu był w rzeczywistości o wiele płytszy – z niecałych 175 do 172 TWh. Pandemia dała więc polskiej energetyce tylko odrobinę wytchnienia w chorobie, która toczy ją od lat. Krajowa produkcja prądu od 2015 r. nie nadąża za zapotrzebowaniem. Nadwyżkami produkcyjnymi branża po raz ostatni mogła pochwalić się siedem lat temu.

Kolejnym problemem jest oczywiście paliwo. Polski prąd powstaje nadal głównie w elektrowniach węglowych. Wprawdzie w ubiegłym roku jego udział w krajowym miksie energetycznym po raz pierwszy spadł poniżej 70 proc., ale wciąż utrzymuje się na poziomie, który pozabawia polską energetykę konkurencyjności. Koszty zakupu uprawnień do emisji CO₂ są dziś tak duże, że ceny pol-

skiej energii biją rekordy. W ubiegłym roku średnia cena megawatogodziny (MWh) na rynku SPOT sięgnęła nad Wisłą 55 euro i była zdecydowanie najwyższą wśród wszystkich państw naszego regionu. Szwedzi w tym samym czasie płacili za 1 MWh 32 euro. Niemcy – 39 euro. Słowacy – około 42 euro.

Wspólnym mianownikiem tamtejszych rynków jest szybko rosnący udział zielonej energii, wspierany przez prąd z atomu (przy czym Niemcy swoje elektrownie atomowe wyłączają do końca przyszłego roku). Tymczasem w oficjalnej polskiej wizji rozwoju źródła odnawialne – choć z roku na rok odgrywają coraz większą rolę w systemie, dostarczając już blisko 18 proc. energii – nadal nie mogą doczekać się statusu priorytetu. Dopiero w zeszłym roku PiS odważył się wydusić z siebie, że do 2049 r. polska gospodarka całkowicie zrezygnuje z eksploatacji „czarnego złota”.

Węgla mamy rzeczywiście dużo, ale Państwowy Instytut Geologiczny szacuje, że najwyżej 15 proc. rozpoznanych polskich złóż ma obecnie potencjał eksploatacyjny. Próg tej opłacalności ustalano jednak wyłącznie na podstawie kryteriów technologicznych i ekonomicznych, które muszą trafić natychmiast do kosza, kiedy o węglu zaczynamy mówić jak o rodowych srebrach albo wręcz widzieć w nim – oczywiście na potrzeby politycznego teatryku – budulec narodowej tożsamości. Emanacją tej postawy jest dziś krajowy rynek mocy, czyli narzędzie rynkowe, za pomocą którego – w dużym uproszczeniu – państwo może dotować produkcję energii z węgla i w ten sposób utrzymywać przy życiu martwą branżę górniczą. Jak szacuje organizacja HEAL, energetyka węglowa w Polsce otrzymuje łączne dopłaty w wysokości od 17,5 do 39,4 mld złotych rocznie (subwencje i dopłaty oraz zewnętrzne koszty zdrowotne).

Zabawa w udawanie, że wbrew całemu światu Polska może dalej produkować prąd głównie z paliw kopalnych, przestać być jednak możliwa w 2025 r., kiedy wejdą w życie międzynarodowe umowy zakazujące dotowania energetyki węglowej. Na dodatek zbiegnie się to w czasie z koniecznością wycofania z użytku przestarzałych bloków węglowych, które odpowiadają dziś za ok. 15-20 z 55 gigawatów (GW) zainstalowanych mocy – a najpóźniej do 2030 r. przestaną nadawać się do użytku. Co wtedy?

Rząd nadal ma opinię publiczną wizją polskiej elektrowni atomowej, ale w niespełna dziewięć lat nie zdoła oddać jej do użytku. Elektrownie atomowe buduje się ok. 15 lat. System uda się zapewne lekko zbilansować dzięki przestawieniu istniejących bloków węglowych na produkcję energii z gazu (dziś już ponad 10 proc. wytwarzanych mocy pochodzi z tego źródła), ale dla szybko rozwijającej się gospodarki, wspartej 770 mld zł z funduszy unijnych, może to być za mało. Zdaniem dr Joanny Maćkowiak-Pandery, szefowej Forum Energii, think-tanku zajmującego się polityką energetyczną, w tym newralgicznym okresie przejściowym kluczowe będą dla Polski relacje z sąsiadami, z którymi wiąże nas wspólny system energetyczny. – Jeśli nie jesteśmy w stanie wyprodukować tyle prądu, ile potrzebujemy, powinniśmy umieć dogadać się z sąsiadami, ile i na jakich warunkach możemy go pozyskać z zagranicy – podkreśla. – Budowa połączeń to nie wszystko. Powinniśmy mieć również dobry wgląd w plany energetyczne ościennych krajów.

Problem w tym, że zamiast rozwijać taką współpracę, Polska w ostatnich miesiącach robi wiele, by ją *de facto* zmarginalizować.

Zielony ład, ponury żart

Pod koniec kwietnia brukselskie media zainteresowały się billboardami, które zawisły w okolicach siedziby Parlamentu Europejskiego. Na przechodniów spoglądała z nich zasmucona dziewczynka przedstawiona na żółtym czarnym tle, a biały napis poniżej pytał w jej imieniu: „Dlaczego chcecie odebrać mojej rodzinie źródło utrzymania?”.

Adresatem zarzutu nie byli oczywiście brukselczycy, lecz pracujący w pobliżu eurokraci. Po szczegóły billboardy odsyłały zaś na stronę turow2044.pl, gdzie można było wyczytać m.in., że „gwałtowne zamknięcie kopalni w Turowie – o co zabiega czeski rząd – zamiast przyczynić się do poprawy stanu środowiska, doprowadzi do zapaści w wielu wymiarach: społecznym, ekologicznym, finansowym i energetycznym”. Po polsku, niemiecku, czesku, angielsku i francusku. Całość firmuje hasło przewodnie kampanii: „*Green deal, not a grim deal*”. W wolnym tłumaczeniu, podanym przez samych autorów strony, ma to znaczyć „Zielony ład, a nie dzika transformacja”.

Właścicielem witryny jest PGE Systemy SA, czyli spółka córka właściciela turowskiej siłowni. Adres zarejestrowano 1 grudnia 2020 r. – czyli niemal dwa miesiące przed złożeniem przez Czechy skargi do TSUE. Jak zapewnia Małgorzata Babska, rzeczniczka Grupy PGE, witryna miała pierwotnie być miejscem, z którego dziennikarze – także zagraniczni – mogliby czerpać wiarygodne informacje na temat kompleksu i jego znaczenia w polskim systemie energetycznym. Dopiero w kwietniu, na wieść o spodziewanej decyzji Trybunału, treść witryny zmodyfikowano – jak tłumaczy rzeczniczka – na potrzeby brukselskiej kampanii.

– Jeśli nawet tak było, to i tak strzeliliśmy sobie w kolano, bo kampanię przyjęto tu z niesmakiem – mówi jedna z polskich urzędniczek pracujących w Komisji Europejskiej. – Słabo to wygląda: strona czeska zgłasza konkretne problemy związane z funkcjonowaniem odkrywki i samym procesem przedłużenia koncesji dla kopalni, a Polska, zamiast rzeczowej odpowiedzi, próbuje szantażu emocjonalnego.

Płeczka faktycznie okazała się dla południowych sąsiadów banalna do odbicia. Czescy eurodeputowani przypomnieli, że Unia Europejska ma za zadanie dbać o dobrostan nie tylko polskich dzieci, ale także ich czeskich rówieśników. Ostatnie zdanie należało jednak do działaczy tamtejszego Greenpeace’u, którzy odkryli, że autorzy polskiej kampanii w pośpiechu uczynili jej twarzą anonimową dziewczynkę sportretowaną na zdjęciu dostępnym w jednym z serwisów fotograficznych. „Droga Adobe Stock – ironizowali Czesi w mediach społecznościowych – nikt nie zamierza odbierać twojej rodzinie źródeł utrzymania. Możesz kontynuować karierę modelki nawet już po zakończeniu transformacji regionu Zgorzelca”.

Polska urzędniczka: – Najsmutniejsze jest to, że Praga nigdy nie postawiła żądania natychmiastowego zamknięcia Turowa, choćby dlatego, że zaprzestanie

RDC **MONIKA OCHĘDOWSKA**
opowie Grzegorzowi Chładcę o zwyczajach srok (tekst na s. 86) w środę 2 czerwca o godz. 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

→ wydobycia węgla nie rozwiązałyby problemów z dalszym obniżaniem się lustra wód gruntowych. Ich oczekiwania sprowadzały się do tego, żeby Warszawa w pierwszym akceptowalnym dla obu stron terminie wyłączyła elektrownię i zamknęła kopalnię. Problem w tym, że tempo odchodzenia od węgla, które w większości krajów Unii uważane jest dziś za nazbyt wolne, w Polsce nadal uchodzi za ekspresowe.

Piraci nie żartują

Położona u styku granic Polski, Czech i Niemiec elektrownia Turów to czwarta pod względem wielkości siłownia węglowa w Polsce, dostarczająca do 5 proc. całej wytwarzanej w Polsce energii. Paliwo do jej bloków pochodzi z pobliskiej odkrytki o powierzchni sięgającej już 2,4 tys. hektarów, która niemal styka się z granicą niemiecką. Czechy są nieco dalej, ale od najbliższych zabudowań mieszkalnych po południowej stronie granicy kopalnię dzieli niespełna pięć kilometrów. Ten wykop zięjący w miejscu byłej wsi Turów działa niczym gigantyczny dren odsączający okolice z wód gruntowych. Północne wiatry niosą na czeskie pola i ulice chmury pyłów. Poziom hałasu zdaniem czeskich urzędników przekracza dopuszczalne unijne normy – zwłaszcza od czasu, kiedy Polacy wycięli część przygranicznych lasów przygotowując się do rozbudowy kopalni.

Kiedy więc wiosną ubiegłego roku turozowski kompleks otrzymał od rządu przedłużenie koncesji aż do 2044 r., w dodatku powiązane z zielonym światłem na rozbudowę, Praga poczuła się zlekceważona. Próby porozumienia się z polską stroną spaliły na panewce i w lutym 2021 r. Czesi złożyli w TSUE pozew o zbadanie legalności tej koncesji w kontekście prawa unijnego. Ich wątpliwości wzbudziła zwłaszcza szybka nowelizacja polskich przepisów, umożliwiająca wydłużenie koncesji o sześć lat bez przeprowadzenia kompleksowej oceny wpływu oddziaływania na środowisko.

Właściciel kopalni Turów starania o nową koncesję rozpoczął już w 2015 r., ale natrafił na silny opór południowych sąsiadów na etapie procedury transgranicznej oceny na środowisko. Czesi w trakcie wysłuchania stron domagali się budowy ekranu przeciwfiltracyjnego, który zatrzymałby dalsze obniża-

nie się wód gruntowych. Chcieli także takich samych odszkodowań dla swoich obywateli za szkody środowiskowe wywołane przez kopalnię, jakie przysługiwały mieszkańcom Bogatyni i okolic. Zamiast szukać porozumienia, Warszawa zmieniła więc reguły koncesjonowania. Jak twierdzą pracownicy PGE, dopiero z tymczasową koncesją w kieszeni spółka rozpoczęła starania o koncesję nadaną w trybie przewidzianym przez prawo UE. Za czeską zgodę na jej przyznanie podczas procedury transgranicznej oceny na środowisko uznano – jak wynika z naszych ustaleń – protokoły ze spotkań, w których czeszy wysłannicy jedynie wzięli udział.

– Nasz pozew do TSUE to oczywiście również cios poniżej pasa – podkreśla Jan Škvřňák, publicysta czeskiego „Deníka Referendum”. – Ale wasza dyplomacja polega ostatnio głównie na nieodbieraniu telefonów. Konkretów Praga doczekała się dopiero wtedy, kiedy wystrzeliła z grubej rury. No i oczywiście rząd gra w ten sposób pod publiczke, bo zbliżają się wybory, w których o głosy walczyć będzie z m.in. Czeską Partią Piratów, która w kwestiach ekologicznych jest od Babiša o wiele bardziej radykalna.

W efekcie, jak mówi Škvřňák, polska strona na własne życzenie pozbawiła się w sporze z Czechami amunicji. Nie dość, że bilateralny konflikt o odszkodowania i kwestie technologiczne przeniosł się na płaszczyznę wspólnotową, to jeszcze nabrał charakteru prawnego, bo TSUE na wniosek Pragi sprawdza teraz, czy Polska faktycznie przedłużyła koncesję kopalni niezgodnie z przepisami. Czeskim politykom w przededniu kampanii wyborczej Warszawa dostarczyła z kolei świetnego tematu zastępczego, którym można przykrywać grubsze krajowe bolączki.

– Na miejscu waszego premiera dogadywałbym się z Pragą jak najszybciej, bo po wyborach Piraci mogą wejść w koalicję z ugrupowaniem samorządowców, któremu przewodzi hetman [wojewoda – red.] kraju libereckiego, w skład którego wchodzić przecież gminy sąsiadujące z kopalnią Turów – śmieje się Škvřňák.

W Niemczech również odbędą się w tym roku wybory. Duże szanse na urząd kanclerza ma Annalena Baerbock. Szeftowa tamtejszych Zielonych.

© P MAREK RABIJ

Proszę coś zrobić z córką

PAULINA ZYWAR

Lidia na oddziale tnie ręce. „Lepiej sobie było mózg pociąć, co za beznadziejna dziewczucha” – słyszy od pielęgniarki. Nauczyciele wiedzą o orzeczonem ADHD. Ale karzą „za złe zachowanie”.

KILKA DNI WCZEŚNIEJ NAMALOWAŁA obraz. Stoi w jej pokoju – ciemny, przygnębiający. W tym samym pokoju wzięła leki, podduszała się i podcięła żyły. To była jej trzecia próba samobójcza. Po niej kilka dni spędziła w szpitalu na oddziale kardiologicznym. Była nieprzytomna. Potem dostała skierowanie do szpitala psychiatrycznego. Tam spędziła cztery tygodnie.

Był listopad 2020 r. Z powodu obustrzeń sanitarnych matka nie mogła jej zobaczyć. Kontaktowały się wyłącznie telefonicznie, ale komórkę pacjenci mogą mieć przy sobie dopiero od godzin popołudniowych.

Pierwszych kilka dni na oddziale to czas kompletnej izolacji z powodu pandemii – drzwi otwierały się tylko trzy razy dziennie na posiłek. Stan Lidii bardzo się wtedy pogorszył. Ale lekarz mówił, żeby nie dzwonić częściej niż raz w tygodniu z pytaniem o stan zdrowia dziecka. Zapewniał, że córka na nic się nie skarży.

– Pobyt po próbie samobójczej jest traktowany jako karny, żeby dziecko wiedziało na przyszłość, czego się nie robi. To jeszcze oczywiście niczego nikogo nie nauczyło – mówi ironicznie Bożena, mama Lidii.

Szpital ustalił też zasady dotyczące paczek. Jeden produkt w paczkach nie może przekraczać 100 gramów. W tej



KASIA KOZAKIEWICZ DLA „JP”

wadze trudno nawet o wafle ryżowe. Nie można kupować słodyczy, czipsów, orzechów, zupek w proszku, paluszków ani zielonej herbaty. Produkty muszą być fabrycznie zapakowane, więc odpadają domowe ciastka i kanapki. Dlaczego? Bo tak ustalił szpital.

Tymi zasadami mama Lidii nie jest już nawet specjalnie zdziwiona – razem z córką na oddziałach psychiatrycznych przeszła tyle, że mało co robi na niej wrażenie. – Każdego dnia Lidia prosiła: „Zabierz mnie, dzisiaj, najlepiej natychmiast”. Kompletna izolacja i brak stałych zajęć, rutyny, do której moja córka była przyzwyczajona, bardzo źle wpłynęły na jej stan. Można powiedzieć, że młodzi ludzie siedzą na oddziałach i patrzą w ścianę.

Takie dni zdarzały się też Bożenie, która od lat jest na lekach antydepresyjnych. Bez nich nie miałyby siły wspierać dziecka. Gdy opowiada, jej głos jest spokojny, pozbawiony emocji, rzadko zdarza się moment, by zadrżał. Czasem tylko Bożena milknie na chwilę, jak gdyby zapadała się we wspomnieniach.

Wstała i wyszła

Mijają trzy miesiące, jest początek lutego tego roku, późny wieczór. Mama

Lidii zauważa, że jej córka dziwnie się zachowuje. Jest bez kontaktu, jakby otępiała. Bożena leki trzyma pod kluczem, ale nie wyklucza, że Lidia sama sobie coś kupiła.

Wsadza córkę do samochodu. Jadą na najbliższy oddział psychiatryczny. Jest strach, ale nie panika – to nie pierwsza sytuacja, w której Bożena musi naglejechać z córką na oddział.

Lekarka po oględzinach i ujemnej próbie narkotykowej mówi, że dziewczyna musi trafić na oddział internistyczny do szpitala na badania i obserwację, a potem dopiero do szpitala psychiatrycznego.

W tym czasie Bożena z mężem czekają przed oddziałem, bo z powodu obustrzeń nie można przebywać na izbie przyjęć. Na dworze jest mróz, ratownik lituje się i wypuszcza ich w końcu do przedsionka. Karetka zabiera Lidię ze szpitala psychiatrycznego na internę. Dziewczyna skończyła w grudniu 18 lat, więc jedzie sama.

„A co z rzeczami? Córka nie ma nic ze sobą” – mówi Bożena do lekarki. Słyszy, że po badaniach poinformują, na który oddział psychiatryczny odwieźli dziewczynę. Nie wie, co myśleć, ale minęło już kilka godzin – jest ranek, więc Bożena z mężem wraca do domu. Jest wyczer-

pana, pada na łóżko, żeby złapać chociaż kilka cennych godzin snu.

Udaje się przespać dwie, może trzy. Czas płynie wolno. Po następnych paru godzinach nadal nikt nie dzwoni. Bożena dzwoni więc do jednego szpitala, potem do kolejnego. W głowie ma coraz większy mętlik, strach o dziecko jest inny niż wszystkie – uniemożliwia racjonalne myślenie, odsuwa rzeczywistość, zagrabiając dla siebie całą przestrzeń w głowie.

Nagle Lidia po prostu wchodzi do domu. Bożena od córki dowiaduje się, że karetka woziła ją kilka godzin po mieście, ale ze względu na covid nigdzie nie chcieli przyjąć nastolatki.

Ambulans wrócił więc z pacjentką do szpitala psychiatrycznego. Tam inny już lekarz, tak jak poprzedni, stwierdził, że Lidia musi w pierwszej kolejności trafić na obserwację na internę. Zadzwoił do jednego ze szpitali w Warszawie i zapytał, czy przyjmą.

Lidia z kompletem dokumentów od psychiatry została ponownie zawieziona przez karetkę na SOR. Ratownicy zostawili ją na korytarzu. Siedziała na krześle kilka godzin, nikt się nią nie zainteresował. Było już dobrze po południu, gdy po prostu wyszła i poszła do domu.

– Jakby się po drodze zabiła, to nawet nikt nie poczuwałby się do odpowiedzialności – mówi Bożena. W jej głosie tylko przez chwilę słychać frustrację, żal. A potem staje się bezbarwny.

Przez kolejne dni nikt się nie zainteresował losem Lidii, nie szukał jej żaden szpital. Internetowe Konto Pacjenta zarejestrowało tylko jedno wydarzenie – wyjazd w szpitalu psychiatrycznym. Nie ma śladu po wożeniu Lidii karetką po mieście ani przekazaniu jej na SOR.

Lidia z opieką szpitalną, która ze słowem „opieka” ma niewiele wspólnego, spotkała się nie raz. W ciągu sześciu lat na oddział psychiatryczny trafiła siedem razy.

Szpara w kracie

Jeden z gorszych pobytów zdarzył się, gdy miała 16 lat. Była po pierwszej próbie samobójczej. Dzieci na tamtym oddziale były praktycznie izolowane od rodziców. Odwiedziny dla opiekunów w dni powszednie trwają 25 minut. Pod drzwiami za każdym razem tłoczą się rodzice i czekają, by zadzwonić dzwonkiem o wyznaczonej godzinie – wtedy pielęgniarka otwiera drzwi i ich wypuszcza.

– Gdy któryś rodzic dzwonił o dwie-trzy minuty za wcześniej, to pielęgniarki

→ złośliwie otwierały jeszcze później, skracając czas wizyty – mówi Bożena.

Rodzice w ciągu 25 minut są w stanie zamienić z dzieckiem kilka słów, przebrać pościel, zabrać brudne ubrania i dać paczkę. Po odwiedzinach muszą punktualnie opuścić pokoje dzieci i czekać pod drzwiami wyjściowymi, które otwierają pielęgniarki.

– Przemoc w szpitalu wobec pacjentów była na porządku dziennym – wspomina Bożena i podaje kolejne przykłady. „Niegrzeczne” dzieci wiązano kaftanem bezpieczeństwa. Lidia widziała, jak jednego z chłopaków personel powalił na ziemię i zakłuł w kaftan dlatego, że wszedł do damskiej łazienki. Chłopiec ważył jakieś 50 kilo, czyli mniej więcej połowę tego, co mężczyzna, który go obezwładnił. Za karę pacjentom nakazywano przebierać się w pizamy dla dorosłych, o wiele za duże, więc żeby nie spadały z pupy, dzieci musiały je wiązać w pasie.

Okna w pokojach się nie otwierały. Personel otwierał je tylko na korytarzu. Lidia któregoś dnia stanęła przy takim oknie, żeby pooddychać. Pielęgniarka kazała jej odejść, twierdząc, że to zabronione, bo sugeruje chęć ucieczki. Wywiązała się dyskusja, więc kobieta wezwwała ochronę. Lidia została siłą odciągnięta od okna.

– Dowiedziałam się o tym, gdy zobaczyłam siniaki na jej nadgarstkach i zapytałam, skąd się wzięły. Nie wiem, jak można uciec przez szparę w kracie w oknie, która ma szerokość dłoni – mówi Bożena.

Lidia na oddziale pocięła ręce. Pielęgniarka, która opatrzyła rany, powiedziała do niej: „Lepiej sobie było mózg pociąć, co za beznadziejna dziewczucha”.

Bożena była wtedy w szoku. Napisała skargę do dyrektora placówki. Po trzech dniach jej córka dostała wypis, bo „mama miała obiekcje co do sposobów leczenia”.

Masz na mnie patrzeć

Lidia od zawsze była dzieckiem ruchliwym, wymagającym uwagi. I wyjątkowo uzdolnionym, choć opowieści, że każde dziecko z zespołem Aspergera będzie wybitnym matematykiem lub artystą, można włożyć między bajki.

Od czwartego roku życia płynnie czyta, pisać nauczyła się niewiele później. Pierwsza klasa podstawówki to były dla niej ciągłe nudy, bo wszystko, co mówił nauczyciel, już wiedziała. To przysporzyło jej pierwszych kłopotów.

Gdy jako pierwsza w klasie kończyła pisać rząd literek, dostawała następny do napisania. Jakby za karę – bo była zbyt szybka i zdolna. Na lekcjach często wyciągała książki, żeby czymś się zająć, albo rysowała. To było zakazane, trzeba było słuchać nauczycieli. „Nawet jak umiesz, to masz na mnie patrzeć” – mówili.

– Jak słuchała, ale nie patrzyła na nauczyciela, tylko dwa metry obok, to też było postrzegane jako niegrzeczność – opowiada Bożena. – To częste, że dzieci ze spektrum autyzmu nie utrzymują kontaktu wzrokowego. Są też bardzo szczere. Taka jest także Lidia, więc gdy nauczyciel ironicznie pytał, czy „nudzi ją to, co mówi”, odpowiadała: „Trochę tak”. Kiedy dzieci w świetlicy zjadły gruszeki, które nie były dla nich przeznaczone, i to się wydało, na pytanie nauczycielki jako jedyna podniosła rękę i dostała karę.

Nieposłuszna

Mimo ogromnej, jak na swój wiek, wiedzy, oceny miała zaniżane. Nawet opinia z poradni o wybitnych zdolnościach niewiele zmieniła. Zaczęła brać udział w konkursach i olimpiadach. Ale walka o świadectwo z paskiem była jak sinusoida – raz się udało, raz nie. Bo czasem zachowanie na koniec roku było tylko „dobre”, a to za mało, by uznać, że uczennica zasłużyła na czerwony pasek.

Mimo zalecenia poradni, że Lidia powinna mieć kształcenie indywidualne ze względu na wyjątkowe zdolności, realizowały je tylko dwie nauczycielki.

– Teraz mam do siebie żal, że się nie kłóciłam o to, że nie robiłam awantur – mówi Bożena. Lidia chodzi już wtedy na terapię: ma jej pomóc radzić sobie z emocjami. Przez lata spotkania nie przynoszą spodziewanych efektów.

W opiniach, które nauczyciele pisali na prośbę mamy Lidii, podkreślali wyłącznie złe zachowanie dziewczyny, jej niezdolność do współpracy i nieposłuszeństwo. Ani słowa o wyjątkowych zdolnościach.

W piątej klasie zdiagnozowano u Lidii ADHD – późno. Mama poszła z nią do poradni z własnej inicjatywy, żaden nauczyciel nic nie zauważył.

Pedagodzy nie zwracali też uwagi, że rówieśnicy Lidie prześladowali. Wyzywali, zamykali w toalecie, prowokowali do robiania tego, czego inne dzieci by nie zrobiły. Zachęcana przez nich mówiła do

nauczyciela, że beznadziejnie uczy. Jako dziecko z aspergerem nie miała hamulców i nie rozumiała, że tak się nie powinno mówić.

Wobec przemocy ze strony rówieśników dziewczyna po jakimś czasie przestała być bierna. Któregoś dnia trzy „koleżanki” zamknęły ją w toalecie i nie chciały wypuścić. Gdy w końcu wyszła, pociągnęła jedną z nich mocno za włosy.

– Przez miesiąc musiałam konfrontować się z rodzicami tej dziewczynki, którzy twierdzili, że zamknięcie w toalecie to nie przemoc, ale pociągnięcie za włosy już tak – opowiada Bożena.

Szkoła nie zrobiła nic.

Żyletki, nożyczki

Nauczyciele wiedzieli o orzeczonym ADHD, lecz za zachowanie dziewczyna była nadal karana. Do końca podstawówki nosiła do szkoły makulaturę i plastikowe zakrętki od butelek, żeby „odrobić złe zachowanie”.

– Prawie zamieszkałam w szkole, bo tyle razy byłam wyzywana za wszystkie „przewinienia” mojego dziecka – mówi Bożena. Od nauczycieli słyszała przez lata: „Proszę coś zrobić z córką, przecież ona nie może się tak zachowywać”.

Na koniec roku podsuwali jej plan realizowania indywidualnych lekcji, chociaż wcale się nie odbywały. – Byli zdziwieni, że nie chciałam podpisywać. Ale jakoś sobie radzili, znajdowali sposób, żeby to obejść – wspomina kobieta.

W szóstej klasie podstawówki mama zabiera ją do psychiatry, specjalisty od ADHD. Lekarz diagnozuje zaawansowaną depresję. W ciągu kilku miesięcy dawka leków zostaje zwiększona trzykrotnie, ale leczenie nie daje efektu.

Nastolatki zazwyczaj nie rozbierają się przed rodzicami, więc Bożena nie widziała świeżych cięć na ciele córki. O to, czy dziewczyna się okalecza, zapytał lekarz. Gdy powiedziała o tym w gabinecie, przestała się ukrywać – cięła ręce także poniżej rękawa. Żyletkami, nożyczkami. Różnie.

To był jej pierwszy pobyt na oddziale psychiatrycznym. Spędziła tam cztery tygodnie. Podczas pobytu zdiagnozowano zespół Aspergera. Jej stan od tego momentu zaczyna się jeszcze bardziej pogarszać.

W gimnazjum Lidia bierze lek na ADHD. Później powie, że to pomogło jej „wyjść z bagna, które miała w głowie”. →

Do spisu, gotowi, start!

1 kwietnia ruszył Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021. To jedyne badanie obejmujące swym zasięgiem wszystkie osoby przebywające na terenie Polski. Dzięki jego wynikom możemy dowiedzieć się, co zmieniło się przez ostatnią dekadę, i przewidzieć kierunki dalszego rozwoju.

Pytania w spisie

Pytania zawarte w formularzu spisowym zebrane są w ośmiu blokach tematycznych. Dotyczą między innymi stanu cywilnego, poziomu wykształcenia, wykonywanego zawodu oraz aktualnego miejsca zamieszkania. Niektóre pytania mają charakter dobrowolny, z możliwością zaznaczenia opcji „nie chcę odpowiadać na to pytanie”. Co ważne, Narodowy Spis Powszechny Ludności i Mieszkań 2021 nie obejmuje danych dotyczących poglądów politycznych czy wielkości naszych dochodów.

To więcej niż obowiązek

To fakt, że udział w spisie powszechnym jest obowiązkowy. Jednak chęć uczestnictwa w tym badaniu nie powinna wynikać z przepisów prawa, lecz ze świadomości korzystnego wpływu zgromadzonych danych na rozwój kraju i poszczególnych regionów. Warto pamiętać, że to wyraz obywatelskiej, patriotycznej postawy – właściwej współczesnym czasom.

Udział w spisie powszechnym jest bardzo prosty – jest to możliwe przez formularz dostępny na stronie **spis.gov.pl**. Wypełnienie formularza zajmuje najwyżej kilka minut.

Spis z nagrodami

Każda pełnoletnia osoba, która spisie się za pośrednictwem formularza internetowego (dostępnego na stronie **spis.gov.pl**), może wziąć udział w loterii. Po zakończeniu spisu system wygeneruje

unikatowy kod, który potrzebny jest do wzięcia udziału w loterii. Przyjmowanie zgłoszeń do loterii trwa od 22 kwietnia 2021 r. do 7 lipca 2021 r. na stronie **loteria.spis.gov.pl***.

Udział w loterii daje szansę na zdobycie nagród. W sześciu pierwszych losowaniach można wygrać karty przedpłacone o wartości 500 zł i 1000 zł. Nagrodami głównymi w losowaniu finałowym są samochody miejskie.

Losowania odbędą się w terminach: 07.05.2021, 21.05.2021, 08.06.2021, 18.06.2021, 02.07.2021 oraz 09.07.2021. Finałowe losowanie zaplanowane jest na **14.07.2021**.

Raz zarejestrowany kod bierze udział we wszystkich kolejnych losowaniach, również w tym finałowym. Oznacza to, że im wcześniej spisujemy się przez Internet i zgłosimy swój unikatowy kod na stronie loterii, tym więcej mamy szans na wygraną!

Regulamin i szczegóły dotyczące loterii można uzyskać, odwiedzając stronę **loteria.spis.gov.pl** lub dzwoniąc na infolinię loterii: **22 871 99 21****.

Gwarancja bezpieczeństwa

Wszystkie dane przekazane w spisie są objęte tajemnicą statystyczną regulowaną przez ustawę o statystyce publicznej i służą wyłącznie zbiorczym analizom statystycznym. Każda osoba biorąca udział w spisie ma zapewnioną pełną anonimowość. Oznacza to, że podawane w spisie dane są w pełni bezpieczne.

Aktualne informacje o spisie powszechnym dostępne są na stronie **spis.gov.pl** oraz na profilach GUS w mediach społecznościowych.

W przypadku pytań lub braku możliwości udziału w samospisie internetowym prosimy o kontakt z infolinią: **22 279 99 99****.

* Organizatorem loterii jest Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

** Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora.

Spis Powszechny to:



Obowiązkowe badanie realizowane raz na 10 lat przez Główny Urząd Statystyczny



Ustawowa gwarancja ochrony Twoich danych



Nowoczesna i bezpieczna forma spisu online



Więcej na **spis.gov.pl**

→ Ale dalej jej stan się pogarsza, a lek zostaje odstawiony, bo powoduje nadciśnienie.

Wraca poczucie bezsensu, apatia. Szkoła oferuje indywidualne nauczanie, które dobrze się sprawdza. Obie łapią oddech. Płytki, bo stan Lidii znów bardzo się pogarsza tuż po zakończeniu gimnazjum.

Fachowe cięcie

W liceum, które wybiera, panują sztywne zasady – nie można pić na lekcjach ani wyjść do toalety. Nie wolno też opuścić klasy w chwili dużego napięcia, co dla Lidii jest jak tortury. W nowej szkole wszystko ją stresuje – nowe zapachy, koledzy, nauczyciele.

Na lekcjach wyłącza się w jedyny bezpieczny sposób – zakłada słuchawki wygłuszające albo kładzie się na ławce i zasypia. Nauczyciele uznają to za objaw lekceważenia i braku wychowania. Jednocześnie wiedzą, że Lidia ma orzeczenie o zespole Aspergera i ADHD.

W pierwszej klasie, w marcu, Lidia podejmuje próbę samobójczą. Bierze opakowanie paracetamolu, leki na serce, które znajduje w domowej apteczce, i jeszcze kilka innych środków. Łąduje w szpitalu na pediatrii, zatrucie jest poważne. Potem znów dostaje skierowanie do szpitala psychiatrycznego.

Na oddziale nie ma jednak miejsc. Po próbie samobójczej Lidia wraca więc do domu. Bożena sypia coraz gorzej, w głowie brzmia jej słowa lekarza, że pomoc przyszła w ostatniej chwili.

Rodzina chodzi wokół niej na palcach, nikt nie wie, co robić, a czego nie, jak się zachowywać. Mija niecały rok i dziewczyna podejmuje kolejną próbę, tym razem podcina żyły na rękach. Cięcia są poprowadzone wzdłuż żył i bardzo głębokie, profesjonalne. W końcu Lidia jest świetna z biologii.

Jest wtedy na mieście, a jej mama na wyjeździe. Lidia pisze jej pożegnalnego SMS-a. Bożena dzwoni natychmiast na 112, policja namierza telefon córki, już wtedy wyłączony. Funkcjonariusze odwożą dziewczynę do szpitala. Lekarzom w porę udaje się zatamować krwawienie. Bożena wraca z wyjazdu najszybciej jak może. Pytanie: „dlaczego?” rozkłada na milion części. Gdy wracają do domu, Bożena niesie kurtkę córki. Jest przesiąknięta krwią.

– Lekarz mówił, że to nie było typowo „nastolatkowe”, płytkie cięcie – opowiada.



Na lekcjach wyłącza się w jedyny bezpieczny sposób: zakłada słuchawki albo kładzie się na ławce i zasypia. Nauczyciele uznają to za objaw lekceważenia, choć wiedzą, że Lidia ma orzeczenie o zespole Aspergera.

Znów dostaje skierowanie do szpitala psychiatrycznego. I tym razem tam jednak nie trafia, bo nie ma miejsc na oddziale.

Trzy minuty wizyty

Lidia wraca do szkoły. Wielu nauczycieli okazuje zrozumienie, ale nie wszyscy. Jeden pod koniec października mówi: „Zastanów się, czy to jest szkoła dla ciebie, bo przecież i tak nie zdasz”.

Stan psychiczny Lidii pogarsza się wraz z zamknięciem szkół, a nauczanie zdalne tylko dokłada problemów. Gdy odmawia włączenia kamery na zajęciach, nauczyciele wstawiają nieobecność.

W listopadzie 2020 r. Lidia maluje obraz. Ciemny, przynębiający. Ma być pokazany na wystawie z innymi pracami. Ale wystawa po raz kolejny jest odwołana z powodu koronawirusa. Lidii mówi o tym jeden z organizatorów wydarzenia. Reakcja dziewczyny budzi jego niepokój, jest wtedy późny wieczór.

Mężczyzna próbuje dozwonić się do mamy Lidii i do niej. Gdy się nie udaje, dzwoni na 112. Lidia w tym czasie podusza się, bierze opakowanie tabletek

przeciwbólowych i podcina żyły. To jej trzecia próba.

Przyjeżdża policja i karetka. Jest późny wieczór, Bożena jest kompletnie zaskoczona. Nagle jej głowa znów wchodzi na pełne obroty, szybko chwytając torebkę i jedzie z córką do szpitala. Na myślenie nie ma czasu.

Lekarz na SOR-ze mówi później, że to był ostatni moment, żeby ją uratować. Po kilku dniach na kardiologii Lidia trafia na oddział psychiatryczny. Ten, na którym spędziła cztery tygodnie bez odwiedzin z powodu pandemii...

Przy przyjęciu lekarka pyta ją, kto wezwał karetkę. Gdy Lidia tłumaczy, że znajomy, lekarka przerywa i dopatruje się zmywy: „I co, umówiliście się, że on też tu wylądował? Dzisiaj czy jutro? My go i tak nie przyjmujemy, takie pary jak wy są rozdzielane!”.

Potem pyta Lidie, gdzie schowała żyłkę: „Przyznaj się, bo zaraz ci zrobię rewizję osobistą i i tak ją znajdę”.

Bożena nie wierzy własnym uszom, a słyszała już wiele. – Poczułam się przeniesiona w czasie i rzeczywistości – mówi.

Z leczenia Lidii tuż po jej próbie samobójczej rezygnuje psychiatra. Mówi, że to dla niego za duża odpowiedzialność. Inny odmawia przyjęcia, gdy dowiaduje się, że dziewczyna dopiero co próbowała się zabić.

W końcu udaje się znaleźć psychiatrę, który przepisze leki. Wizyta u niego trwa od trzech do sześciu minut. W sam raz na wypisanie recepty i szybkie uzupełnienie karty.

Bożena zrezygnowała z pracy, żeby być z córką. Po jej ostatniej próbie boi się zostawić Lidie samą w domu.

Nie może sobie jednak pozwolić na długie bezrobocie – pieniądze szybko się kończą. Zasiłek, który dostaje na Lidie, wynosi 215 zł. Wizyta u psychoterapeuty kosztuje 165 zł (co tydzień). U psychiatry – 365 zł (przynajmniej raz w miesiącu). Leki na depresję – około 400 zł (raz w miesiącu).

Bożena nie pamięta, kiedy w ciągu ostatnich kilku lat przespała całą noc. Jej organizm jest wyczerpany na każdy dźwięk, nerwy napięte jak struny. Antydepresanty i leki kardiologiczne to część jej codziennego menu. Musi być gotowa na to, żeby po raz kolejny ratować życie swojej córki. Bo nikt inny za nią tego nie zrobi.

© PAULINA ZYWAR

DOROTA

Masłowska: Odloty



KIEDYŚ POKONYWAŁAM TĘ TRASĘ Z zamkniętymi oczami, o najbardziej poronionych porach porannych, godzinach samobójców. Jeszcze w półśnie wlokłam po ciemnych schodach walizkę, broniąc ciszę nocną drastycznym hu-

kiem kółeczek. Potem ich niosący się echem jazgot na chodniku, dźwięk konkurujący o złoty laur przykości tylko z jeżdżeniem styropianem po szybie. Chwila stuporu na przystanku... strasza samotność jedynej osoby w mieście. Może czasem tylko w nieprzyjemnej, przenikliwie zimnej ciemności przemknął jakiś błędny biegacz, największy radykał, niosąc słabe mgnienia odbłasków i szelst dynafitu. Wreszcie z rozkroku Raszyńskiej rodziło się niezgrabnie 175. W nim – ranne współzombie, współupióry. Wśród ziewnięć i nieprzytomnych spojrzeń, przyciskanych do piersi torebek i kubków z kawą, z lunatyczną dyscypliną kasowałam bilet i półdrzemałam, aż ogłoszono port lotniczy imienia Fryderyka Chopina. Potem odprawa, stanie w dłuższych lub krótszych kolejkach, gapienie się w loopujące się taśmociągi, krążące laptopy, telefony, kosmetyczki; tępy dźwięk przerzucanych przez kontrolerów kuwet, układy choreograficzne z wykrywaczem metali. Wreszcie – odlot.

Było to wszystko kiedyś, w tamtym świecie. Tamtym innym, zamazującym się już, nierealnym, nie pamiętam jakim. Nie byłam tu chyba półtora roku, dopiero niedawny news o zatrzymanym przez służbę celną, podejrzenie zachowującym się człowieku, w którego przewodzie pokarmowym tomograf wykrył 1,5 kg heroiny, sprawił, że zachciało mi się pojechać na Okęcie. Tam, gdzie Warszawa jest światem, może nawet wszechświatem.

Mężczyzna jakoby zachowywał się nerwowo i nie zgadzał na test pod kątem substancji psychoaktywnych. Załączone do newsa zdjęcie ukazywało ludzki korpus, w którego wnętrzu kapsuły z narkotykiem fluktuują między żebrami i narządami jak wielkie rozsypiane pęto serdelków, które wpadło do akwarium. Lotniska to niezwykle miejsca. Pętle życia. Wężowiska fabuły. Ile razy brnąć w pchającym się we wszystkich możliwych kierunkach, oszalałym, zgazowanym tłumie czułam, jak moje ciało i dusza targane są przez setki i tysiące sprzecznych energii i aur. Wielka maszyna losująca losów, historii, flór bakteryjnych. Jednak port lotniczy Chopina jest w tej chwili wszystkim, ale nie tym. Jest antytygłem, antykotłem.

Szarą nagą jamą. To nie jest czas podróży dookoła świata, tysiąca wysp. Wyeksponowane w kioskach magazyny dezaktualizują się, a pryzmy prince polo parcieją i pokrywają białym nalotem. Gołe baby na okładkach starzeją się i wiotczeją, więdną rukole w sałatkach o cenach iście saudyjskich. W księgarni jakieś mainstreamowe książki; mój wzrok od razu jednak przykuwa poradnik „Koniec świata. Krótki przewodnik po tym, co nas czeka”. Choć wielki remont ładnych parę lat temu podciągnął obiekt do standardów europejskich, wciąż dużo rzeczy pozostaje takimi, jakimi były, gdy w „W labiryntach” docent Duraj podejżdżał po żonę-stewardesę małym fiatem, a ona, w eleganckim płaszczu i wzorzystej apasce, wypadała z drzwi obrotowych, a potem wyjmowała z sakwojażu banana dla córeczki.

Byłam tu setki razy. Jednak jeszcze nigdy nie byłam tu po nic; ten nowy tryb wydaje mi się całkiem odkrywczy. Mimo że migocące tablice odlotów, zegary i dżingle mnie nie dotyczą, w żołądku czuję znajomy ścisk antycypujący nerwy i perturbacje. Służb jest więcej niż pasażerów, ilość połączeń mocno okrojona. Dwa loty do Mińska migają na czerwono – odwołane. Poza tym – parę osób, mały czas. Ofoliowane walizki. Sandały i skarpety. Robotnicy z Kirgistanu albo Armenii – mali, wyżyłowani mężczyźni swój majątek trzymający w reklamówkach z Carrefoura ciasno i bezpiecznie zamotanych na nadgarstkach.

Lotnisko to zawsze laboratorium czasu. Wiele różnych czasów płynących w różnym tempie, w różnych trybach i kierunkach. Dla jednych gonitwa, zawał i nierówna walka z kilkomina minutami do zamknięcia bramki, dla innych czyściec: markotne kwadransy niczego, mordowane bez przekonania tępych narzędziem. Czas zabijany przez wiele osób jednocześnie nadaje atmosferze specyficzną zawiesistość. Sprawia, że nuda lotniska jest obezwładniająca, hipnotyczna. Składa się na nią jasnoszary szum będący sumą rozmaitych szelestów, przesunięć, piknięć; przyciszonych głosów, rzadkich pipczeń skanerów i taśm unoszących walizy; sygnałów tak długo, aż wszystkie róże, piżma, piwonie i cydry zbijają się kakoфонicznie w ból głowy. Rzędy wstrętnych gadżetów: grający na fortepianie Chopin uwięziony w szklanej kuli z płatkami śniegu (*No place like Warsaw*), przewiązany białoczerwonym sznurkiem; upośledzona syrenka mrugająca z okładki notesiku, w którym nikt nigdy nic nie zapisze. Stworzone w MS-DOSie pamiętki grozy, o których chciałoby się od razu zapomnieć.

Ostatecznie najwięcej zawsze wnosi wizyta w gablocie z rzeczami skonfiskowanymi przez funkcjonariuszy służb celnych. Ta stała miniwystawa prezentuje wyroby galanterijne ze skór pytonów, ciosy słoni afrykańskich, zęby waleń, nalewkę z kobrą, ale też głowy tygrysów i nogę słonia, znalezione w bagażach pasażerów. Na dolnej półce, skrzętnie zrolowany i upchnięty, tkwi niedźwiedź polarny. To dziwne minizoo wiecznych zwierząt pośrodku naszego skromnego lotniska zdaje się niezamierzenie wiązać je z wszechrzeczą.

Takie są właśnie warszawskie odloty.

©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

CIAŁO BOGA

KS. TADEUSZ PABJAN, FILOZOF PRZYRODY:

Obecny stan wszechświata jest przejściowy.
Pełnia wciąż przed nami.

ARTUR SPORNIAK: Ponieważ „Bóg jest duchem” (J 4, 23), mamy odruch, by uważać chrześcijaństwo za sprawę duchową. To błąd?

KS. TADEUSZ PABJAN: Nie żyjemy w świecie duchowym, tylko materialno-duchowym. Bóg mógł przecież stworzyć świat tylko duchowy, ale z jakichś powodów stało się inaczej. I właśnie w takim świecie dokonuje się historia zbawienia. Tutaj Bóg objawia się ludziom. Tutaj następuje wcielenie. Chrystus jako Bóg przyjmuje biologiczne ciało, następuje jego śmierć na krzyżu, potem zmartwychwstanie, czyli przemiana materialnego ciała. Ewangeliczny zapis spotkań ze zmartwychwstałym Jezusem stanowi swego



rodzaju wskazówkę, jak nasze materialne ciała będą funkcjonowały po zmartwychwstaniu. Wiele prawd teologicznych dotyczy zatem wprost naszej cielesności.

Największym – jak się wydaje – problemem jest wyjaśnienie, w jaki sposób Bóg, który jest duchem, działa w świecie materii.

Teologowie, którym zależy na harmonizowaniu wiary z wiedzą naukową, proponują model nieinterwencyonistyczny. Zakłada on, że Bóg nie narusza praw przyrody, tylko działa poprzez nie.

Należy jednak pamiętać, że prawa przyrody – identyfikowane przez nauki przyrodnicze – odnoszą się tylko do sfery ma-

terialnej. Metoda empiryczna wychwytuje prawidłowości odnoszące się tylko do tej sfery. Natomiast z punktu widzenia teologii oprócz rzeczywistości materialnej istotna jest też rzeczywistość niematerialna, która przenika świat materialny. I dlatego muszą być też jakieś prawidłowości – niektórzy nazywają je prawami natury – które rządzą tym światem materialno-duchowym. Możemy więc mówić o prawach przyrody w węższym, empirycznym sensie i o prawach natury rozumianych szerzej.

Tak czy inaczej Bóg nie narusza porządku natury. Dlaczego?

Można podać wiele argumentów. Wyjaśnienie interwencyonistyczne często traktuje Boga jako kogoś, kto pozostaje na zewnątrz świata – zatem jeśli chce w świecie działać, to musi się niejako weń wdziierać. Tymczasem z teologii wiemy, że Bóg jest immanentnie obecny w stworzonym świecie. Cały czas podtrzymuje go w istnieniu. Takie rozumienie Bożej obecności w świecie nazywamy panenteizmem – w odróżnieniu od panteizmu, który utożsamia Boga ze światem.

Inny argument wskazuje, że skoro Bóg stwarzając świat nadał mu racjonalną strukturę, to w pewnym sensie działałby wbrew sobie, gdyby tę strukturę naruszał nieustannymi interwencjami. Z kolei teizm ewolucyjny przekonuje, że Bóg działa właśnie poprzez prawa przyrody, a nie na przekór tym prawom. Ten model Bożego działania w świecie przyrody łatwiej pozwala się uzgodnić z teoriami naukowymi.

Argumentem, który do mnie silnie przemawia, jest teologiczna prawda, że Bóg daje wolność stworzeniu – przy czym nie chodzi tylko o wolność daną nam, ludziom, ale też o autonomię całego stworzenia. To właśnie dlatego przyroda kieruje się swoimi autonomicznymi prawami, których Stwórca nie narusza. Na to zwracał uwagę już św. Tomasz. Jego zdaniem wszystkie byty działają mocą pierwszej przyczyny, czyli Boga, ale działają autonomicznie w ramach własnej możliwości.

Tomasz ciekawie odpowiada na pytanie, dlaczego Bóg tak postanowił. Zwraca

uwagę, że co prawda Bóg mógłby działać w bytach bezpośrednio, czyli jako pierwsza przyczyna, ale z miłości do stworzeń chce dzielić się z nimi „godnością przyczyny”. Chce, by stworzenia mogły być autentycznymi przyczynami zdarzeń. W przeciwnym razie musielibyśmy uznać, że Stwórca bawił się nami jak dzieckiem pociągające za sznurki marionetek.

Można by powiedzieć, że stwarzając świat, Bóg wycofał się ze swojej transcendencji w immanencję.

Teologowie mówią, że ograniczył swoją wszechmoc. W akcie stworzenia Bóg najpierw niejako musiał się wycofać. W teologii zwykle mówimy, że Bóg stworzył świat „z nicości”. Ale przecież przed stworzeniem nie było żadnej nicości – był tylko Bóg, wszechobecny i wszechmocny! By mogło powstać cokolwiek, co nie jest Bogiem, i co istnieje autonomicznie, Bóg musiał w pewnym sensie zrobić temu czemuś miejsce.

To ma swoje konsekwencje dla teodycei, która próbuje wyjaśnić, dlaczego Bóg nie interweniuje, gdy spotyka nas cierpienie. Gdyby interweniował, naruszyłby pozostawioną stworzeniom autonomię.

Oczywiście te wszystkie argumenty za nieinterwencyonistycznym modelem Bożego działania nie rozwiązują problemu, jak konkretnie Bóg działa, skoro nie narusza praw przyrody. Zwłaszcza kiedy pytamy o wydarzenia z historii zbawienia: o wcielenie i zmartwychwstanie. Musimy pamiętać, że gdy przyłożymy do tych wydarzeń jedynie empiryczną miarę nauk przyrodniczych, to nie trafimy w sedno. Kiedy np. w Ewangeliach Jezus mówi: „Twoja wiara cię uzdrowiła”, to jest to wyraźna sugestia, że rzeczywistość duchowa może wpływać na świat materii. Zresztą to samo czasem zdarza się dzisiaj: przy różnego rodzaju uzdrowieniach lekarze i empirycy rozkładają ręce i mówią, że współczesna medycyna nie potrafi tego wyjaśnić.

Ale być może za dziesięć lat medycyna tak się rozwinie, że będzie potrafiła dane zdarzenie wyjaśnić.

Coś, co dzisiaj uważamy za cud, możemy przestać za taki uważać w przyszłości. Dlatego m.in. uważam, że lepszym rozwiązaniem jest rozumienie cudu nie w kategoriach naruszenia praw przyrody, ➔



*Wielki Piątek,
adoracja krzyża i ciała Chrystusa.
Palermo, Sycylia, 30 marca 2018 r.*

ale w kategoriach znaku Bożego działania. Znak, do rozpoznania którego potrzebna jest wiara.

Jednak teolog australijski Denis Edwards w książce „Jak działa Bóg?” pisze, że „nawet wcielenie można pojąć nieinterwencjonistycznie”.

Jego argument jest właśnie taki: chociaż niektóre cuda wydają się naruszać obecnie znane prawa przyrody, to jednak nie naruszają tych najgłębszych, fundamentalnych praw, rządzących światem materialno-duchowym, których jeszcze nie znamy. Owszem, niektórzy teologowie i filozofowie odwołują się niekiedy do różnych procesów i zjawisk fizycznych – np. do nieoznaczoności kwantowych – przez które ewentualnie mógłby działać Bóg uzyskując zamierzone efekty bez naruszania obecnie znanych praw przyrody. Ale myślę, że w taki sposób nie potrafimy dziś wyjaśnić wcielenia – bez uwzględnienia tych najgłębszych, fundamentalnych praw, które decydują o zależnościach pomiędzy światem ducha i światem materii.

Joseph Ratzinger we „Wprowadzeniu w chrześcijaństwo” zauważa, że Bóg mógł się wcielić w dziecko poczęte przez dwoje rodziców i nie byłoby to przeszkodą dla realizowania historii zbawienia. Bóg posłużyłby się po prostu „przyczynami wtórnymi”.

Cały czas próbujemy przykładać empiryczną miarę do czegoś, co nie jest do końca empiryczne. Nic dziwnego, że to się nie udaje. „Techniczny” szczegółów Bożego działania w świecie prawdopodobnie nigdy tutaj nie poznamy. Ale np. dla mnie, jako człowieka wierzącego, nie jest to problem, bo moją relację z Bogiem opieram na zaufaniu, a nie na wyjaśnieniach empirycznych. Jest w nas pokusa, by wiarę do tego stopnia wzmacniać argumentami naukowymi, by stała się tak pewna, jak wiedza naukowa. Ale tej pokusi nie trzeba łatwo ulegać. Wiara musi ostatecznie pozostać wiarą i nie można jej zamienić w wiedzę.

Wiem, że to brzmi...

...jak unik.

Model nieinterwencjonistyczny ma szereg zalet, jest rozumowo atrakcyjny, ale nie można nim wszystkiego wytłumaczyć. Boga nie da się rozłożyć na czynniki pierwsze. Był, jest i pozostanie dla

nas tajemnicą. Można oczywiście próbować odwoływać się np. do znanego z mechaniki kwantowej procesu kreacji materii, by wyjaśnić pojawienie się Jezusa w łonie Maryi bez udziału mężczyzny. Ale takie wyjaśnienie to trochę takie zagłębienie Panu Bogu do rękawa. Chcę przez to powiedzieć, że „techniczne szczegóły” są w tym przypadku najmniej ważne.

Koniec świata będzie raczej jego przemianą, a nie unicestwieniem.

I nie musi być
gwałtowny.

Dla mnie są o tyle ważne, o ile pozwalają oddalić oskarżenie, że wiara jest sprzeczna z dobrze uzasadnioną wiedzą naukową.

Taka wiedza stawia jednak wierze pewne warunki graniczne. Zresztą najgłębsze intuicje wiary chronią tę harmonię. Np. dogmat chalcedoński wyjaśnia wcielenie, przekonując, że pełna natura Boska i pełna natura ludzka w Jezusie są zjednoczone „bez zmieszania i bez rozdzielania”.

Jest to jednak wypowiedziane językiem teologicznym z użyciem pojęć filozoficznych, to znaczy – nieempirycznych.

Idźmy zatem dalej. Edwards pyta: czy w zmartwychwstaniu Bóg obala, omija bądź zmienia prawa przyrody? I także odpowiada: nie!

Św. Tomasz z kolei uważał, że Bóg może działać ponad naturą lub obok natury, czyli jakby ponad prawidłowościami i prawami, które znamy. Zmartwychwstały Jezus ma materialne ciało, bo spożywa z uczniami rybę, jest ono jednak inne niż nasze ciała, bo Jezus pojawia się, znika, przechodzi przez zamknięte drzwi. Jego ciało jest przemienne. Moglibyśmy powiedzieć: nie podlega obecnie znanym prawom przyrody, czy wręcz narusza te prawa. Ale po raz kolejny powtórzmy: znane nam dziś prawa przyrody nie są ostateczne.

Można uznać, że te ostateczne będą jakąś modyfikacją czy rozszerzeniem obecnie znanych praw.

Ciekawą intuicję wypowiada na ten temat ks. Michał Heller. Jak wiadomo, teologia mówi nam, że zmartwychwstały Chrystus daje nam w pewnym sensie wgląd w rzeczywistość świata przemienionego. Inaczej mówiąc, ciało Chrystusa zapowiada, jak będzie wyglądało nasze ciało po zmartwychwstaniu. Heller dopowiada: niewykluczone, że po drugiej stronie zestaw obecnie znanych nam praw przyrody jest o wiele bogatszy, np. o zasady, które wyłączają zasadę wzrostu entropii (nieuporządkowania). To właśnie ta zasada odpowiada w naszym świecie za to, że z upływem czasu rzeczy niszczeją, a gdy idzie o nas, ludzi – że chorujemy, starzejemy się i umieramy. I po drugiej stronie ta zasada może już z jakichś względów nie obowiązywać. Heller uważa, że obecnie znane prawa przyrody są zaledwie niedoskonałym uśrednieniem tych prawd, które tam obowiązują. Analogią jest tu figura płaska – dwuwymiarowa – która jest jedynie niedoskonałym przybliżeniem figury trójwymiarowej. Sześciąt rzutowany na płaszczyznę daje kwadrat. Podobnie może być z prawami przyrody, które w przyszłej rzeczywistości mogą funkcjonować zupełnie inaczej.

Edwards, powołując się na Rahnera, pisze m.in.: „To, co objawia się w Jezusie jako część świata fizycznego, biologicznego i ludzkiego, ontologicznie, a nie tylko jurydycznie stanowi początek uwielbienia i przeobstwienia całej rzeczywistości”.

Jezus do Tomasza mówi: Dotknij mnie! Pokazuje, że ma ciało, ale już przemienne. Jest to zapowiedź – jak wierzymy – tego, co będzie udziałem całej materialnej rzeczywistości. Ale w szczegółach też niewiele o tym możemy powiedzieć. Eschatologia, mówiąc o końcu świata, raczej skłania się do twierdzenia, że będzie to jego ontyczna przemiana, a nie unicestwienie. Sięgając po przykład „geometryczny” – otworzy się na więcej wymiarów.

Czy to będzie przejście do innego świata albo innego wymiaru, czy raczej przemienienie, rozszerzenie tego świata?

Teologowie skłaniają się do sądu, że to będzie przemiana obecnego świata.

Jednak charakteru tej przemiany z całą pewnością nie możemy wyjaśnić czy zrozumieć przy pomocy obecnych kategorii naukowych. Zapewne nie będzie to numerycznie ta sama materia, choćby z tego prostego powodu, że w ciągu naszego życia nasze organizmy wymieniają atomy. Poza tym atomy krążą między organizmami. Po śmierci ciała rozkładają się, atomy trafiają do gleby, korzystają z nich rośliny, które z kolei zjadane są przez kolejne organizmy. Jeśli zatem wielu ludzi nosiło w swoich organizmach te same atomy, to komu się dostaną po zmartwychwstaniu?

Oczywiście jest w tym pytaniu wyraźne nawiązanie do problemu, o który zapytali Jezusa faryzeusze: czyją będzie żoną po zmartwychwstaniu, skoro tutaj miała kilku mężów? Odpowiedź Jezusa pokazuje, że to pytanie jest niezbyt mądre, bo to właśnie jest próba przykładania naszej ziemskiej miary do czegoś, co nie jest empiryczne. To samo trzeba chyba powiedzieć o ostatecznej przemianie całego świata. I właśnie dlatego mamy prawo do spekulacji na ten temat, ale musimy mieć świadomość, że może być zupełnie inaczej. Albo raczej: że na pewno będzie zupełnie inaczej.

Teologowie przekonują, że Bóg stworzył świat „przemienialnym”. „Zarówno zmartwychwstanie, jak i ostateczny udział w nim całego stworzenia zawsze były najgłębszym sensem stworzenia” – pisze Edwards.

Skoro rzeczywistość jest nie tylko materialna, ale także duchowa, musi być podatna na tę ostateczną duchowo-materialną przemianę. Należałoby więc uznać, że obecny stan świata jest przejściowy. Pełnia jest jeszcze przed nami.

Jak to uzgodnić z modelami kosmologicznymi wszechświata? Za kilka miliardów lat Słońce spali Ziemię.

Najbardziej prawdopodobny model kosmologiczny przewiduje, że ekspansja galaktyk będzie postępować coraz szybciej w nieskończoność. Tymczasem nasze Słońce zgaśnie. Taka jest perspektywa naukowa. Natomiast perspektywa teologiczna zakłada koniec świata. Jezus wielokrotnie go zapowiadał. Kiedy nastąpi? Tego nie wiemy. Może za miliardy lat, może za kilka lat, a może jutro. To, że wizja naukowa nie przewiduje nagłego



ARCHIWUM PRYWATNE

KS. TADEUSZ PABJAN jest doktorem habilitowanym filozofii, wykładowcą filozofii przyrody i filozofii nauki w UPJPII w Krakowie. Uczeń i współpracownik ks. Michała Hellera. Autor m.in. wydanych w wydawnictwie CCPress książek „Anatomia konfliktu. Między nowym ateizmem a teologią nauki” oraz „Świat najlepszy z możliwych? O dobroci Boga i pochodzeniu zła”.

zakończenia historii świata, nie oznacza, że go nie będzie. Zresztą wizja religijna też nie musi zakładać naglej katastrofy. Na pewnym etapie ewolucji kosmosu może po prostu nastąpić jego ontologiczna przemiana.

Skoro Bóg w swojej immanencji jest wszędzie – niektórzy wręcz mówią, że wszechświat jest ciałem Boga – jak rozumieć Eucharystię, czyli rzeczywistą obecność Chrystusa w konsekrowanej hostii?

W momencie przeistoczenia fizyczny i chemiczny skład hostii się nie zmienia, więc Eucharystia nie narusza żadnych znanych praw przyrody. Natomiast zmienia się duchowa rzeczywistość. Oczywiście wiary widzę w konsekrowanej hostii Chrystusa. Teologia, próbując to precyzyjnie opisać, sięga do pojęć filozoficznych i mówi o transsubstancjacji – czyli zmianie substancji przy niezmiennych przypadłościach fizycznych. Ale to jest język filozoficzny. Pod względem fizycznym jest to taki sam chleb jak przed przeistoczeniem.

Chodzi mi raczej o to, jak rozumieć tę nową „skomasowaną” obecność Chrystusa w hostii, skoro jako Bóg jest wszędzie obecny.

Należałoby się tu odwołać do różnych form istnienia. Inaczej istnieje Bóg w sensie panenteizmu, czyli jako fundament całej rzeczywistości. W Eucharystii mamy do czynienia z obecnością osobową i sakramentalną. Tu musimy odwoływać się do słownika teologicznego i filozoficznego.

Dlaczego wciąż tak niewielu teologów stara się harmonizować swoje myślenie z naukami przyrodniczymi, skoro jest to ważne i potrzebne?

Znam takich teologów, którzy publicznie głoszą, że nauki przyrodnicze nie są im do niczego potrzebne, gdyż teolog jest w posiadaniu pełnej prawdy objawionej przez Boga. To jest oczywiście nieporozumienie, gdyż w objawieniu otrzymaliśmy prawdy potrzebne do zbawienia. Natomiast nie otrzymaliśmy prawdy o świecie przyrody – o tym, jak wygląda i jak funkcjonuje. Tę prawdę musimy sami zaczerpnąć z nauk ścisłych.

Na tym nieporozumieniu „wyłożyli się” inkwizytorzy badający sprawę Galileusza.

On okazał się lepszym teologiem, gdy tłumaczył Inkwizycji, że Pismo Święte nie jest od wyjaśniania mechanizmów nieba. Informacje na temat funkcjonowania świata musimy zdobywać sami. Takie informacje daje nam nauka empiryczna, a teologia powinna je umieć wykorzystywać, gdy interpretuje prawdy religijne, np. dotyczące stworzenia. Pewne wskazówki na ten temat są już zawarte w Piśmie Świętym, np. Księga Mądrości głosi, że „z wielkości piękna stworzeń poznajemy przez podobieństwo ich Stwórcę”. Nauki empiryczne przybliżają nam tę wielkość i to piękno stworzenia.

Ostatecznie teologia musi się przecież odwoływać do jakiegoś obrazu świata, bo nie może wypowiadać swojej prawdy w sposób całkowicie abstrakcyjny. A to właśnie współczesne nauki dają taki obraz świata.

Tylko nauka ma metodę, która umożliwia ciągłe udoskonalanie zdobywanej wiedzy.

Nauki przyrodnicze na pewno wzbogacają interpretacje teologiczne, bo skoro wierzymy, że świat jest stworzony przez Boga, to poznając lepiej świat, poznajemy lepiej jego Stwórcę.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAK



Sprawy domowe

MARCIN CHODUŃ

To o tej wadowickiej kamienicy mówił Jan Paweł II podczas pielgrzymki w 1999 roku: „Ten dom był dla mnie szczególnie gościnny”.

NAJPIERW DO SIENI – PANUJE W NIEJ lekki półmrok i nieco piwniczny chłód. Potem krętymi i ciasnymi schodami w górę, by dotrzeć do skrytego za przysadzistymi drzwiami mieszkania na pierwszym piętrze. Jest pełne, niczym sklep antykwaryczny, obrazów, zdjęć, rzeźb i mebli. Rzekłbyś: domostwo, które dawno temu ktoś zamknął na cztery spusty, by nagle po latach znów je otworzyć, zupełnie niezmienione, na dzisiejszy świat.

Po śmierci ojca był to dla Karola Wojtyły jedyny prawdziwy dom w jego rodzinnym mieście.

Przyjaźń i braterstwo

Na stole talerz z trzema olbrzymimi bezami. – No, jednak nie kremówki – śmieje się pani Zofia. – Jesteśmy przeciwne sprowadzaniu pamięci o Janie Pawle II do wypieków – tłumaczy pani Anna.

Rodzina? Przodkowie? Tak, obie panie, siostry Siłkowskie, chętnie o nich opowiedzą: to dzięki nim przecież ten dom jest taki, jaki jest.

A więc, opowiada Anna, na portrecie z lewej strony – pradziadek ze strony matki, Tomasz Wądołny. Portretu drugiego pradziadka, Ksawerego Hommego, powstańca styczniowego, który z obawy przed zsyłką na Sybir uciekł do Galicji, niestety nie ma. Jest natomiast wizerunek jego syna, Kazimierza, który ożenił się z wadowiczką, Antoniną z Wądołnych – to oni właśnie kupili kamienicę nr 6 przy wadowickim rynku. Rodzina ze strony ojca pochodziła natomiast z terenów obecnej Ukrainy – pradziadek Franciszek Siłkowski osiadł w okolicach Krakowa. Dziadkowie Stefania i Józef Sił-



U góry: Anna Siłkowska w czasie prywatnego spotkania z Janem Pawłem II. Watykan, 1986 r.

U dołu: Zofia i Anna Siłkowskie w swoim domu w Wadowicach, 26 maja 2021 r.

kowscy zamieszkali w Podgórzu, właśnie tam w 1919 r. urodził się tatuś, Zbigniew Siłkowski. W 1928 r. dziadek, kolejarz, został oddelegowany do Wadowic – i tu tatuś poszedł do gimnazjum.

W szkole Zbigniew Siłkowski w piątej klasie poznaje Karola Wojtyłę. Był tak zajęty sportem i harcerstwem, że opuścił się w nauce i spotkał się ostatecznie z rocznikiem o rok młodszym. Znajomość przerodziła się w przyjaźń i braterstwo.

Dziadkowie Siłkowsky mieli kwaterek przy stacji kolejowej – ten domek nadal tam stoi. Tam właśnie Karol odwiedzał Zbigniewa. Albo Zbigniew szedł do mieszkania Karola na ulicy Kościelnej.

Ojciec opowiadał, że Karol bardzo lubił sport – grał w piłkę, jeździł na nartach i na łyżwach na zamrzniętym stawie koło stacji. Wiedział jednak, ile czasu można poświęcić na przyjemności, a ile na naukę.

Zawsze był bardzo obowiązkowy.

Maturę obaj zdali w 1938 r. Wcześniej ważne wydarzenie w ich życiu – sakrament bierzmowania. Świadkiem Karola był dziadziś Siłkowski, a tatusia – Karol Wojtyła senior.

Po maturze ich drogi się rozeszły – Zbigniew pojechał do szkoły artylerzystów we Włodzimierzu Wołyńskim, a Karol Wojtyła z ojcem do Krakowa.

Podczas okupacji kontakt się urwał. Chociaż wyrwykowe wiadomości o Karolu jednak dochodziły: że w lutym 1940 r. zmarł jego ojciec; że krótko potem Karol wstąpił do tajnego seminarium; że równolegle pracował w Solvayu; że w 1944 r. zamieszkał jako młody kleryk na Franciszkańskiej 3. Właśnie tam Zbigniew odnalazł swego kolegę w 1945 r. – gdy pojechał do Krakowa po metrykę urodzenia z powodu planowanego ślubu z Anną.

Smalec ze skwarkami

– To jest korespondencja naszego tatusia i Karola Wojtyły – pani Zofia kładzie na stole trzy ciężkie segregatory, wypełnione po brzegi listami.

Okazuje się, że listów z krakowskiego okresu życia Wojtyły nie jest aż tak wiele. Dlaczego? Zbigniew Siłkowski bardzo często po prostu odwiedzał swojego przyjaciela w Krakowie, dokąd jeździł w sprawach służbowych. Ilekroć był w Krakowie, zawsze zaglądał na Franciszkańską. Ksiądz biskup, a w późniejszych latach arcybiskup i kardynał, jeśli tylko

był w Pałacu Biskupim, zawsze witał go w progu: „Zbysiu, już siadamy i rozmawiamy!”.

Karol zawsze był ciekaw, co się dzieje w domu Siłkowskich. Bo był to dom dla niego szczególnie. Tu właśnie obchodził wszystkie uroczystości związane ze swoją duszpasterską drogą: prymicje kapłańskie, święcenia biskupie i kardynałskie.

– Prymicje zorganizowali nasi rodzice, ponieważ uznali, że Karol powinien mieć możliwość odprawienia pierwszej mszy w miejscu swojego urodzenia. Z tego domu wyszedł do kościoła, a po mszy, przy tym stole, w tym pokoju, pośród tych samych mebli, był uroczysty obiad – mówi Anna Siłkowska.

Kamienicę przy rynku Karol Wojtyła odwiedzał, kiedy tylko mógł.

– Pewnego dnia w lecie 1957 r. – wspomina Anna – wracamy z kościoła, a pod domem stoi grupa młodych ludzi. Zziębniętych, ale uśmiechniętych. Okazało się, że to ksiądz Wojtyła przyjechał z czterema swoimi studentami na rowerach z Krakowa. Ilekroć, już jako biskup, odwiedzał Wadowice z powodu bierzmowania albo odpustu lub tylko przejeżdżał przez rodzinne miasto – wracając np. z wizytacji w jakiejś parafii – zawsze zahaczał o nasz dom, żeby z nami posiedzieć.

Wyglądało to tak: najpierw kierowca, pan Mucha, przychodził sprawdzić, czy jesteśmy w domu. Stawał wtedy w progu i mówił: „Wielki pan jest”. Wtedy tatuś schodził na dół po przyjaciela. Gdy ten stał w progu, mówił zwykle do matusi: „Aneczko, coś bym zjadł”. Wizyta była najczęściej niespodziewana – zwykle po południu, gdy domownicy byli już po obiedzie. Czym tu poczęstować gościa? Najczęściej jednak wystarczało kwaśne mleko, jajka, placek drożdżowy z owocami: borówkami, truskawkami, wiśniami lub śliwkami.

– Najbardziej lubił proste jedzenie: chleb, flaki, smalec ze skwarkami – powiada Zofia Siłkowska. – Boże, ile on tego potrafił zjeść.

Normalny wujek

Karol Wojtyła, wspominając siostry, zawsze był obecny w życiu rodziny. Uczestniczył w ważnych dla niej wydarzeniach: ostatnie namaszczenie siostry mamy (zaraz po prymicjach w 1946 r.), pogrzeb dziadka Józefa Siłkowskiego w 1966 r., ślub Andrzeja i Małgosi (to ich przyrod-

nia siostra) w kościele Bożego Ciała w Krakowie, pogrzeb mamy, Anny Siłkowskiej w marcu 1978 r. (wtedy właśnie spotkał się po raz ostatni z rodziną Siłkowskich w jej domu).

Anna: – Wujek i kuzyn mamusi byli księżmi. I takim samym, normalnym wujkiem był dla nas też Karol Wojtyła.

Gdy został biskupem, Ania zaczynała pierwszą klasę. W szkole mówi do koleżanek: „To mój wujek”. A jedna z nich na to: „Wcale nie!”. Więc Ania w płacz. W domu pyta mamę: wujek to czy nie wujek? A mama na to: „Nie jest to bezpośrednia rodzina, ale on zawsze będzie waszym wujkiem!”.

– Przed wyświęceniem na biskupa – wspomina Zofia – tatuś przykazał nam, że od teraz mamy zwracać się do wujka „Wasza Eksceleńco”. I że już więcej nie będzie wieszania się na szyi, nic z tych rzeczy. A ja martwiłam się tylko jednym: jak pocałuję jego pierścień, klęcząc? Czy do niego dosięgnę? Więc na widok wujka w tym zdenerwowaniu wydałam z siebie przerażone: „Eksceleńco!”. A wujek na to się roześmiał: „Widzę, że tato już odpowiednio ustawił córki”. Po czym dodał: „Zapamiętaj sobie, że dla ciebie i twoich siostr do końca życia będę wujkiem!”.

Trzy banery

Zofia: – Nie wyobrażam sobie, że można się wyrzec zobowiązań czy spraw dotyczących szeroko pojętego domu: miasta, ojczyzny. W przeszłości obywatele, którym się lepiej wiodło – a nasz dziadek, aptekarz, do takich niewątpliwie należał – czuli się wewnętrznie zobowiązani, żeby coś zrobić dla miasta i jego mieszkańców. W takiej atmosferze byliśmy wychowywane.

Siostry Siłkowskie dawały temu wyraz w życiu publicznym Wadowic: w 2010 r. zaczęły jawnie krytykować działania ówczesnych władz miejskich. Powodem był remont rynku i ulicy biegnącej tuż pod ich domem. Uznały, że prace rewitalizacyjne są doskonałą okazją, żeby do kamienic doprowadzić gaz, miejskie ciepło oraz nową kanalizację. Mimo zapewnień ratusza nic takiego się nie stało.

Wedle sióstr Siłkowskich na ich pisma w tej sprawie władze miejskie albo nie odpowiadały, albo przysyłały świstki bez żadnych pieczętek.

Poczuły się oszukane. Uznały, że remont nawierzchni rynku bez gruntownej wymiany infrastruktury to była robota →

→ na pokaz. – Bo skoro gaz i ciepło miejskie biegają pod płytą rynku – tłumaczy Anna Siłkowska – to dlaczego nie mogły zostać podłączone do naszej i sąsiedniej kamienicy?

Postanowiły odtąd patrzeć na ręce władzom miejskim. Wraz z kilkoma osobami założyły stowarzyszenie Inicjatywa Wolne Wadowice. Kilka dni przed uroczystościami związanymi z beatyfikacją Jana Pawła II wywiesiły na swej kamienicy baner „Samorząd wadowicki zawsze niegospodarny” – dokładnie vis-à-vis baneru umieszczonego na miejskim ratuszu: „Samorząd wadowicki zawsze wierny Janowi Pawłowi II”. – Nie mogliśmy pojąć, jak samorząd mógł deklarować na transparencie wierność papieżowi, a jednocześnie lekceważyć mieszkańców i ich potrzeby.

Dr Mateusz Klinowski, współzałożyciel stowarzyszenia, wykładowca na Wydziale Prawa i Administracji UJ, burmistrz Wadowic w latach 2014-18: – Dla mieszkańców Wadowic taka postawa powszechnie szanowanej rodziny, wcześniej nie związanej z polityką i utożsamianej z Kościołem, urosła do miana symbolu.

Siostry nie poprzestały na tym. W kolejnych miesiącach na ich kamienicy pojawił się kolejny baner: „Władza to służba, a nie panowanie”.

Co miały na myśli?

– Chodziło o to, że w naszym kraju władza nie rozmawia z obywatelem. I nikt nie bierze pod uwagę, że radnym, burmistrzem, ministrem się bywa, a twarz ma się tylko jedną – tłumaczy Zofia Siłkowska.

Dzisiejsza sytuacja polityczna w Polsce? Pani Zofia idzie po papierosa: – Lepiej nie mówić, bo się brzydkie wyrazy pchają na usta.

Owszem, interesują się z siostrą wszystkim, co się dzieje w kraju. Brały udział w protestach – w obronie demokracji, niezależnego sądownictwa (właśnie one organizowały pierwsze protesty pod wadowickim sądem).

Zofia: – To, co się dzieje u nas z wymiarem sprawiedliwości, to zbrodnia. A co np. z hejterami, przecież żadnemu do dziś włos z głowy nie spadł.

Anna: – Jesteśmy katoliczkami, ale ta zaciekłość i nienawiść obecnej władzy wobec drugiego człowieka są odpychające. Nie z wszystkimi muszę się spotykać i przyjaźnić, ale każdy z nas jest człowiekiem, którego należy wysłuchać i starać

się zrozumieć jego racje. A dzisiejsza władza tylko atakuje.

Czarny protest? Nie, nie popierały go – ale przecież przepisami prawnymi nie można regulować spraw sumienia. Dziś, przyznają, są już nieco mniej aktywne – w pewnym momencie stwierdziły, że trzeba jednak trochę odpocząć. Ale wszystkie trzy banery mają schowane na strychu, na wszelki przypadek.

Trzy banery?

Tak, był jeszcze trzeci, który zawisł na ich kamienicy przed otwarciem muzeum Jana Pawła II. Nosił napis: „Nie budujcie mi pomników, zróbcie coś dobrego dla ludzi”.

Zgryzoty

Czy były przeciwne powstaniu muzeum Jana Pawła II w Wadowicach?

Nie, chodziło im tylko o to, żeby część zamieszкана niegdyś przez Wojtyłów była jak najwierniejsza pierwotnemu stanowi. A środek całej kamienicy został wyburzony i postawiony na nowo; mury pogrubiono, żeby nadbudować poddasze, które kiedyś było normalnym strychem. I to wszystko prawie za 30 milionów.

A przecież papież był bardzo skromnym człowiekiem. Nie miał wymagań. Zawsze starał się – wiedzą to od rodziców – podzielić z człowiekiem, który był w potrzebie. To muzeum, wedle sióstr Siłkowskich, w ogóle nie skłania do zastanowienia, co papież chciał nam powiedzieć. Czy w ogóle ktoś dziś studiuje jego nauki? Choćby te teksty, które wygłosił podczas pielgrzymek w Polsce – czy ktoś stara się je poznać? I te liczne pomniki – to na pewno nie jest to, o co chodziło papieżowi.

I Kościół w Polsce też nie jest taki.

Przyznają: smutno wygląda polski katolicyzm. Kościół powinien stać po stronie słabszych, a zbrała się z władzą i tylko to się dla hierarchów liczy. Przede wszystkim chodzi o to, co polski Kościół zrobił ze spuścizną po papieżu. Hierarchowie chyba uwierzyli, że skoro Jan Paweł II był Polakiem, to oni są tak samo święci, jak on. I rządzą, jak chcą.

Choćby religia w szkole – to klęska. Przydział jako katecheci w szkole dostają księża bez przygotowania i doświadczenia.

Ich największe rozczarowanie? Kardynał Dziwisz. Owszem, znały go. Tym bardziej nie potrafią pojąć, dlaczego człowiek, który był przez tyle lat blisko pa-

pieża, niewiele się nauczył. Widzą po nim brak odwagi cywilnej, a biskup ma być człowiekiem odważnym, bo jest odpowiedzialny za swoją diecezję.

Nadużycia w Kościele? Nie wierzą, że papież by nie reagował, wiedząc o wszystkim. Po prostu – te informacje do niego nie docierały. Inaczej być nie mogło.

Widziały przecież na własne oczy, jak zawsze przejmował się chorobami dzieci czy innymi nieszczęściami. Krzywda ludzka zawsze bardzo go bolała.

Jak stary Żyd

Pani Anna sięga po najgrubszy segregator: – To jest korespondencja tatusia i Kariola Wojtyły z okresu rzymskiego.

Są tu nie tylko listy, ale także zdjęcia. Na wszystkich gesty pełne czułości. Tu papież obejmuje Zbigniewa Siłkowskiego, tam – przytula Annę, jeszcze na innych – głaszcze po twarzy Zofię.

Odwiedzały papieża w Rzymie. Ojciec także i to wielokrotnie. Był u papieża przez dwa tygodnie po zamachu w 1981 r.

Zbigniew Siłkowski bywał też w Rzymie z córkami: z Anną w 1984 r., a z Zofią dwa lata później.

Gdy byli w Watykanie, papież zawsze starał się spędzić z nimi tyle czasu, ile tylko mógł; wspólnie jedli posiłki. Siłkowsky uczestniczyli także w mszy w papieskiej prywatnej kaplicy.

Zofia pamięta zwłaszcza jedną z takich porannych mszy – widziała, jak papież się do niej przygotowywał i jak po niej się modlił. – Ten widok będę mieć do końca życia przed oczami. Ten człowiek naprawdę rozmawiał z Bogiem. Jak ten stary Żyd: „Jak będzie jeden sprawiedliwy, uratujesz, Boże, to miasto?”.

Zapach domu

Po śmierci Zbigniewa Siłkowskiego w 1996 r. jego córki kontynuowały korespondencję z papieżem – pisała Anna, bo Zosia (tak mówi) zbyt bázgrze. Na wszystkich listach widnieje odręczny podpis papieża: „Wujek”.

Ostatni list od papieża siostry Siłkowskie otrzymały na tydzień przed jego śmiercią. Dziękował w nim za pamięć i dobre słowa. A także za beziki, które dla niego upiekły, i za słoiczek kompotu malinowego, który wysłały mu na wzmocnienie.

– Chciałyśmy, żeby mu w tym Watykanie pachniało wadowickim domem.



VATICAN MEDIA / AFP / EAST NEWS

Spotkanie papieża Franciszka z biskupami Konferencji Episkopatu Włoch, 24 maja 2021 r.

Ważny każdy głos

PIOTR SIKORA

Żyjemy w czasach dla Kościoła przelomowych. Stąd waga, którą do dobrego przygotowania najbliższego synodu przykładają Franciszki.

KWESTIA SPOSOBU PODEJMOWANIA DECYZJI w Kościele, władzy i odpowiedzialności jest dziś jednym z ważniejszych i najgorętszych tematów dyskusji o stanie chrześcijaństwa. Tego zagadnienia będzie w dużej mierze dotyczył najbliższy synod biskupów.

Synodalność Kościoła to jedna z głównych idei pontyfikatu Franciszka. Pojęcie synodalności wywodzi się z greckiego słowa *syn-hodos* – wspólna droga. W swoim etymologicznym znaczeniu ma zatem wyrażać, że Kościół to wspólnota ludzi, którzy razem podążają tą samą drogą – poprzez świat ku Bogu. Obraz to piękny, można powiedzieć, ale jak owa synodalność ma się realizować w praktyce?

Podążanie drogą przez wolnego człowieka zakłada jego świadomy, odpowiedzialny wybór danej ścieżki. W konsekwencji wspólna wędrówka zakłada współudział w podejmowaniu decyzji, w jakim kierunku i w jakim tempie

idziemy. Dlatego też kwestia synodalności Kościoła w istotny sposób wiąże się ze strukturą władzy i sposobem podejmowania decyzji w kościelnych wspólnotach.

Pierwotny wzór

Czytając źródła opisujące Kościół pierwotny można dostrzec, że obecni byli w nim liderzy, przełożeni, ale także to, że wiele decyzji podejmowano wspólnie. Tak było, gdy „helleniści zaczęli szemrać przeciwko Hebrajczykom, że przy codziennym rozdawaniu jałmużny zaniedbywano ich wdowy”. Dwunastu poprosiło wówczas wspólnotę hellenistów, by „upatrzyli sobie siedmiu mężów spośród siebie, cieszących się dobrą sławą, pełnych Ducha i mądrości”. Słowa Dwunastu „spodobały się wszystkim zebranym i wybrali” owych siedmiu. Dwunastu zaś „włożyło na nich ręce” (por. Dz 6, 1-6).

Widać tu ciekawy proces: oddolny głos niezadowolony z istniejącej sytu-

acji, który zostaje usłyszany przez odpowiedzialnych za wspólnotę; pomysł odpowiedzialnych, jak rozwiązać problem, akceptacja tego pomysłu przez wszystkich; powszechne wybory nowych „funkcyjnych” i ich zatwierdzenie przez przełożonych.

Podobne procesy opisywane są jeszcze kilka razy. Gdy Piotr wrócił do Jerozolimy po ochrzczeniu w Cezarei poganina Korneliusza, musiał tłumaczyć się „braciom pochodzenia żydowskiego”, dlaczego złamał zasady koszerności (por. Dz 11, 1-18). W Kościele w Antiochii decyzja o rozpoczęciu misji wśród pogan została podjęta pod wpływem Ducha wspólnie przez grupę proroków i nauczycieli: Barnabę, Szymona zwanego Nigrem, Lucjusza Cyrenejczyka, Manaena i Szawła (por. Dz 13, 1). Spór o konieczność zachowywania Prawa przez ochrzczonych pogan rozstrzygają „Apostołowie i starsi wraz z całym Kościołem” (por. Dz 15, 22).

W późniejszych wiekach ów proces wspólnotowego rozeznania i podejmowania decyzji był realizowany przez zgromadzenia (synody) biskupów z określonych regionów.

Zakładano jednak, że biskupi nie biorą w nich udziału we własnym imieniu, lecz jako reprezentanci swoich Kościołów lokalnych, często zresztą wybrani na swój urząd przez wiernych. Na zgromadzeniu dawali świadectwo, jak wierzy ich wspólnota. Po powrocie mieli zdawać jej sprawę z podjętych na biskupim

→ zgromadzeniu decyzji – np. Euzebiusz z Cezarei po powrocie z Nicei musiał się tłumaczyć, dlaczego podpisał wyznanie wiary zawierające słowo *homousios* (współistotny), w Cezarei uznawane dotąd za heretyckie.

Współczesne decyzje

Przypominam tę historię, gdyż najbliższy synod biskupów będzie poświęcony właśnie samej synodalności Kościoła. Różne zawirowania historyczne sprawiły, że nie funkcjonuje ona we właściwy sposób, co więcej – nie jest do końca jasne, jaki sposób należy uznać za właściwy. W wielu miejscach Kościoła rośnie świadomość, że obecny model podejmowania decyzji i podziału odpowiedzialności wyklucza większą część wierzących z aktywnej roli w kształtowaniu wspólnoty i prowadzi do licznych patologii. Pomysły, jak naprawić tę sytuację w sposób, który byłby wierny Ewangelii, są rozmaite i często ze sobą niezgodne. Potrzeba na ten temat jak najszerzej rozmowy.

W tym kontekście bardzo ważny okazuje się ogłoszony niedawno przez Watykan zreformowany sposób przeprowadzenia synodu. Synod ma być nie tylko pojedynczym wydarzeniem, ale procesem, który w zamierzeniu organizatorów ma zapewnić możliwość uczestnictwa jak najszerzym kręgom wiernych. Dlatego przyjazd biskupów do Rzymu przesunięto o rok – na jesień 2023 r.

Proces synodalny ma wyglądać następująco. Po liturgicznym otwarciu –

w Rzymie i we wszystkich diecezjach – Sekretariat Synodu prześle do każdej diecezji, do międzynarodowych ruchów religijnych, do zakonów oraz na fakultety teologiczne dokument przygotowawczy oraz kwestionariusz z pytaniami. Każdy biskup diecezjalny ma ustanowić osobę (lub zespół) odpowiedzialną za stworzenie możliwości, by wszyscy, którzy chcą, mogli wyrazić swoje zdanie. Zebrane w ten sposób głosy mają być przedyskutowane przez konferencje episkopatów i przekazane do Rzymu. Na podstawie zebranego materiału Sekretariat Synodu ma zredagować następny dokument roboczy. Ten dokument ma być dyskutowany przez biskupów na poziomie kontynentalnym, a wnioski znów przesłane do Rzymu. Na ich podstawie Sekretariat Synodu ma przygotować kolejny dokument roboczy – do dyskusji na samym zgromadzeniu synodalnym. Cały proces rozpocznie się jesienią bieżącego roku i potrwa dwa lata.

Wyraźnie widać, że intencją organizatorów synodu o synodalności jest to, by podjęte na nim decyzje brały pod uwagę jak najszerze spektrum opinii istniejących w Kościele. Za takim, a nie innym sposobem organizacji procesu kryje się zatem określona wizja, czym jest i jaką wartość ma synodalność. Trzeba to docenić. Warto jednak także postawić pytania.

Wątpliwości i zaangażowanie

Przedstawiony proces ceduje odpowiedzialność za umożliwienie wypowiedze-

nia się wszystkim wiernym na biskupów diecezjalnych. Jest to zgodne ze starożytnym pojmowaniem roli biskupa. Zakłada jednak, że na poziomie diecezji komunikacja pomiędzy biskupami a wspólnotą przebiega właściwie. Problem polega na tym, że w wielu lokalnych Kościołach tak nie jest. Brakuje zaufania, dialogu i współpracy. Liczne oddolne głosy krytyczne dotyczą właśnie sposobu postępowania konkretnych biskupów diecezjalnych i konferencji episkopatów. Z taką sytuacją mamy do czynienia m.in. w Polsce.

Powstaje zatem pytanie, czy głosy krytyczne wobec funkcjonowania obecnych struktur kościelnych i wskazujące, że synodalność wymaga radykalnych i daleko idących zmian, zostaną usłyszane, uwzględnione i adekwatnie przekazane „wyżej” w przypadku tych Kościołów lokalnych, w których biskupi nie są zbyt otwarci ani na dialog z wiernymi, ani tym bardziej na krytykę z ich strony.

Niezależnie od wszelkich ograniczeń i niedoskonałości zaproponowanej procedury warto, by wszyscy, którym leży na sercu funkcjonowanie Kościoła, zaangażowali się w proces synodalny. Franciszek daje jasny sygnał: chce, by wszyscy katolicy myśleli nad tym, jak powinny wyglądać i działać chrześcijańskie wspólnoty, chce też, by głos wszystkich był słyszalny i uwzględniony w rozstrzygnięciach zgromadzenia biskupów. Chodzi – jak sugeruje oficjalne określenie tego synodu – o wspólnotę, uczestnictwo i misję.

© © PIOTR SIKORA

TYGODNIK
POWSZECHNY

Podkast
Powszechny

Zapraszamy do słuchania autorskich cykliów podkastów „Tygodnika Powszechnego”

Punkt zwrotny

Katarzyna Kubisiowska
i jej goście

#DOM

czyli rozmowy Krzysztofa Storego
o małej ojczyźnie

LEKtura

czyli Grzegorz Jankowicz o tym,
co i dlaczego warto dziś czytać

Sztuka powszechnie nieznaną

Magdaleny Łanuszki, która odkrywa
dla nas na nowo średniowieczne dzieła

Miesiąc w nauce

z autorskim przeglądem newsów
naukowych Łukasza Lamży

Opowieści z Izraela

korespondencje Karoliny Przewrockiej-Aderet



Więcej na powszech.net/podkast



weź, słuchaj!

ZUZANNA

Radzik:

Kąpiel nie wystarczy



„WIECIE, TO JEST JAK W TYCH WSZYSTKICH książkach, które czytałam. Mówię coś, a oni jakby nie słyszą – zaczęła niepewnie koleżanka, która jest jedyną kobietą w zarządzie technologicznej spółki. – Siedzę zdumiona, zastanawiając się,

czy to możliwe. Potem rozważam, czy nie jest tak, że faktycznie za cicho mówię lub mam nie ten tembr głosu. Znać to? Potem któryś powtarza to samo i okazuje się, że to świetny pomysł. Nie wiem, co mam zrobić, tylu sposobów próbowałam. Nie mam już do tego siły. Ale potem przypominam sobie, że mam dwie córki w domu. Przeraża mnie, że będą żyły w takim świecie. Próbuje znowu”.

Kiedy to mówi, reszta z nas ze zrozumieniem kiwa głowami. Bo nawet jeśli to nie o nas samych, przecież dobrze to znamy. Ten moment, gdy porównujesz notatki, zauważasz wreszcie lub pierwszy raz nazywasz to, czego doświadczasz. Albo pierwszy raz się z kimś dzielisz swoimi obserwacjami, badając spojrzeniem, czy nie zostaniesz uznana za wariatkę. Więc słuchasz i masz ochotę przygarnąć ją ramieniem, mówiąc: siostró! Dusza krzyczy ci: o nie, kolejna. A głowa wie, że tak zwyczajnie jest.

Choć bywa i tak, że kobiety w takich sytuacjach uparcie nie przyjmują za możliwe, że chodzi o płęć. Po prostu nie są wystarczająco dobre, po prostu muszą się bardziej postarać, pasować, komunikować tak, by być słyszane. Zadbać o uczucia innych, by z ich obecnością, zdaniem, głosem nie poculi się źle. Jak zawsze być grzeczne i odrobić lekcje.

Nie wiem, na ile z nich potem przychodzi to, co opisały w swojej wspólnej książce siostry Emily i Amelia Nagoski, które poradnik o wypaleniu tworzyły z myślą o kobietach. Nie, żeby przynosił wiele zaskoczeń, bardziej tłucze jeszcze raz do głowy znane prawdy o tym, jak o siebie dbać i że nic nie powinno być ważniejsze, bo jak się dojedziesz i wykończysz, to niewielki z ciebie w świecie, rodzinie czy pracy pożytek.

Same piszą, że jeśli masz zapamiętać jedną rzecz z ich książki, to zapamiętaj, że trzeba spać. Najlepiej więcej niż siedem godzin. Inaczej twój organizm nie udźwignie stresu, który niesie życie, i zwykłego zmęczenia. I o ile okresowo człowiek nie może tyle spać, bo dzieci czy pilne ważne zadanie, to już zakładanie, że w imię wyidealizowanej produktywności służbowej lub życiowej warto spać mniej, jest zwyczajnie szkodliwe. Czytam, myślę, że banał w sumie, a potem przypominam sobie te piękne świty i późne noce, które pozwalały mi zmieścić studia czy pisanie obok etatowej pracy. Pamiętam też satysfakcję – dziś wiem, jak głupią – że tak twórczo ciągnę na tych czterech, pięciu godzinach snu.

Na czym jednak polega to, że – jak twierdzą autorki – jest to poradnik feministyczny? Otóż obok uniwersalnych przestroż, że należy spać, odżywiać się sensownie i ruszać, oraz porad, jak zamykać cykl stresu, czynią szokujące założenie. Założenie, że przepracowany i wypalony człowiek może być kobietą. A to oznacza, że przepracowana będzie ona też dlatego, że statystycznie więcej uwagi niż jej partner poświęca dzieciom i prowadzeniu domu. A nawet gorzej – że sporo codziennego stresu, który odkłada się potem w wypalenie, kosztuje ją bycie w nieżyczliwym kobietom świecie.

Po prostu, zmęczenie kobiet to również zmęczenie patriachatem. To koszt emocjonalny związany z obcowaniem z nim, uchylaniem się od jego uderzeń, dostosowywaniem. Stres i zmęczenie związane też z tym, że wychowano cię wśród oczekiwań, że będziesz tą, która daje, zaopiekuje, poświęci się. Że obliczysz miarę swojej wartości w umytych oknach i idealnych babeczkach na szkolną imprezę. Jest też oczekiwanie, że będziesz miłą i ładną. Bycie miłą to nie tylko niewykrzywienie swojej krzywdy, ale brak codziennej asertywności i często niebranie pod uwagę swoich potrzeb – nawet najprostszych i koniecznych dla zdrowia. Alternatywnie można nawigować tak, by asertywność nie uraziła. Ale to nie dzieje się bez kosztu. Czy postanowisz służyć temu obrazowi idealnej kobiety, czy przed nim uciec, czeka cię praca. Praca, stres, zmęczenie. Potem ciało, zdrowie, życie, rodzina – wystawiają za to rachunki latami.

„Regeneracja jest częścią treningu” – powtarza mi Karolina Hamer, medalistka i paraolimpijka. Mówi to wtedy, gdy uważam, że nie mam prawa się zatrzymać. Zakładam, że po dwudziestu latach treningów wie, co mówi. Choć to i proste, i trudne. Ale teraz mam ochotę dopytać: Karola, ale jak się zregenerować od patriachatu? Kąpiel może nie wystarczyć, ani spacer.

©

TYCODNIK
POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet” dostępne jako e-book
na powszech.net/emockobiet



PRAWDZIWE KOSZTY SZPARAGA

Korespondent „Tygodnika” zatrudnił się na niemieckiej farmie szparagów. W tym świecie Polacy i Rumuni są obywatelami drugiej kategorii.

TEKST I ZDJĘCIA ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BRANDENBURGII



SZPARAGI TO JEDNO Z NIEMIECKICH WARIETW. Jeszcze marcowe chłody nie zdążą odpuścić, a już zaczyna się odkurzanie przepisów i wypytywanie w sklepach. Przeciętny Niemiec zjada w sezonie 1,7 kg szparagów.

Niemcy kochają jeść „króla wszystkich warzyw”, jak pisał o szparagu narodowy poeta Johann Wolfgang Goethe. Ale za żadne skarby nie chcą go zbierać. To bez dwóch zdań ciężka praca. W słońcu, deszczu i błocie, od rana do wieczora w zgieciu. Każdy pęd trzeba wyciąć i wyciągnąć z ziemi ręcznie. To zajęcie dla obcokrajowców, np. Rumunów i Polaków, którzy przyjeżdżają tu w sezonie, zachęceni przez korzystny, wysoki kurs euro.

Losy cudzoziemców na niemieckich polach stały się tematem publicznym wraz z wybuchem epidemii. W marcu 2020 r. polski rząd zamknął granicę z Niemcami, ale Niemcy nie zdecydowały się na taki krok. Powód? Pracownicy sezonowi. Zbliżał się kwiecień i trzeba było zaczynać zbiory. Z kolei Rumunów niemieccy przedsiębiorcy rolni sprowadzali czarterowymi samolotami. 11 kwietnia tamtego roku 57-letni Rumun zmarł po zejściu z pola w miasteczku Bad Krozingen, w Badenii-Wirtembergii. Potwierdzono u niego COVID-19.

W tym roku postanowiłem zatrudnić się na tydzień na jednej z największych plantacji szparagów, aby przekonać się, na jakie warunki mogą liczyć pracownicy sezonowi z Rumunii i Polski. Wybrałem firmę, która – sądząc po tysiącach komentarzy w internecie – od kilkunastu lat cieszy się popularnością wśród rodaków. To zarazem jedyna z wielu firm, do jakich dzwonię, która przed zatrudnieniem nie chce ode mnie absolutnie niczego. Rozmowa rekrutacyjna trwa kilka minut. Potrzebne kwalifikacje? Wystarczy, że mówię po polsku. Jedyne pytanie z haczykiem pada na koniec: – Wie pan, że to ciężka praca?

Potwierdzam.

– To niech pan przyjedzie w piątek.

Podpis w ciemno

Moje nowe miejsce pracy znajduje się 80 km na zachód od Berlina. Trzeba na własny koszt dojechać do gospodarstwa położonego wśród pól i lasów. Podróżuję z jedną dużą torbą sportową, do której

pakuję niezbędne rzeczy: ubrania, talerz, garnek, patelnię, sztućce, jedzenie i kalosze.

Na miejsce dojeżdżam w piątek po południu. Wchodzę po schodkach do sali, gdzie po wypełnieniu kilku dokumentów meldunkowych polska pracownica firmy przynosi umowę. Nie mogę przeczytać jej treści. Kobieta uchyla tylko skrawek papieru i pokazuje palcem, gdzie mam podpisać. – I jeszcze tu, i tu, i tu – wskazuje na kolejnych stronach. Na koniec wyrывa i wręcza mi tylko ostatnią stronę. To aneks, z którego wynika, że „wynagrodzenie w wysokości 1406 euro brutto zostanie zagwarantowane”.

Następnie zostaję poinformowany, że przez dziesięć dni będę znajdował się w grupowej kwarantannie, i że oprócz czasu pracy nie mogę opuszczać hotelu pracowniczego. Na koniec dostaję trzy maseczki w kopercie i małą butelkę z płynem dezynfekującym.

Początkowo wygląda to, jakby firma dbała o ochronę pracowników przed epidemią. Wtedy nie wiem jeszcze, że w drugim zakładzie tego samego przedsiębiorstwa brytyjski wariant koronawirusa dosłownie dziesiątkuje już pracowników sezonowych.

Wciąż nic nie czuję

Kierowca zabiera mnie do domu, w którym zatrzymam się przez nadchodzące siedem dni. Trzy takie domki, szeregowce, stoją w lesie. Wchodzę do małego pokoiku na parterze. Jest duszno i śmierdzi pasztetem. Mój współlokator ledwo co wrócił z pola, wyciągnął spod łóżka słoik z własnymi wyrobami, chleb tostowy z lodówki i zabiera się za jedzenie. Kolejne kanapki przepijam piwem z pobliskiego supermarketu. – Tadek – rzuca w przerwie pomiędzy przełykaniem. – Ty śpisz po drugiej stronie – pokazuje. – Tam wcześniej leżał gość, który zachorował na covid – mówi [imiona bohaterów tekstu, robotników sezonowych, zostały zmienione – red.].

Współlokator tłumaczy, że mój poprzednik przyjechał do pracy z fałszywym testem na koronawirusa. Po jakimś czasie zaczął się źle czuć, nie mógł wstać z łóżka. W końcu poprosił o zrobienie testu. Wynik był pozytywny. Tadek ściągnięto z pola. Obaj trafili na kwarantannę. Firma nie przetestowała jednak innych pracowników, z którymi Tadek

Pracownicy sezonowi na polu szparagów w Brandenburgii. Niemcy, maj 2021 r.

→ i jego były współlokator codziennie się spotykali: w pokojach, na korytarzach, w łazience i autobusie.

Mężczyźni leżeli przez dziewięć dni w oddzielnych pokojach. Tadek stracił węgę i był słaby, ale kolejne testy dały wynik negatywny. Najgorsze w tym wszystkim dla niego było to, że – jak wspomina – nie mógł pracować. Bo zasady są takie: nie pracujesz, nie zarabiasz. Firma opłacała przez ten czas tylko tzw. socjał, czyli 9,80 euro, które normalnie pracodawca potrąca za dobę pracownikowi, za mieszkanie i obiad.

Po opowiedzeniu covidowej historii Tadek demonstracyjnie przykłada nos do butelki piwa. – Nadal nic nie czuję – mówi.

Wieczorem udaje mi się zabrać z dwoma polskimi pracownikami do supermarketu. Łamię zakaz opuszczania hotelu pracowniczego, bo nikt tego nie pilnuje, a po drugie mam ważny powód: zapomniałem spakować kubek i klapki.

Wracając, znajdujemy się na drodze, na której prawy pas zarezerwowany jest dla autobusów. Kierowca rozpędza starego volkswagena i szybko wyprzedza buspasem auta jadące przepisowo po lewej stronie. – Jebani Niemcy, im się nie śpieszy, nie muszą harować tak jak my – rzuca.

Gdy dobijamy do setki, widać w oddali, że na naszym pasie stoi zaparkowane auto, a na lewym wciąż są inne pojazdy. Kierowca hamuje ręcznym, prawie wpadamy w poślizg, ale udaje się nam zmieścić w lukę między pasami. – Nie mam sprawnych hamulców, zawsze muszę hamować ręcznym – zdradza mi z rozbawieniem kierowca.

Dzień pierwszy

Wcześniej praca przy szparagach kojarzyła mi się wyłącznie z wysiłkiem na polu. Teraz przekonuję się, że wycięcie i wyjęcie szparaga z ziemi to dopiero początek.

Skrzynki, wypełnione długimi pędami, są przywożone do głównej siedziby firmy. Zanim trafią na halę, muszą zostać włożone do wanien. Właśnie tam tzw. grupy wysyła mnie na pierwsze trzy dni. To oczywiste złamanie zasady kwarantanny grupowej, o której informowano mnie poprzedniego dnia.

Zaczynam 1 maja. Moje nowe miejsce pracy znajduje się bezpośrednio przy głównej hali zakładowej. Na zadaszo-

nym placu ustawionych jest ok. 200 dużych metalowych wanien. W każdej mieści się 18 skrzynek ze szparagami. Każda skrzynka waży 20-25 kilo. W sumie w jednej wannie mieści się ok. 400 kg szparagów.

Szparagi, które przyjeżdżają do zakładu, trzeba najpierw zeskanować, a później ręcznie włożyć do wanien, które następnie zalewa się wodą. Po jakimś czasie, zwykle po kilku godzinach, wodę z wanien się wylewa, a skrzynki trzeba wyciągnąć, ułożyć na palecie i zawieźć wózkiem widłowym na halę. Tam warkują są sortowane przez pracowników stojących przy linii produkcyjnej.

Zaczynam o szóstej rano. Przez pierwsze pół godziny sprzątam resztki szparagów, które leżą obok wanien. Gdy przychodzi mój zespół, dziewięciu postawnych Polaków, bez wstępnych ceregieli bierzemy się za wyjmowanie skrzynek, które zalano wczoraj. Dwóch starszych Rumunów, którzy przyjechali ze mną rano do pomocy, rezygnuje już po paru minutach. Jest za ciężko, boli ich brzuch – sygnalizują rękoma. Chcą na pole. Wanniarze patrzą na nich z pogardą, jak odchodzą po krótkiej rozmowie z grupowym.

Staram się pracować jak najszybciej, ale i tak zwalniam pracę kolegów, którzy każdy ruch mają doskonale przećwiczony. Wszystko „siedzi”. Kolejne palety zapewniają tak dokładnie, jakby grali w „Tetrisa”. Puste wanny trzeba zamknąć. Nad głowami latają kilkumetrowe ciężkie blachy. Nikt nie nosi ubrań ochronnych, tylko kalosze i białe gumowe fartuchy.

Nie wiem, ile zarabiam

Po wypakowaniu ośmiu wanien mężczyźni zabierają mnie do swoich mieszkań.

Wanniarze mieszkają w budynku zaraz obok zakładu. Dlatego na trochę dłuższe przerwy schodzą do pokoiów, czyli do „Patologii”, bo taki niechlubny przydomek nadano temu miejscu już lata temu. Nie muszę długo czekać, żeby przekonać się, dlaczego.

Pierwsza przerwa to dla niektórych okazja, żeby napić się wódki Gorbatschow. Lokator pokoju, w którym siedzimy, puszcza na cały regulator remiks francuskiego didżeja Davida Guetty. Techno i kilka szybkich kolejek. Jest siódma rano.

Wracamy do pracy. Po paru godzinach wkładania i wykładania podchodzi do mnie grupowy. Pyta, czy zostanę z nimi na dłużej. – Poradzisz sobie. I lepiej zarobisz niż na polu – mówi. Lepiej, czyli ile? – Chłopaki wyrabiają nawet 500 euro na tydzień.

W pierwszej chwili brzmi to dobrze. Ale tu pracuje się siedem dni w tygodniu i – jak się okaże jeszcze tego dnia – przeciętny dzień roboczy to praca od świtu do zmierzchu.

Przez cały dzień dostaję sprzeczne informacje co do zarobków. Jeden z kolegów zapewnia, że za dziś każdy dostanie nawet ponad 100 euro. – Już dwa tygodnie tu pracuję i jeszcze nie widziałem żadnego rozliczenia. Tak naprawdę to nie wiem, ile zarabiam – wyznaje drugi. Oficjalnie każdy z grupy dostaje 35 euro dniówki, a reszta to akord grupowy, który jest dzielony po równo. Tyle ton, ile uda nam się przerobić, tyle dostaniemy. Dlatego nie ma mowy, żeby ktoś pracował wolno.

Mijają godziny. Wkładanie, zalewanie, wykładanie. I krótkie przerwy na papierosa pomiędzy. Skrzynki wydają się coraz cięższe. Około osiemnastej z hali zaczynają wychodzić pracownicy, ale my pracujemy dalej. Przyjeżdżają kolejne busiki ze szparagami, a wieczorem ma podjechać jeszcze tir.

Dołącza do nas trzech młodych Rumunów. Ci nie boją się ciężkiej pracy. Komentarze polskich kolegów są dla nich bardziej łaskawe niż dla dwójki, która uciekła stąd rano.

O dwudziestej zaczyna mi brakować sił. Pracujemy już 14 godzin, nie licząc krótkich przerw. Zauważa to grupowy. – O, Łukasz to chyba jutro do nas nie przyjdzie – śmieje się.

Około dwudziestej pierwszej przyjeżdża autobus, którym jadę na kwatere.

Szparagowa mantra

Drugiego dnia idzie mi już lepiej. Przyzwyczajam się do hałasu, który panuje „na wannach”. Lejąca się z węży woda, głośnie maszyny z hali, krzyczący pracownicy, podjeżdżające busy i tiry. A do tego muzyka, miks disco polo, techno i rapu.

W godzinach popołudniowych grupy wysyła nas na przerwę. Musimy poczekać, aż przyjedzie kolejna ciężarówka. Dwóch młodszych, dwudziestoparolennych chłopaków zabiera mnie do swojego



Korespondent „Tygodnika” na swojej kwaterze. Brandenburgia, maj 2021 r.

pokoju. Przed wejściem zdejmujemy kalosze i padamy na łóżka i krzesła.

Do pokoju schodzi się część naszej ekipy. Pomieszczenie pachnie grzanymi z serem, które pieką się w tosterze. Gospodarze robią kawę, częstują piwem, kładą na stół ciasteczka. Panuje błoga cisza i moment wytchnienia. Grupowy ma wycucie. Dzwoni dopiero, gdy piwo i kawa są już wypite. – Wracajcie, trzeba rozładować tira.

Kolejne tony szparagów. Pod koniec rozładunku niemiecki kierowca pokazuje na zegarek i mówi „Pause”. Robert, z którym rozładujemy tira, rzuca w kierunku kierowcy wiązanek polskich przekleństw. – Ja ci dam *pause*! – kończy. Robert chce, żeby kierowca poczekał, aż skończymy, i dopiero wtedy odjechał.

Dwa światy. W jednym jest porządek i święte prawo do przerwy w określonym czasie. W drugim wszystko jest

podporządkowane pracy i tonazowi. Więcej i szybciej wypakujemy, więcej zarobimy. Na „*pause*” nie ma czasu. Z wielu ust przez cały tydzień słyszę szparagową mantrę: „Polak musi zapierdalać”. Oraz: „Jak nie będziesz harował, to nie zarobisz”.

Podczas pracy widzę, jak różne podejścia mają członkowie naszej grupy. Jeden regularnie łamie szparagi i rzuca główkami w kolegów. Drugi schyla się na samo dno wanny, żeby wyjąć pojedynczy pęd. Pokazuje mi i wypowiada z przekonaniem jedno słowo: „Pieniądze”. Następnie starannie odkłada warzywo do skrzynki.

Większość wanniarzy przyjeżdża tu od lat. Nowy Polak to rzadkość. Na hali, ale i w polu, z roku na rok widać efekt 500 plus. Ubywa Polaków, a przybywa Rumunów. Oprócz kierowców tirów nie spotykam żadnego Niemca.

Zresztą pod względem porządku załadunek też jest mało niemiecki. Raczej na myśl przychodzi mi zwrot „*polnische Wirtschaft*”. W języku niemieckim termin „polska gospodarka” oznacza złą organizację. Tutaj tak jest. Wszystko chaotyczne, na hali wciąż nie ma miejsca na nowe palety, przerywamy w połowie wyciąganie, żeby rozpocząć wkładanie nowej serii skrzynek. I ciągle powtarzają się pytania, z którego pola towar zalewamy. Nikt do końca nigdy nie jest tego pewien. W końcu najczęstszą odzywką na wanny jest „wyjebane”, któremu towarzyszy wzruszenie ramion.

Plastikowe morze

We wtorek mogę w końcu iść na pole.

Nieśmiało liczę, że cięcie szparagów będzie mniej męczące od przenoszenia skrzynek. Razem z Tadekiem wstajemy o 5.30 – kawa, kromki z marmoladą.

Tadek zabiera się za ostrzenie noża. Pokazuję mu moje dwa noże. – Ten jest do niczego. Z tego ewentualnie może coś być – ocenia. Zamiast ostrzenia, przygotowuję sobie jeszcze kanapki i wlewam wodę do butelki. – Nie bierzesz wody? – pytam Tadeka. – Na polu nie ma czasu pić – odpowiada.

Jedziemy autobusem ok. 25 minut, aby zatrzymać się przy polach obok marketu, w którym byłem pierwszego dnia na zakupach. Koledzy niemal wybiegają z autobusu, od razu znajdują swoje „rajki” – jak z niemiecka nazywają rzędy (niem. *Reihe* – rząd) i biorą się za uruchamianie maszyn SpargelSpinne, czyli szparagowych pajaków. W końcu to praca na akord. Ile zbierzesz, tyle zarobisz.

Rozglądam się za grupowym, ale ten idzie w swoim kierunku. Staram się więc wyłapać wzrokiem kogokolwiek, kto pokaże mi, co robić. – Chodź tu – mówi starszy mężczyzna. Na pytanie o imię nie ma czasu. Mężczyzna pokazuje w pośpiechu, co trzeba robić z foliami. Najpierw czarną przeciągnąć przez maszynę, następnie białą. Obie folie zawiązać wokół drewnianego palika. – Tu się włącza i wyłącza maszynę, tu reguluje się prędkość, tu można ją zatrzymać – instruuje w pośpiechu. W końcu przychodzi do prezentacji cięcia szparagów. – Robisz tak, tak i tak.

Kilka ruchów nożem i mężczyzna trzyma w ręku trzy wycięte szparagi, które wrzuca do mojej skrzynki. Dziury zasypuje ziemią i wygładza tzw. pacą, ➔

→ którą każdy z nas trzyma w ręku oprócz noża. – Dobra, radź sobie, muszę do mojej rajki – mówi. I tak poświęcił mi blisko dziesięć minut.

Po krótkim czasie widzę, jak pająki innych pracowników zaczynają się ode mnie oddalać. Z czasem różnica się powiększa. Po pół godzinie jestem już sam na szparagowym morzu. Wszystko wokół mnie jest białe od folii. Praca na wanach i na hali to praca zespołowa. Pole jest dla indywidualistów. Jesteś sam na sam ze swoją rajką.

Dźwięk ostrzałki

Największy problem na początku to ciąć szparaga tak, żeby był odpowiednio długi, i żeby go nie złamać palcami przy wyciąganiu. Poza tym już samo jego znalezienie nie jest proste. Pogoda nie dopisuje, jest zimno i warzywa niechętnie wyściubiają główki spod ziemi. Żeby je znaleźć, trzeba często dokładnie przegrzebać palcami górną warstwę gleby.

Z pierwszej rajki zbieram tylko dwie skrzynki, na które naklejam mój kod i oddaję kierowcy. Maszynę trzeba przemieścić na kolejną rajkę i praca zaczyna się od nowa.

O godzinie 11.20 autobus zabiera nas z pola. Jedziemy do mieszkań na obiad. Od siódmej tylko kilka razy zatrzymałem się, by napić się wody; kanapek nie ruszyłem. Jestem głodny. Ustawiam się w kolejce i widzę, że znów popełniam amatorski błąd. W ręku trzymam talerz. Prawie wszyscy przychodzą z garnkiem, gdzie zmieści się więcej jedzenia. Makaron, sos, sałatka, dwa kotlety. Jemy łapczywie w pokoju.

Tadek zdąży załapać się na repetę. Po tem wykorzystuje wolne minuty, by znów naostrzyć nóż. Zresztą dźwięk ostrzałki towarzyszy przez cały dzień. Na polu trzeba ciąć celnie i sprawnie. Dlatego wolne chwile w autobusie, po przebudzeniu i przed pójściem spać mężczyźni poświęcają na ostrzenie najcenniejszego narzędzia.

40 euro dniówki

Następnego dnia po pobudce już sam biorę ostrzałkę i ostrzę nóż.

Niestety, na polu nie idzie mi dużo lepiej. – Co to za szrot zbierasz? To jest wszystko za krótkie! – grupowy wyciąga szparagi z mojej skrzynki. – Kupiłbyś, kurwa, coś takiego? – pokazuje na zbyt krótkiego szparaga. – No, nie kupiłbyś! –

nie zostawia wątpliwości. – Jutro zostaniesz w pokoju – zapada wyrok.

Grupowy nie cieszy się popularnością. Promuje swoich ludzi, a tych, których nie lubi, potrafi bez powodu wysłać nie tylko na dzień do mieszkania, ale i do Polski. Jest królem pola.

– To pokaż, jak się tniesz – mówię do niego. Grupowy bierze nóż i tłumaczy: – Wsadzasz nóż za blisko szparaga, musisz robić większy odstęp – pokazuje i za każdym razem wyciąga długie ładne warzywo.

Po instruktażu idzie mi lepiej. Grupowy zjawia się znów po godzinie. – Nooo... Jak chcesz, to jednak potrafisz – mówi, patrząc na moją skrzynkę. – Może jednak z nami zostaniesz? – śmieje się. Tani, ale komplement grupowego poprawia mi humor.

Chwilę przed siedemnastą kończę ciąć. Szef wysyła mnie jeszcze, żebym poprawił folię na innych rajkach. – A kto mi za to zapłaci? – myślę. Na polu jest sporo zajęć, które wykonujemy bezpłatnie. Przygotowanie maszyn, a zwłaszcza ciągle poprawianie folii to nawet dla doświadczonych zbieraczy przynajmniej godzina pracy, za którą nie dostają pieniędzy. Firma płaci tylko za to, co znajduje się w twojej skrzynce.

Tego dnia znów zbieram ok. 80 kilo. Za kilogram szparagów możemy dostać od 43 do 50 eurocentów, w zależności od pogody. W moim przypadku wychodzi ok. 40 euro za cały dzień pracy. Doświadczeni szparagowcy tną po kilkaset kilo. Choć na liście z dniówkami są i tacy, którzy nie zarobili wiele więcej ode mnie. – Byłoby euro za kilogram, to człowiek mógłby sobie w spokoju naciąć – przekonuje Tadek, gdy wieczorem siedzimy w pokoju.

W tym sezonie za kilo szparagów niemiecki klient musi zapłacić od prawie 7 euro (duży market) do kilkunastu (mniejsze biosklepy).

Maski na brodach

Przepisy, które mają zapobiegać epidemii, istnieją tylko w licznych regulaminach, które porozwieszano na drzwiach naszych pokoi. W rzeczywistości nikt się do tego nie stosuje, a grupowi nie zwracają na to większej uwagi.

Objawów się nie zgłasza, bo nikt nie chce wyładować na kwarantannie. Mężczyźni nie przyjechali tutaj siedzieć w pokojach, tylko zarabiać. Są zdeterminowani. Korona im w tym nie przeszkodzi.

A pozornie objawy słychać wszędzie. Tadek w pierwszą noc kaszle tak głośno, że nie mogę zasnąć. Także inni pracownicy kaszlą, co słychać przez cienkie ściany. Tylko ciężko stwierdzić, czy to od pyłu z pola, od papierosów czy od korony. A może od wszystkiego naraz? Koronawirus to dla pracowników raczej temat do żartów, a nie realne zagrożenie. Jak ktoś zaczyna kaszleć, zaraz słychać żartobliwe: „Co, korona?”. Albo: „Ty mutancie!”.

Najgorzej jest w autobusach, gdzie pracownicy albo nie noszą masek w ogóle, albo mają je na brodzie. W środę przed południem moja grupa wsiada do autobusu, żeby pojechać na przerwę. Po chwili zwracamy – grupie rumuńskiej zepsuł się autobus i musimy ich zabrać.

Przypominam sobie, że teoretycznie pracownicy powinni pracować i przebywać tylko w ściśle określonych grupach. Tymczasem od pierwszego dnia pracowałem najpierw przez trzy dni z jedną grupą, później z drugą, a w pokojach spotykałem ludzi, którzy pracowali jeszcze w innych miejscach.

Teraz do naszego autobusu wsiada kolejnych 30 osób z innej grupy. – Maski ubierać, kurwa, maski! – krzyczy grupowy, który sam nie ma zasłoniętych ust i nosa. – Maski albo „nach Romania” – wrzeszczy do Rumunów. Niektórzy zakładają, niektórzy nie. Jedziemy.

Uwięzione

Mężczyźni może nie byłoby tak lekkomyślni, gdyby wiedzieli, co w tym samym czasie dzieje się w drugiej siedzibie firmy, położonej w centralnych Niemczech. Sam więcej dowiaduję się dopiero po tym, jak zakończę pracę.

Tam jeszcze na przełomie kwietnia i maja covidem zakaziła się grupa ponad stu pracowników. Osoby mające kontakt z zakażonymi trafiły do tzw. kwarantanny pracowniczej, czyli mogły poruszać się tylko między mieszkaniem a miejscem pracy. Polki pracujące na hali zaczęły się buntować. – Boimy się zakażenia i nie chcemy więcej pracować na hali – mówi mi przez telefon Maria.

Przez ponad dwa tygodnie kobiety nie chciały opuścić swoich pokoi i czekały na możliwość powrotu do kraju. Firma wynajęła ochroniarzy, którzy nie pozwalali nikomu opuścić kwatery. Także tym z wielokrotnymi wynikami negatywnymi. – Tu jest jak w obozie. Tylko psów brakuje – mówi Maria.



GLYN KIRK / AFP / EAST NEWS

Premier Boris Johnson (w białej koszuli i maseczce) odwiedza szpital w Colchester. Dzień wcześniej jego były doradca oskarżył go o fatalne zarządzanie kryzysowe. Wschodnia Anglia, 27 maja 2021 r.

Covid, kłamstwa i pies narzeczonej

PATRYCJA BUKALSKA

Wielka Brytania wychodzi z zamknięcia, ale drży przed indyjską mutacją koronawirusa. I jako jeden z pierwszych krajów zaczyna rozliczać rządzących.

DOMINIC CUMMINGS, BYŁY GŁÓWNY doradca Borisa Johnsona, dziś skłócony z premierem, nie przebierał w słowach. „Zmarły dziesiątki tysięcy osób, które nie musiały umrzeć” – mówił w minionym tygodniu podczas posiedzenia komisji parlamentarnej, która ma ocenić działania rządu w czasie epidemii. Uderzając w wysoki ton, podkreślił, że rodziny, które straciły bliskich, „zasługują na prawdę”.

W osobie Cummingsa po raz pierwszy ktoś z najwyższych kręgów władzy w Londynie opowiedział o tym, jak i na jakiej podstawie w Wielkiej Brytanii podejmowano decyzje dotyczące walki z epidemią. Był to obraz wstrząsającego chaosu i niekompetencji.

Tego dnia na Wyspach Brytyjskich – gdzie do 26 maja co najmniej jedną dawkę szczepionki przyjęło prawie 58 proc. z całej 67-milionowej populacji – odnoto-

wano zaledwie kilka tysięcy nowych infekcji. Na tym poziomie statystyki utrzymują się już od jakiegoś czasu. To wielki sukces w porównaniu z danymi z początku roku, gdy zakażeń było kilkadziesiąt tysięcy dziennie. Liczba zmarłych z powodu COVID-19 tego dnia nie przekroczyła dziesięciu.

Wnioski na przyszłość

Apele o powołanie komisji, która miałaby charakter publiczny i była całkowicie niezależna (także od parlamentu), a także oceniłaby zarządzanie kryzysowe, pojawiły się w Wielkiej Brytanii już w 2020 r., w ostatnich zaś miesiącach jeszcze się nasiliły. Domagają się jej naukowcy, lekarze, przedstawiciele mniejszości etnicznych, rodziny zmarłych.

Każda z tych grup wiąże z nią inne nadzieje. Naukowcy, lekarze i pielęgniarki chcą analizy dotychczasowych działań

i wypracowania procedur na przyszłość, aby być lepiej przygotowanym do kolejnych pandemii. Ludzie, którzy stracili bliskich, chcą wiedzieć, czy ich śmierci można było uniknąć. Mniejszości etniczne pytają, dlaczego zostały szczególnie dotknięte epidemią. A wszyscy zgodnie zadają pytanie, dlaczego Wielka Brytania jest w światowej czołówce pod względem liczby ofiar: już ok. 128 tys. zmarłych. Czy to skutek błędnych decyzji, nierówności społecznych czy niedoinwestowania systemu ochrony zdrowia?

Premier Johnson zapewniał, że komisja będzie, ale odkładał ją na nieokreślony czas po pandemii. Ostatecznie pod presją opinii publicznej (niezależnej komisji z uprawnieniami do powoływania świadków chce 47 proc. Brytyjczyków) obiecał w połowie maja, że komisja zacznie pracę wiosną 2022 r. Zdaniem opozycji i rodzin zmarłych to za późno.

Dzięki zeznaniom Cummingsa – wystąpił przed pracującą od kilku miesięcy komisją parlamentarną, która ma przeanalizować, co zrobiono, i przedstawić wnioski na przyszłość – zyskali oni teraz mocne argumenty za przyspieszeniem powołania publicznej komisji śledczej.

Chaos i „covidowe party”

Cummings był doradcą Johnsona od chwili objęcia przez niego urzędu premiera w lipcu 2019 r. do listopada 2020 r., gdy odszedł skonfliktowany z szefem rządu. Uważany jest za stratega genialnego, niekonwencjonalnego i bardzo kontrowersyjnego. Z Johnsonem współpracował już wcześniej: to Cummings był architektem kampanii „Vote Leave” (w wolnym przekładzie: „Głosuj za wyjściem z Unii”), poprzedzającej referendum brexitowe.

Gdy wybuchła epidemia, Cummings stał się bohaterem skandalu: wraz z dzieckiem i żoną, która podejrzewała, że może być zakażona koronawirusem, pojechali z Londynu autem do domu jego rodziców w Durham. Uznano to za złamanie obowiązującego wtedy zakazu opuszczania domu bez wyraźnej potrzeby. Następnego dnia on sam obu-

dził się z symptomami zakażenia. Do tej podróży wracano podczas przesłuchania przed komisją, jednak nie to było jej głównym punktem.

Przed wszystkim zeznania Cummingsa – kogoś, kto był w samym centrum zarządzania kryzysowego – pokazują, jak bardzo Wielka Brytania była nieprzygotowana na epidemię (choć zapewniano, że testowano wcześniej takie scenariusze). Na początku COVID-19 lekceważono, a decyzje odnośnie do restrykcji były znacznie spóźnione. Również dlatego, że „najważniejsi ludzie byli na nartach” – jak kęśliwie wspominał były doradca.

Aby podkreślić skalę chaosu na Downing Street, Cummings opisał dokładnie dzień 12 marca, kiedy to – jak twierdzi – od decyzji dotyczących narastającego kryzysu uwagę 56-letniego premiera odwracał nie tylko prezydent Trump i jego plany nalotów na Bliskim Wschodzie, ale też ówczesna narzeczona (obecnie żona) Carrie Symonds. Zdenerwowana artykułem prasowym na temat jej psa, miała domagać się od Johnsona, aby coś z tym zrobił.

Część rewelacji Cummingsa – jak to, że na początku władze zamierzały postawić na tzw. odporność stadną, a nie zwalczanie wirusa – były poniekąd znane. Jednak wcześniej nikt nie potwierdził tego oficjalnie. Inne stwierdzenia szokują. Jak pomyśl, aby Johnsonowi wstrzyknąć koronawirusa przed kamerami telewizji, żeby pokazać, że nie ma czego się bać. Albo inny pomysł: aby zachęcać ludzi do zakażenia się, jak na „ospa party” (chodzi o odradzane przez lekarzy kontrowersyjne „zabawy” dla dzieci zdrowych i zakażonych ospą wietrzną, aby zdrowe się zaraziły i szybciej przechorowały ospę).

Lwy i osły

Jednak bardziej obciążające dla rządu niż te nieco groteskowe pomysły z pierwszych tygodni epidemii wydają się działania późniejsze – lub ich brak.

Niektóre zarzuty Cummingsa brzmią niezwykle poważnie, np. stwierdzenie, że minister zdrowia miał wielokrotnie kłamać. Gdy w pierwszym okresie postanowiono przenosić chorych ze szpitali do domów opieki (aby zwolnić szpitalne łóżka), premier i jego doradca mieli być zapewniani, iż przenieszeni zostaną najpierw przetestowani na obecność wirusa.

Test zrobiono jednak tylko niewielkiej części z nich i w rezultacie domy opieki zostały podczas pierwszej fali dotknięte najmocniej. Do połowy kwietnia 2020 r., gdy wcześniejsze testy dla pacjentów stały się obowiązkowe, do domów opieki przeniesiono ze szpitali już 25 tys. osób. Podczas całej pandemii w Anglii i Walii zmarło 40 tys. pensjonariuszy takich placówek.

Dla krewnych osób, które zmarły zakażone koronawirusem, zeznania Cummingsa musiały być trudne; w komentarzach tych ludzi pojawiały się określenia „bolesne” i „traumatyczne”. Kilka tysięcy z nich jest zrzeszonych w organizacji COVID-19 Bereaved Families for Justice (Rodziny Zmarłych na COVID-19 Oczekują Sprawiedliwości). Domagają się powołania komisji śledczej, upamiętnienia bliskich i wsparcia dla osób w żałobie. „To był straszny, wytrącający z równowagi, pośpy dzień” – stwierdzili w oświadczeniu wydanym po zeznaniach Cummingsa, podkreślając bezpośrednią odpowiedzialność rządu.

W swoim wielogodzinnym wystąpieniu Cummings oskarżał ludzi u władzy, ale też „dysfunkcyjny system”, którego był częścią. „Problem podczas tego kryzysu polegał w znacznym stopniu na tym, że lwom przewodziły osły” – mówił.

Cummings jest dziś w otwartym konfliktcie z premierem; mówi o nim, że nie nadaje się na to stanowisko. Jego obywatelwizm może być kwestionowany i on sam nie jest bez skazy. Ale tego, co mówi, nie sposób w całości odrzucić. Przed wszystkim jego zeznania pokazują, jak ważną do odegrania rolę może mieć przyszła publiczna komisja – jak wiele będzie do wyjaśnienia i jak wiele do naprawienia, aby usprawnić ów „dysfunkcyjny system”. To wydaje się najpilniejsze i ważniejsze nawet niż rozliczenia personalne.

Znowu za późno

Brytyjski rząd mógłby się tłumaczyć, że na początku pandemii popełniano błędy, bo niewiele wiadano o COVID-19 i w każdym kraju działano trochę po omacku. Tym bardziej jednak obciążające jest, że nie wyciągano wniosków i jesienią 2020 r. decyzję o wprowadzeniu drugiego lockdownu podjęto z opóźnieniem. Cummings twierdzi, że restrykcji nie chciał sam premier, mimo

rad ekspertów i świadomości, jakie ryzyko niesie kolejna fala. Ostatecznie kolejny lockdown ogłoszono dopiero pod koniec października.

Ostatnio Johnson jest obwiniany za spóźnioną – jak twierdzą krytycy – decyzję o wpisaniu Indii na listę krajów wysokiego ryzyka, z czym wiążą się ograniczenia wobec osób przybywających z takich państw. W efekcie indyjski wariant koronawirusa dominuje dziś już w kilku ogniskach zakażeń w Wielkiej Brytanii. Zdaniem naukowców jest bardziej zakaźny niż wariant brytyjski, odpowiedzialny za poprzednią falę zakażeń.

Nie potwierdza się natomiast największa obawa, że wariant indyjski mógłby być odporny na szczepionki: z ostatnich raportów wynika, że preparaty Pfizer i AstraZeneca zapewniają wysoką ochronę przed zakażeniem indyjską mutacją (dodajmy, że dopiero po dwóch dawkach).

Gdyby nie niepokój związany z indyjską mutacją, Brytyjczycy mogliby być pewni, że plan otwierania kraju będzie przebiegał zgodnie z wcześniejszymi założeniami. Po tym, jak dzięki zaszczepieniu znacznej części populacji epidemia na Wyspach zaczęła być bardziej kontrolowana, rozpoczęto bowiem znoszenie restrykcji – ostrożnie i stopniowo. Ostatnie miały być zniesione 21 czerwca.

Czy to nastąpi, zależy teraz od tego, na ile sytuacja epidemiczna będzie stabilna.

Brytyjska lekcja

Sytuację na Wyspach pilnie obserwują inne kraje – zarówno gdy idzie o indyjski wariant, jak też o skuteczność szczepień i wpływ znoszonych obostrzeń na nowe zakażenia.

Przynajmniej jedną dawkę szczepionki otrzymało już ponad 70 proc. dorosłych – to najwyższy wskaźnik w Europie. Przy czym program szczepień nie objął jeszcze osób młodszych niż 30-latkowie, a można przypuszczać, że to oni będą w największym stopniu korzystać ze zniesienia restrykcji.

Najbliższe tygodnie pokażą więc, na ile szczepienia pozwalają ograniczać skalę nowych zakażeń (bo wobec luzowania restrykcji, dotyczących kontaktów społecznych, są one nieuniknione), jak też skalę hospitalizacji i zgonów.

Bez wątplenia brytyjska lekcja będzie istotna dla innych krajów. ©P

Nie macie tu czego szukać

PAULINA MAŚLONA Z HISPANII

Pobył w hiszpańskim szpitalu prezydenta nieuznawanej Sahary Zachodniej – tylko tyle i aż tyle ma się kryć za kryzysem między Hiszpanią a Marokiem.

SABAH HAMED MOHAMED ZOSTANIE ZARAZ sama, z kilogramem ubrań i złamanym sercem. Spodnie, koszulki, bielizna: wszystko poukładała na kanapie. Równie, według rozmiarów. Na filmie nakręconym przez dziennikarkę hiszpańskiej „La Vanguardii”, Maykę Navarro, Sabah tłumaczy, że takie darowizny mieszkańców Ceuty – hiszpańskiej enklawy na afrykańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego – starczą może na jeden dzień. Bo pod jej dom przychodzi nawet 400 osób na dobę. Na wszystkich czeka świeży zestaw ubrań, jedzenie i prysznic.

Sabah, 59-letnia przedsiębiorczyni, imigrantom pomaga od dawna, ale chyba jeszcze nigdy na taką skalę jak przez ostatnie dni. Pewnie pomagałaby dalej, gdyby nie telefon od lokalnych władz: „Już wystarczy, inaczej nie będą chcieli wrócić”.

„Tutaj nic nie ma, nie macie tu czego szukać” – powtarza to, co usłyszała przed chwilą, zebranych na patio młodym chłopakom. Większość kręci głowami. Zamiast w drogę powrotną do Maroka, znów wybiorą się w głąb miasta. Będą wędrować ulicami, przysypiać na ławkach. Unikać policji i snuć plany dalszej podróży.

Lawina

O tym, że w marokańskim mieście Ca-stillejos krąży plotka o otwartej granicy z Hiszpanią, aktywistka Helena Maleno wie już w niedzielę 16 maja. Pojawiają się nakręcone przy granicy filmy: mają po-

twierdzić, że marokańska straż graniczna nie pilnuje przejścia.

Gdy w poniedziałek Maleno ostrzega w mediach społecznościowych o możliwych skutkach tej sytuacji, pierwsi imigranci są już na terenie Ceuty. Niektórzy przekraczają granicę pieszo, ale większość decyduje się na podróż wpław. Po przepłynięciu 500 metrów wylaniają się na plaży Tarajal, po hiszpańskiej stronie. Starczy kilka godzin, by plaża zapełniła się ludźmi. Liczba 5 tys. nowo przybyłych w jeden dzień to rekord, jeśli chodzi o nielegalne przekroczenie hiszpańskiej granicy. *Avan-lancha*, lawina, powtarzają media.

„Mogliśmy tylko zachować czujność, by wyciągać ich z morza albo pomóc, bo niektórzy mieli duże trudności z dopłynięciem” – mówi „La Vanguardii” funkcjonariusz Guardii Civil. Na ląd wychodzą młodzi mężczyźni, ale też kobiety, dzieci, całe rodziny. Świat obiega zdjęcie transportowanego na brzeg niemowlaka. Nie wszystkim udaje się pomóc – jeden z Marokańczyków tonie.

Gdy reprezentanci rządu centralnego w Madrycie spotykają się w trybie pilnym ze swoim lokalnym odpowiednikiem w Ceucie, lider opozycyjnej, skrajnie prawicowej partii Vox, Santiago Abascal, zaczyna już opowiadać swoją wersję wydarzeń. Kilka tygodni wcześniej, w trakcie lokalnych wyborów w Madrycie, jego partia ostrzegała przed imigrantami czyhającymi na pieniądze Hiszpanów. Teraz, pozuając do zdjęć po przylocie do Ceuty, w końcu może wytłumaczyć – tym, którzy chcą słuchać – co tak naprawdę dzieje się na hiszpańskim terytorium w Afryce. „Nie stoimy przed problemem migracyjnym, lecz mamy do czynienia z autentyczną inwazją, zaplanowaną przez Maroko” – stwierdza. Przekonuje, że spora liczba osób nieletnich to zabieg celowy, mający zmieknąć hiszpańskie serca.

Słowa Abascala o inwazji spotykają się z krytyką. Jednak nie ma chyba polityka, który wierzyłby w przypadkowość faktu, iż służby Maroka przestały strzec granicy. Wylaniający się z wody ludzie to znak, że na linii Madryt–Rabat dzieje się źle. Szybko potwierdzają to słowa ambasadorki Maroka w Madrycie, Karimy Benyaich, wypowiedziane niedługo przed wezwaniem na konsultacje: „W relacjach między państwami działania wiążą się z konsekwencjami i te konsekwencje trzeba ponieść”.

Historyczna odpowiedzialność

Ibrahim Ghali, przebywający w jednym z hiszpańskich szpitali – tylko tyle i aż tyle ma się kryć za tym kryzysem między Hiszpanią a Marokiem. Rabat odebrał jako zdradę fakt, że Hiszpanie przyjęli ciężko chorego na COVID-19 lidera Frontu Polisario i prezydenta Sahary Zachodniej (kraju nieuznawanego i przez Maroko, i przez Hiszpanię). Zwłaszcza że chcieli utrzymać to w sekrecie przed rządem Maroka: Ghali przybył pod przybranym nazwiskiem.

Front Polisario od lat 70. XX w. walczy o uniezależnienie się Sahary Zachodniej od Maroka, które okupuje większość jej terytorium. W listopadzie 2020 r., po marokańskim ataku na przejście graniczne z Mauretanią, zostało zerwane trwające 30 lat zawieszenie broni. Król Maroka Mohamed VI może czuć się pewnie: jedną z ostatnich rzeczy, które zrobił w swej kadencji Donald Trump, było uznanie marokańskiej suwerenności nad Saharą – w zamian za znormalizowanie przez Rabat relacji z Izraelem. Natomiast pomysł zorganizowania referendum dotyczącego samostanowienia regionu, zainicjowany swego czasu przez ONZ, wydaje się być z roku na rok coraz bardziej odległy.

W Hiszpanii za referendum jeszcze niedawno – bo przy okazji ostatniego kryzysu migracyjnego w listopadzie 2020 r. – opowiadało się współtworzące rząd lewicowe Podemos, podkreślając, że to na Hiszpanii, dawnym kolonizatorze regionu, ciąży historyczna odpowiedzialność za ostateczną dekolonizację Sahary Zachodniej. Premier Pedro Sánchez nie podchwycił tej deklaracji, a szef MSW Fernando Grande-Marlaska przypomniał, że to nie Pablo Iglesias, ówczesny lider Podemos, zajmuje się polityką zagraniczną. „Maroko wie, że Hiszpania szuka dla Sahary Zachodniej sprawiedliwego i akceptowalnego rozwiązania” – odpowiadał wtedy mediom.

Ten sam Marlaska miał ostrzegać przed możliwymi skutkami przyjęcia Ghalego do hiszpańskiego szpitala – gestu, który szefowa MSZ Arancha González Laya określa w środę 19 maja w telewizji RTVE jako gest „wyłącznie humanitarny” i niemający znamion agresji. Za to premier w swoim wystąpieniu praktycznie nie nawiązuje do sprawy, skupiając się na zapewnieniu obywateli, że rząd będzie bronić integralności terytorialnej Hiszpanii



MARCOS MORENO / AFP / EAST NEWS

20-letnia Luna Reyes, wolontariuszka Czerwonego Krzyża i 27-letni imigrant z Senegalu imieniem Abdou na plaży Tarajal. Ceuta, 18 maja 2021 r.

– granic, które są jednocześnie granicami Unii.

Sánchez może zresztą liczyć na wsparcie Unii, której zaangażowania nie rozumie z kolei szef MSZ Maroka, Nasser Bourita. „Hiszpania nie konsultowała się z Europą przed podjęciem decyzji, które godzą w interesy Maroka – mówi we francuskim radiu Europe 1 tydzień po tym, gdy w Ceucie pojawili się pierwsi imigranci. – To Hiszpania stworzyła ten kryzys, a teraz chce, żeby Europa wzięła za niego odpowiedzialność”.

Gracias Luna

– Czy mnie to zdziwiło? I tak, i nie – mówi mi Lorenzo Gabrielli, analityk z Uniwersytetu Pompeu Fabra w Barcelonie zajmujący się migracją. – To prawda, że liczba przybyłych w tak krótkim okresie jest znacząca, zwłaszcza w kontekście trwającej pandemii. Z drugiej strony nie zdarzyło się nic, czego byśmy wcześniej nie widzieli.

Gabrielli powtarza mi to, o czym przekonuje od lat: że zrzucając odpowiedzialność za kontrolę granic Unii na kraje ościennie, a do tego ograniczając unijną politykę migracyjną, stajemy się zależni od tych, którzy trzymają rękę na migracyjnym „kurku”: – Taka polityka ozna-

cza nie tylko koszty ludzkie, czyli śmierć osób szukających drogi do Europy, ale i koszty dyplomatyczne, czego obecna sytuacja jest najlepszym przykładem.

Abstrahując od powodów, dla których Mohamed VI wypuścił tym razem tysiące swoich obywateli, i od tego, czy Ghali był jedynie pretekstem (jak twierdzą niektórzy), by przypomnieć Europie o znaczeniu Maroka – kartą nielegalnego imigranta kraj gra od lat. To karta wyjątkowo skuteczna, do tego gwarantująca ciągły napływ pieniędzy i przywilejów. Nawet w środku kryzysu dyplomatycznego hiszpański rząd przyznaje Maroku kolejnych 30 mln euro na kontrolę granic.

A tak się składa, że Marokańczycy z dnia na dzień mają coraz więcej powodów dla jej przekroczenia. Gdy Mohamed VI cieszy się słońcem na swoim wartym 90 mln euro jachcie, inne miliony – tym razem obywateli jego kraju – żyją na granicy ubóstwa. Sprawę pogorszyła pandemia i zamknięcie granic, co odebrało zarobki tym, którzy w celach zawodowych podróżowali codziennie do hiszpańskich enklaw, Ceuty lub Melilli. Postawiło to również w trudnej sytuacji imigrantów z krajów subsaharyjskich, dla których Maroko miało być

tylko przystankiem w podróży do Europy. Oni też 17 maja decydują się płynąć do plaży Tarajal.

Jednym z nich jest Abdou, 27-letni Senegalczyk, którego zdjęcie zyska popularność w mediach społecznościowych. Choć wtedy jeszcze nikt nie będzie znał jego imienia – uwaga skupi się na wolontariuszce Czerwonego Krzyża, Lunie, która przytula go, gdy wycieńczony dociera do brzegu. Poruszające zdjęcie dla jednych jest symbolem solidarności z imigrantami i troski wobec osoby w potrzebie – w internecie z dopiskiem „Gracias Luna!” Hiszpanie dziękowali jej za ten gest. Dla innych zaś – pretekstem dla ksenofobicznych i mizoginicznych komentarzy.

W tej walce dwóch narracji Gabrielli zauważa jeszcze coś innego, charakterystycznego dla europocentrycznego myślenia o problemach migracji: – Skupiliśmy się na niej i jej, bez dwóch zdań, pięknym zachowaniu. Więc deklarujemy solidarność z Europejką, nie pytając nawet o imię mężczyzny, który też jest bohaterem tego zdjęcia. I który zaraz zostanie deportowany. Na pierwszy plan wychodzi znowu to nasze „patrzcie, jacy jesteśmy dobrzy”.

Jedyna przepustka

Marokańscy strażnicy wrócili na granicę w środę, dwa dni po tym, jak nagle zniknęli. Te dni były wypełnione nieprzerwanym napływem ludzi. Ale ich wędrówka kończyła się zwykle szybkim powrotem do Maroka. Prawdopodobnie część zawrócono na zasadzie *devoluciones en caliente*, natychmiastowych deportacji, bez szans na podanie powodu migracji czy złożenie wniosku o azyl. To praktyka krytykowana przez organizacje pozarządowe.

Z ponad 8 tys. przybyłych ogromnej większości nie ma już na terenie Hiszpanii. Nie ma chłopaków, którym pomagała Sabah. Nie ma Abdoua. Po dwudniowym chaosie na granicy, obok wciąż napiętych relacji Madryt–Rabat, zostały przede wszystkim setki dzieci i nastolatków. Dzieci, które jeszcze w poniedziałek i wtorek funkcjonariusze Guardii Civil wyciągali z wody. Po część z nich zgłaszają się z Maroka rodzice przerażeni ich zniknięciem. Inne powędrują do różnych regionów Hiszpanii – niepełnoletność to najwyraźniej jedyna przepustka do nowego świata. ©

Związki partnerskie dzielą Litwę

DOMINIK WILCZEWSKI

Trzech głosów zabrakło do tego, by litewski Sejm skierował do dalszych prac projekt ustawy o związkach partnerskich. Ich zwolennicy nie składają broni. Tak samo jak przeciwnicy.

GDY W PAŹDZIERNIKU UBIEGŁEGO ROKU Partia Wolności szła do wyborów parlamentarnych, legalizacja związków partnerskich była jednym z głównych punktów jej programu. Dziś ugrupowanie to tworzy koalicję rządową razem z Ruchem Liberalistów oraz konserwatywnym Związkiem Ojczyzny – Litewskimi Chrześcijańskimi Demokratami (TS-LKD). Kiedy po długich deliberacjach stosowny projekt ustawy został wreszcie zarejestrowany, swoje podpisy złożyli pod nim zgodnie partyjni liderzy: Aušrinė Armonaitė z Partii Wolności, Viktorija Čmilytė-Nielsen z Liberalistów i Gabrielius Landsbergis z TS-LKD, a także reprezentująca konserwatystów premier Ingrida Šimonytė.

Podziały nieoczywiste

Mogło się zatem wydawać, że z przyjęciem ustawy nie będzie problemu. Jednak głosowanie, które odbyło się w ubiegły wtorek 25 maja, pokazało, że podziały na litewskiej scenie politycznej nie są tak oczywiste, jak można by z pozoru sądzić.

Projekt odrzucono m.in. głosami 12 posłów TS-LKD (to jedna trzecia całej frakcji). Gabrielius Landsbergis w rządzie Šimonytė pełni urząd ministra spraw zagranicznych, musi się więc liczyć z opozycją również w szeregach własnego ugrupowania. Ale zwolenników związków partnerskich zawiodła także lewica: przeciw ustawie zagłosowało pięciu posłów opozycyjnej partii socjaldemokratycznej.



ŽYGIMANTO GEDVILOS NUOTR

Wielki Marsz w Obronie Rodziny. Wilno, maj 2021 r.

Kilkunastu „buntowników” z szeregów TS-LKD – wśród nich Paulius Saudargas, wiceprzewodniczący Sejmu – widzi w projekcie zagrożenie dla konstytucyjnego pojęcia rodziny i apeluje o przeprowadzenie w tej sprawie referendum. Wtórzy mu niemal cała opozycja. Tradycyjnego modelu rodziny zgodnie – bo z nielicznymi tylko wyjątkami – bronią dziś: rządzący do ostatnich wyborów Litewski Związek Rolników i Zielonych, Partia Pracy czy troje parlamentarzystów Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – Związku Chrześcijańskich Rodzin. Na polityków naciskają też organizatorzy Wielkiego Marszu w Obronie Rodziny, który niedawno przeszedł ulicami Wilna.

Tęczowe flagi już nie dziwią

Ustawa o związkach partnerskich miała zrewolucjonizować życie osób LGBT na Litwie. Zapisana w niej „neutralność płciowa” oznacza, że związki takie mogłyby zawierać pary zarówno homo-, jak i heteroseksualne. Ale to właśnie uregulowanie sytuacji par homoseksualnych budzi największe zainteresowanie, a zarazem największe kontrowersje.

Środowiska LGBT od lat apelują o podjęcie działań w tej sprawie. „Chcemy praw już teraz. Europa Zachodnia pokazała drogę, którą powinniśmy iść” – mówił niedawno dziennikarzom Vladimiras Simonko, prezes Litewskiej Ligi Gejów, najstarszej lokalnej organizacji broniącej praw osób LGBT.

Na 1 czerwca przyszłego roku Simonko zapowiedział kolejną, piątą już wileńską edycję festiwalu Baltic Pride. Największa tego rodzaju impreza społeczności LGBT w krajach bałtyckich corocznie odbywa się w innej stolicy każdego z nich. Na Litwie gościła dwa lata temu. Główny punkt programu, parada równości, zgromadził 10 tys. uczestników. Całkiem sporo jak na nieco ponad półmilionowe Wilno. Rosnąca z edycji na edycję liczba uczestników parady to według organizatorów dowód, że litewskie społeczeństwo się zmienia, a akceptacja dla osób o odmiennej orientacji seksualnej rośnie.

Parady równości i tęczowe flagi przynajmniej w Wilnie nie budzą już zdziwienia. Także większość mainstreamowych mediów traktuje temat poważnie. Można w nich znaleźć reportaże i wywiady z osobami LGBT. Wydaje się, że dziś poziom dyskusji wokół praw osób nieheteronormatywnych i ich roli w społeczeństwie jest już zupełnie inny niż w 2010 r., gdy w Wilnie organizowano pierwszy Baltic Pride. Wówczas dla wielu szokiem był sam pomysł organizacji parady, poglądy homofobiczne nie należały do rzadkości także wśród polityków, a uczestnicy Baltic Pride zostali obrzuceni kamieniami.

Dziś rolę reprezentanta społeczności LGBT wziął na siebie Tomas Vytautas Raskėvičius, poseł Partii Wolności. Otwarcie występujący jako gej, z dyplomem politologa i prawnika, od wielu lat działa w organizacjach broniących praw mniejszości seksualnych. W Sejmie przewodniczy



ANDRIUS SYTAS / REUTERS / FORUM

Marsz solidarności ze społecznością LGBT. Wilno, 11 lipca 2020 r.

komisji praw człowieka. „Jestem normalnym facetem, który kiedyś marzył o tym, żeby być równym w tym kraju, i to marzenie doprowadziło mnie w miejsca, których nigdy bym sobie nawet nie wyobrażał” – mówił Raskevičius w rozmowie z Agencją Reutera pod koniec 2020 r., niedługo po objęciu mandatu poselskiego.

Prezydent zabiera głos

Inicjatywa zalegalizowania związków partnerskich zaktywizowała także ich przeciwników. W lutym do Sejmu trafiła petycja, którą w internecie miało podpisać 300 tys. obywateli, z wnioskiem o odwołanie Raskevičiusa, zarzucająca mu działanie we własnym, a nie publicznym interesie. Przewodnicząca Sejmu Viktorija Čmilytė-Nielsen nie potraktowała sprawy poważnie. I chyba słusznie, bo – jak ustalili później dziennikarze publicznej telewizji LRT – zdecydowana większość podpisów została wygenerowana przez internetowe boty.

Przeciwnicy związków partnerskich podjęli też inne inicjatywy. Na 15 maja zwołali do Wilna Wielki Marsz w Obronie Rodziny. Wśród inicjatorów trudno szukać znanych postaci. Najbardziej rozpoznawalny, Artūras Orlauskas, dał się dotąd poznać jako aktor, satyryk i prezenter telewizyjny. Wydarzenie poparli były prezydent Rolandas Paksas (usunięty w 2004 r. ze stanowiska za złamanie konstytucji) czy biznesmen Vitas Tomkus, właściciel skandalizującego portalu (niegdyś gazety) „Respublika”. Tomkusowi wielokrotnie

zarzucano w ostatnich latach szerzenie treści homofobicznych, antysemickich, a nawet kremlowskiej propagandy.

Nie najlepsza reputacja organizatorów nie zniechęciła uczestników marszu. W wileńskim parku Vingis, gdzie odbył się finał imprezy, zgromadziło się ok. 10 tys. ludzi – a zatem tyle, ile wzięło udział w ostatnim Baltic Pride. Nieoczekiwanie swoje pozdrowienia uczestnikom marszu przesłał prezydent Gitanas Nausėda. W nagraniu, odtworzonym ze sceny w parku Vingis, Nausėda mówił, że państwo powinno lepiej i skuteczniej wspierać rodziny. Mówił też o konieczności wsłuchiwania się w głos całego społeczeństwa.

Równocześnie prezydent zadeklarował, że status prawny par tej samej płci należy uregulować. Ale, jak zaznaczył, musi się to odbyć z poszanowaniem przepisów konstytucji, która stwierdza, że małżeństwo to związek mężczyzny i kobiety. Jedni doszukiwali się w tych słowach obietnicy poparcia związków partnerskich, inni wręcz przeciwnie – zawetowania ewentualnej ustawy. Jednak już sama obecność prezydenta na imprezie organizowanej pod hasłem walki z „denderyzacją” wywołała nieprzychylną reakcję części komentatorów. „Mamy prezydenta homofoba” – napisał później znany publicysta Rimvydas Valatka.

Pęknięcie

Choć organizacje LGBT mówią o spadku nastrojów homofobicznych, to Raport

ILGA-Europe – międzynarodowej organizacji na rzecz praw lesbijek, gejów, osób biseksualnych i transpłciowych – pokazuje inny obraz. W rankingu podsumowującym sytuację prawną i społeczną osób LGBT Litwa zajmuje 34. miejsce (spośród 49; Polska jest na 43. pozycji). Autorzy raportu wskazują nie tylko na brak regulacji sytuacji par jedнопłciowych, ale także na problemy ze ściganiem tzw. mowy nienawiści czy przypadki dyskryminacji w codziennym życiu – doświadczyć miało jej aż 55 proc. osób LGBT ankietowanych w badaniu unijnej Agencji Praw Podstawowych.

Przeciwnicy związków partnerskich powołują się na negatywny stosunek społeczeństwa. Niebezpiecznie. Według sondażu przeprowadzonego przez agencję Norstat na zlecenie telewizji LRT, na przełomie kwietnia i maja przeciwko związkom partnerskim wypowiedziało się aż 65 proc. ankietowanych (za było 30 proc.). Badanie pokazuje też, że pomysł legalizacji partnerstw budzi największy sprzeciw na prowincji i w małych miasteczkach. Znacznie bardziej skłonni do poparcia są najmłodsi ankietowani: w grupie wiekowej 18-24 lata za związkami wypowiada się 52 proc. badanych.

Pęknięcie widać też w środowiskach katolickich. Litewski episkopat, który niejednokrotnie oficjalnie wypowiadał się przeciwko ustawie o związkach partnerskich, odzęgał się od Marszu w Obronie Rodziny. Niektórzy duchowni nie kryli jednak poparcia dla tego wydarzenia, a pojedynczy wzięli w nim udział. Z drugiej strony – pod projektem ustawy podpisał się poseł TS-LKD Andrius Navickas, w przeszłości redaktor naczelny największego katolickiego portalu Bernardinai.lt. Z kolei duszpasterstwo akademickie Uniwersytetu Wileńskiego zorganizowało spotkanie online ze znanym jezuitą Jamesem Martinem na temat jego pracy duszpasterskiej z osobami LGBT.

■ ■ ■

„To jeszcze nie koniec” – zadeklarowała w ubiegły wtorek Aušrinė Armonaitė, wspomniana liderka Partii Wolności. Jej partyjny kolega Tomas Vytautas Raskevičius starał się nie okazywać rozgoryczenia przegranym głosowaniem. Zapowiedział, że udoskonalony projekt wróci do Sejmu jesienią. „Nikt nie obiecywał, że walka o prawa człowieka będzie łatwa” – dodał. ©



TRWANIE ŚLADU

Upamiętnienie Polaków, którzy zginęli, ratując żydowskich sąsiadów, to jedna z naszych historycznych zaległości.

Nie jest wymierzone w kogokolwiek, przypomina za to o wartościach.

MATEUSZ FAŁKOWSKI

RACHELA AUERBACH, POETKA, KRONIKarka warszawskiego getta i współpracowniczka Oneg Szabat – grupy dokumentującej żydowską codzienność pod niemiecką okupacją – tak wspominała tę sytuację: „Cała trójka przeszła na stronę aryjską, ukrywała się w wiosce

Pustelnik na linii radzywińskiej. Kiedy w marcu 1943 również opuściłam getto, trafić chciał, że przez kilka pierwszych dni nocowałam w tej samej miejscowości. Spotkałam się w mieszkaniu z Josimą i jej ojcem. Wtedy widziałam Josimę ostatni raz”.

Banaszkowie i Feldszuhowie

Miejsce, gdzie Auerbach spotkała się z Josimą, to dom Marianny Banaszek, położony we wsi Pustelnik (dziś to dzielnica podwarszawskich Marek). Natomiast Josima to Josima Feldszuh, młodziutka pianistka. W 1941 r., jako dwunasto-

Marianna Lubkiewicz razem z mężem Leonem i synem Stefanem prowadzili piekarnię w Sadownem koło Treblinki. Dostarczali chleb Żydom ukrywającym się w okolicznych lasach. W 1943 r. zostali z tego powodu zamordowani przez Niemców. Tu i na następnych stronach kolorowane zdjęcia przedwojenne.

latka zasłynęła wykonaniem symfonii „Niedokończony” Schuberta w Melody Palace w getcie warszawskim. Jej ojcem był Rubin Feldszuh, działacz ruchu syjonistycznego.

Marianna i jej troje dzieci (Władek, Wiktoria i Stasia) mieszkali w niewielkim domu z ogrodem. Z relacji wiemy, że rodzina często głodowała. Szukając dodatkowego źródła utrzymania, podnajęli część domu uciekinierom z getta. Wiedzieli, że ryzykują życiem. Feldszuhowie trafili do nich w nocy z 13 na 14 marca 1943 r., na miesiąc przed wybuchem powstania w getcie. W tym czasie u Banaszków ukrywało się też małżeństwo Szpaków.

Josima, chora na gruźlicę, zmarła jeszcze w kwietniu 1943 r. Szoszana Kossower pomagała pochować ją pod drzewem wiśni w ogrodzie.

Jesienią 1943 r. rodzina Banaszków została poinformowana przez sołtysa, że Niemcy dowiedzieli się o kryjówce, prawdopodobnie z donosu. Jeszcze tej nocy wszyscy ukrywani uciekli. Następnego dnia przyjechali niemieccy żandarmi. Matki nie było w domu. Niemcy odkryli pomieszczenie pod szafą. Aresztowali dwoje obecnych w domu dzieci, Władka i Stanisława, zawieźli do Marek, na teren cegielni nad rzeką Długą, i tam rozstrzelali. Gdy Marianna wróciła z kościoła, od razu w przedsiönku zabili i ją. Po jakimś czasie przyjechała córka Wiktoria; widząc zwłoki matki i bojąc się o swoje życie, uciekła do Warszawy. Jakiś czas później ona też zginęła. Mariannę sąsiedzi pochowali w ogrodzie, niedaleko Josimy.

Po wojnie krewny Banaszków przeniósł zwłoki Marianny, Władysława i Stanisławy na cmentarz w Markach. Rodzina nie ma żyjących potomków. Nie zachowały się fotografie.

W 1946 r. Rubin Feldszuh odszukał ciało córki i pochował je na żydowskim cmentarzu. Rubin był już wtedy wdowcem: jego żona, Perla, nie mogąc pogodzić się ze śmiercią dziecka, popełniła samobójstwo podczas wojny, w kolejnej kryjówce.

Wacław się zgłosił

Henryk i Stanisława Budziszewscy ze wsi Żebry-Laskowiec (dziś powiat ostrowski na Mazowszu) mieli trzech synów: nastolatków Wacława i Stanisława, a także urodzonego w 1942 r. Konstantego.

Dwa miesiące po narodzinach Konstantego u Budziszewskich pojawiło się żydowskie małżeństwo z dwoma dorastającymi synami i córką. Budziszewscy znali ich – przed wojną żydowska rodzina prowadziła sklep w pobliskiej wiosce Nur. Dali im schronienie w stodole.

Po dwóch tygodniach zajęchały ciężarówki z żandarmerią i gestapowcy na koniach. Obie rodziny wyprowadzono na zewnątrz. Żydowskie chłopcy próbowali dobiec do lasu, zostali zastrzeleni. Tłumacz zapytał Budziszewskiego, jak długo ukrywa Żydów. Gospodarz milczał. 18-letni Wacław Budziszewski postanowił ocalić rodziców: zawołał, że ojciec nic nie wie, bo to on zaprowadził wieczorem Żydów do stodoły.

Niemcom to wystarczyło. Rodzinę żydowską wywieźli i zamordowali w nieznanym miejscu. Wacława, związanego powrozem, popędzili za końmi do Nura. 27 lutego 1943 r. trafił do obozu koncentracyjnego Stutthof, jako więzień numer 19988. Na karcie przyjęcia wypisano kategorię przestępstwa: „zakwaterowanie Żydów”. W KL Stutthof Wacław przeżył miesiąc, zmarł 1 kwietnia 1943 r. Jego rodzice i brat zostali skierowani do niewolniczej pracy w rejonie Królewca, skąd wrócili w maju 1945 r. Odtąd rodzina Budziszewskich żyła z poczuciem winy.

Wacław został upamiętniony we wrześniu 2019 r. Konstanty, całe życie próbujący pokonać traumę, upamiętnienia brata doczekał niemal w ostatniej chwili – zmarł w listopadzie 2020 r.

Empatia i pamięć

„Braterstwo oznacza utożsamienie się z kimś drugim, nieoddzielanie jego losu od swojego; więcej nawet – widzenie jego niebezpieczeństwa wyraźniej niż swego, doznanie, że jego śmierć jest trudniejsza do przeżycia niż własna” – tak na kartach „Prób świadectwa” pisał po wojnie Jan Strzelecki. Na kartach tej książki Strzelecki – socjolog i lewicowy intelektualista – przepracował swoje doświadczenie lat okupacji (rzecz znamienna: wśród niewielu polskich książek, które w latach 80. zostały wydane we wschodnich Niemczech w pod-

ziemiu przez tamtejszą opozycję demokratyczną, była praca Strzeleckiego; przełożył ją Ludwig Mehlhorn).

Sięgnąłem dziś po tę książkę, szukając języka, który pomógłby opisać potrzebę upamiętnienia osób, które podczas II wojny światowej decydowały się pomóc uciekającym Żydom skazanym na śmierć i za ten gest solidarności zostały zamordowane przez Niemców. Czyli tych, którzy na końcu – waham się, by użyć tego słowa – najczęściej na pozór przegrali: nie zdołali bowiem uratować uciekinierów przed Zagładą i sami ponieśli za tę próbę śmierć.

Program „Zawołani po imieniu” upamiętnia takie osoby na podstawie badań archiwalnych i relacji świadków – wśród nich i tych, których historie opowiedziano powyżej. Upamiętnia nie tylko jako bohaterów, ale właśnie jako bohaterów pozorne przegranych, którzy po wojnie przez długie dekady byli nieobecni w naszej zbiorowej pamięci. I tak, jak czujemy więź z ofiarami Holokaustu, jak czujemy empatię dla żydowskich uciekinierów z gett i interesujemy się ich losem, tak też powinniśmy pamiętać o ratujących, również ofiarach okupacyjnego terroru.

„Zawołani po imieniu” to program Instytutu Pileckiego realizowany od marca 2019 r.; pierwsza uroczystość miała miejsce w Sadownem (w powiecie węgrowskim). Upamiętnia osoby, które straciły życie za pomoc Żydom. A więc nie wszystkich, którzy pomagali, lecz tych, którzy za to zginęli. Do tej pory nastąpiło kilkanaście upamiętnień, we wsiach i małych miejscowościach; łącznie upamiętniono prawie 50 osób. W ramach projektu upamiętniane są też osoby ratowane (niestety, nie zawsze znana jest ich tożsamość).

Wobec krytyki

Wydawałoby się, że nie ma potrzeby, aby do tego przekonywać. A jednak ukazują się kolejne artykuły krytykujące takie działania. W „Gazecie Wyborczej” pojawiają się nawet wezwania do wprowadzenia „moratorium na upamiętnianie tego zjawiska”, a na łamach „Krytyki Politycznej” upamiętnianie ratujących zostało skwitowane mianem „propagandowego gestu”. Główny argument brzmi, że celem upamiętnień jest rzekomo „ugruntowanie w polskim społeczeństwie przekonania, że podczas okupacji ratowanie Żydów było zjawiskiem powszechnym i społecznie akceptowanym”.

→ Bez wątpienia sugerowanie, że zjawisko ratowania Żydów było powszechne, byłoby dużym nadużyciem. Tylko czy sytuacja, w której upamiętnionych w ramach tego projektu zostało dotąd nie więcej niż 50 osób, na to wskazuje? Nikt z organizatorów upamiętnień nie stawia takiej tezy i nie sugeruje powszechności zjawiska pomocy. Przeciwnie, każda z opisanych historii można by opatrzyć przypisem, że masowa pomoc dla ludności żydowskiej w warunkach niemieckiej okupacji była niemożliwa. Właśnie taki był cel niemieckiej polityki okupacyjnej, z ustawodawstwem penalizującym wszelkie formy pomocy, z zastosowaniem bezwzględного terroru.

Argument, że skoro tablica pamiątkowa została umieszczona w centrum małej wsi, automatycznie sugeruje to powszechność upamiętnionych zachowań, jest tak naciągany, że trudno z nim polemizować. Program „Zawołani po imieniu” służy nie tyle pokazaniu skali zjawiska, ile upamiętnieniu konkretnych osób, które dobrowolnie podjęły ryzyko i zapłaciły za to najwyższą cenę. Upamiętnienia prowadzone są wspólnie z rodzinami (często do dziś przeżywającymi tzw. dziedziczną traumę) i ze społeczności lokalnymi.

Próby ratowania Żydów, podejmowane w skrajnie represyjnej sytuacji, wiązały się każdorazowo z kalkulacją ryzyka i szans na przeżycie. Kalkulacje te obejmowały zresztą nie tylko ryzyko własne: zagrożona była cała rodzina (najczęściej też zaangażowana w pomoc), a represje mogły dotknąć – i czasem dotykały – całą wieś. Niemiecki terror miał charakter arbitralny, oznaczał ogromną nieprzewidywalność. To był czas, w którym – cytując Jana Strzeleckiego – „co chwila ktoś spadał. Spadał nie tylko w śmierć – szybka śmierć była najłżejszym z upadków; spadał w torturę, konanie powolne...”.

I ratujący, i ratowani

Druga wątpliwość zgłaszana przez krytyków dotyczy tego, że przypominając tych, którzy ratowali i zginęli, należałoby także upamiętnić ukrywających się, ratowanych, którzy ponieśli śmierć.

To słuszna sugestia – i ona jest już realizowana. W miejscach, gdzie tożsamość żydowskich ofiar i ich losy są znane, również one są upamiętnione, np. tablicą (Wierzchowisko koło Częstochowy) czy kamieniem (Poręba-Kocebry w powiecie wyszkowskim). Należy dążyć do tego, aby



Przed 1939 r. Rubin Feldszuh działał w ruchu syjonistycznym. Ukrywany przez Polaków, przeżył Shoah. W Izraelu został dyrektorem szkoły, a potem dyplomata.



Stanisław i Władysława Krysiwiczowie z Waniewa koło Białegostoku ukrywali ośmiro uciekinierów z getta w Sokolach. Zginęli w 1943 r. Niemcy oszczędzili ich pięcioro dzieci. Trafiły one do krewnych lub sierocińców; o rodzeństwie i i historii rodziców dowiadywały się dopiero po wielu latach.

– znając nazwiska ofiar – upamiętnić je wszystkie. A także, by po nabożeństwie chrześcijańskim, które zwykle towarzyszy odsłonięciu upamiętnienia (ratujący

byli wszak chrześcijanami), kadysz w intencji ofiar odmówił również rabin. Oczywiście jest też, że w przypadku odnalezienia nieoznaczonych dotąd grobów ofiar Shoah należy je zabezpieczyć i upamiętnić. Właśnie w tym celu Instytut Pileckiego nawiązał współpracę z wyspecjalizowaną w tym Fundacją Zapomniane.

Krytycy sugerują również, że za takimi upamiętnieniami stoi chęć pokazania wyidealizowanego klimatu stosunków międzyludzkich w czasie wojny. Tymczasem „Zawołani po imieniu” w żadnym razie nie idealizują relacji społecznych pod okupacją, ani relacji polsko-żydowskich, ani też między Polakami. Tam gdzie są informacje, iż ujawnienie kryjówek było efektem donosu, jest to wprost powiedziane.

Wartości przypominane

Szymon Datner, ocalały, a następnie badacz Holokaustu, wieloletni dyrektor Żydowskiego Instytutu Historycznego, pod sam koniec PRL-u i swojego życia udzielił wywiadu Małgorzacie Niezabitowskiej. W tej rozmowie z 1988 r. mówił: „Każda forma pomocy była zabroniona pod groźbą śmierci dla siebie i całej rodziny. (...) Dla nas dzisiaj wybór wydaje się zupełnie oczywisty. A jednak (...) wstrząsnęła mną znajoma dziewczyna, Żydówka (...), którą bardzo cenię za jej uczciwość i odwagę. Powiedziała mi: »Wcale nie jestem pewna, czy dałabym miszkę jedzenia Polakowi, gdyby to mogło oznaczać śmierć dla mnie i mojej córki«. (...) To była prawdziwie diabelska próba moralna, jakiej poddano Polaków. Nie wiem, czy ktokolwiek inny wyszedłby z niej zwycięsko”.

Przytaczam tę wypowiedź nie dlatego, aby stwierdzić, że „Polacy zdali egzamin”, albo że ratowanie było powszechną normą moralną w społeczeństwie. Nie było. Przytaczam, bo jest w tym mądrość i pokora człowieka, który dużo przeżył, a potem przez dekady badał temat okupacji – z takim doświadczeniem próbuje opisać sytuację, w której znaleźli się zarówno ukrywający się, jak też ratujący. Datner odrzuca tu arogancję moralnej wyższości.

Wróćmy jeszcze do Jana Strzeleckiego. Pisał on: „Jeśli pojęcie sytuacji granicznej było jednym z naszych pojęć, to nie dlatego, żeśmy czytali Jaspersa, tylko dlatego, żeśmy żyli trwale w sytuacjach, którym cechy graniczności istotnie przysługiwały”. Upamiętnienie konkret-

GENI.COM

ZBIORY RODZINNE ALICJI WOJNY / INSTYTUT PILECKIEGO

nego doświadczenia terroru okupacyjnego jest ważne także dlatego, że niesie ze sobą odkrycie (przypomnienie) wartości. W pewnym sensie możemy powiedzieć, że ważne dla nas wartości tworzyły się niejako sytuacyjnie – również w konkretnych reakcjach na terror i politykę państw totalitarnych w XX w.

Lwowski prawnik Rafał Lemkin obserwował kataklizm wojny i Zagładę (stracił w niej praktycznie całą rodzinę), aby następnie przekuć to w prawne pojęcie ludobójstwa i praw człowieka. Strzelecki, a także ci ratujący z małych miejscowości – jak państwo Lubkiewiczowie, prowadzący piekarnię w Sadownym, Franciszek Andrzejczyk w Czyżewie, państwo Krysiwiczowie w Waniewie – wszyscy oni odkrywali wartość życia ludzkiego, jego godność. Takie wartości jak prawa człowieka są odkrywane również w zetknięciu z represjami. I na tym polega także uniwersalna wartość upamiętnień: dla społeczności lokalnych, dla całego społeczeństwa, dla edukacji obywatelskiej.

Nasz wybór

Pisze Strzelecki: „nasze doświadczenia zmieniały linie tradycyjnych podziałów. Sądu o wartości życia nie da się oprzeć na rozumie”. I dalej: „więź, która nas łączyła pod tym ciśnieniem, czyniła nas otwartymi na los innych; czyniła życie nasze tak oczywistą częścią życia zbiorowego, że tradycyjne przeciwstawienia jednostki i społeczeństwa wydawały się nam głosami egzystencji z czasu nie graniczącego z naszym. Nie było to tylko odkrycie nie dostrzeganego przedtem uwikłania, dostrzeżenie determinizmu, odsłoniętego wspólnym zagrożeniem. Był to zarazem wybór; była to afirmacja udziału we wspólnym losie właśnie dlatego, że los ten wiódł przez pas głębokiego cienia”.

To doświadczenie przejścia przez pas cienia i dojrzewania, opisane przez intelektualistę i członka ruchu oporu, nie było doświadczeniem całego społeczeństwa. Ale bez wątpienia było spójne z doświadczeniem wielu Polaków, w tym tych, którzy zdecydowali

się ratować uciekających przed Zagładą. W „Próbach świadectwa” znajdujemy przejmujący zapis wiary w „niezatarte, nieodmienne akty ludzkiego istnienia, poprzez które dzieje się na świecie to wszystko, co stanowi godność człowieka. Ślad zapisany w chwili, gdy to, co człowiek czyni, sięga kształtu godności, jest (...) wezwaniem skierowanym ku wszystkim”.

Strzelecki dodaje, że „nikt nie jest zwolniony z odpowiedzialności za trwanie śladu, ze swojego udziału w walce ze złem, w walce o trwanie wartości”.

Tych dzielnych ludzi, którzy zaświadczyli o godności człowieka, nie możemy dziś zamilczeć na śmierć. Ich ślad powinien trwać. © MATEUSZ FAŁKOWSKI

Autor jest od 2019 r. wiceprezensem Instytutu Pileckiego w Berlinie. Studiował w Warszawie, Berlinie i Erfurcie. Zajmuje się teorią ruchów społecznych i socjologią historyczną, założył i współprowadził grupę badawczą „Solidarność – nowe podejścia do analizy ruchu społecznego” w Collegium Civitas i ISP PAN.

UKOS ŚWIATŁA



Minęło prawie 80 lat i my o naszych sąsiadach wciąż nie pamiętamy. Moim zdaniem każdy dzień zwłoki to jest granie w jednej drużynie z nazistami. Ja nie chcę z nimi grać.

Dariusz Popiela,
„Ukos światła” reż. Wojciech Szumowski

WESPRZYJ POWSTANIE FILMU „UKOS ŚWIATŁA” o działalności Dariusza Popiela, odpominającej żydowskich sąsiadów. Weź udział w zbiorce na powszech.net/ukos lub wpłać bezpośrednio na konto Fundacji Tygodnika Powszechnego, w tytule przelewu pisząc „Ukos światła”. Santander Bank Polska S.A. nr: 31 1910 1048 2006 1845 1121 0001. Dziękujemy!



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

MAŁPIE RACHUNKI

Nowe badania podważają sens słynnej liczby Dunbara.
Czy ludzie naprawdę mogą mieć jedynie 150 przyjaciół?

ŁUKASZ KWIATEK

DLACZEGO W TOKU EWOLUCJI LUDZKIE mózgi tak bardzo urosły? Na pozór łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Wiemy przecież, że duży mózg daje ogromną przewagę adaptacyjną: pozwala lepiej przewidywać zagrożenia i ich unikać, efektywniej zdobywać pożywienie, skuteczniej współpracować i komunikować się, rozwijać coraz bardziej skomplikowane technologie.

W ewolucyjnym pytaniu „dlaczego?” nie chodzi jednak po prostu o wymienianie korzyści wynikających z posiadania dużego mózgu. Ewolucji nie wystarcza „dobry powód”, by obdarować gatunek jakąś pożyteczną cechą – gdyby tak było, to wszyscy mielibyśmy skrzydła. W pytaniu „dlaczego?”, jakie zadają sobie ewolucjoniści, chodzi o wskazanie sekwencji zdarzeń prowadzących do wzrostu rozmiaru mózgu naszych przodków.

Choć zastanawiamy się nad tym od czasów Darwina, wciąż nie możemy być pewni, jakie elementy zawiera poprawny scenariusz – i w jakiej kolejności należy je poukładać.

Machiavelli w dżungli

W połowie XX w. wśród naukowców panowało przekonanie, że zwiększanie się rozmiaru mózgu musiało mieć związek z używaniem narzędzi. Hipotezę tę możemy nazwać „ekologiczną” – to trudne warunki środowiskowe, w których nasi przodkowie żyli, wymusiły na nich tworzenie rozmaitych technologii. Wytwarzanie coraz bardziej zaawansowanych narzędzi wymagało coraz większego mózgu, a trzeba pamiętać, że to organ niezwykle kosztowny. U (współczesnych) ludzi odpowiada za 2 proc. masy ciała i aż 20 proc. zużycia energii. Rosnący w toku ewolucji mózg oznaczał zatem rosnące koszty metaboliczne, które zaspokoić można... coraz lepszymi narzędziami (ułatwiającymi gromadzenie zasobów, np. zdobywanie mięsa) – a więc dalszym powiększaniem się mózgu. Zgodnie z hipotezą ekologiczną to mózg ostatecznie sam płacił za swoje utrzymanie.

Z czasem coraz więcej uczonych zaczęło skłaniać się do tezy, że jeszcze ważniejsze dla rozwoju naszego mózgu było środowisko społeczne. Po-

gład ten inspirowały badania nad małpami. Naukowcy prowadzący obserwacje terenowe i w ogrodach zoologicznych, na czele z Jane Goodall, Fransem de Waalem i Nicholasem Humphreym, przekonali się, z jakimi wyzwaniem wiąże się życie w małpim stadzie.

Okazało się, że małpy – na tle innych grup zwierząt wyróżniające się sporymi mózgami – uprawiają politykę: zawierają sojusze i posiadają wrogów, próbują wspinać się po szczeblach drabiny społecznej, uciekając się nie tylko do przemocy fizycznej, ale i oszustw. Np. odwracając uwagę przywódcy stada, by potajemnie zjeść coś dobrego albo spędzić intymne chwile z partnerkami, do których najsilniejszy samiec próbował ograniczyć dostęp konkurentom.

W latach 60., 70. i 80. czasopisma naukowe zaroili się od tego rodzaju doniesień, a prymatolodzy Richard Byrne i Andrew Whiten uporządkowali je, tworząc tzw. hipotezę inteligencji makiawelicznej (przemianowaną później na hipotezę mózgu społecznego – ang. *social brain hypothesis*, SBH). Głosiła ona, że u naczelnych to właśnie życie stadne i związana z nim konkurencja stworzyły potrzebę ewolucyjnej inwestycji w duże mózgi (ojcem chrzestnym określenia „inteligencja makiaweliczna” był de Waal, który w swoich popularnonaukowych książkach o małpiej polityce cytował fragmenty „Księcia”).

U ludzi – siedzących na tej samej ewolucyjnej gałęzi, co małpy – miało to wyglądać analogicznie. Cykl przemian, który doprowadził do powstania dużych ludzkich mózgów, miał się rozpocząć dlatego, że w stadach zaistniała potrzeba oszukiwania i manipulowania innymi – ten, kto robił to skuteczniej, zostawiał więcej dzieci. Umiejętności oszustów rosły z pokolenia na pokolenie, podobnie jak ich mózgi, a presja selekcyjna na dalszy wzrost mózgu nie wygasła – zgodnie z tym scenariuszem zawsze opłacało się mieć mózg sprawniejszy w manipulowaniu innymi, by móc choćby raz na czas przechrzyć konkurencję.

Stu pięćdziesięciu znajomych

Na papierze wszystko się zgadzało, ale potrzebne były dowody. Tych jako pierwszy dostarczył Robin Dunbar. Na początku lat 90. udało mu się powiązać liczebność stad u naczelnych ze względnymi rozmiarami ich mózgu (to stosunek masy

mózgu do masy ciała), a także jego złożonością (której wskaźnikiem były względne rozmiary kory nowej – najmłodszej ewolucyjnie warstwy mózgu, odpowiedzialnej za najbardziej złożone procesy poznawcze).

Wykresy przedstawione przez Dunbara były sugestywne: im większy lub bardziej złożony mózg u danego rodzaju naczelnych, tym większe grupy społeczne tworzą należące do tego rodzaju gatunki. Zależność ta wyjaśniała np., dlaczego szympansy tworzą większe stada niż makaki. Korzystając z równań Dunbara i mając dane na temat wielkości mózgu danego rodzaju małp, można było wyliczyć, z ilu mniej więcej osobników powinny składać się ich stada.

Odkrycie Dunbara łatwo było interpretować w kontekście SBH. Małpy łączą się w grupy z powodu presji ekologicznych – życie w grupie ułatwia radzenie sobie z drapieżnikami, zdobywanie pożywienia, ochronę zasobów i płodzenie potomstwa – ale w stadach pojawiają się zupełnie nowe problemy. Trzeba być sprawnym politykiem: śledzić relacje panujące między osobnikami, rozpoznawać członków własnego stada i obcych, przewidywać ich zachowania. Duże stado oznacza dużo informacji społecznych do przetworzenia, co wymaga sprawnego mózgu. Jego rozmiar nakłada więc ograniczenia na liczebność małpich stad – nie mogły one rosnąć w nieskończoność, bo w końcu utrzymanie mózgu pozwalającego odnaleźć się w takim stadzie stawało się zbyt kosztowne. Każdy gatunek musiał znaleźć swoje optimum.

Wkrótce Dunbar wyrósł na największego zwolennika SBH, która po drodze straciła trochę ze swej makiawelicznej wymowy. Nikt nie zaprzeczał, że oszustwa i manipulacje są w małpich stadach powszechne, ale coraz więcej uczonych przekonywało, że nie można pomijać współpracy, unikania konfliktów i altruizmu. Obserwacje Fransa de Waala pokazywały, że małpy wiele wysiłku wkładają w to, by w ich stadach panował porządek i harmonia (np. iskają się nawet przez kilka godzin dziennie, by rozładować napięcie) – bo przemoc i związany z nią stres nikomu nie służą. Żeby utrzymać porządek, warto być, choćby czasami, miłym. Miało to sens. Skuteczny polityk to niekoniecznie największy łajdak i manipulator – czasem to po prostu najlepszy negocjator. Wydzwitek SBH ewoluował, ale

→ główna idea pozostała: to właśnie wyzwania związane z życiem w stadzie, a nie presje ekologiczne, miały napędzać ewolucję mózgu naczelnych.

Jak na ewolucjonistę przystało, Dunbar nie poprzestał na małpach – tych samych równań użył, by sprawdzić, z ilu osobników powinny składać się nasze grupy społeczne, biorąc pod uwagę rozmiary naszych mózgów. W przypadku *Homo sapiens* uzyskał wartość ok. 150. Tak narodziła się „liczba Dunbara”.

W wojsku i urzędzie

Liczba Dunbara zrobiła ogromną karierę medialną i zaistniała w popkulturze. Psychologowie ewolucyjni zaczęli zaś sprawdzać, czy widzimy jej emanację w społeczeństwie. Sam Dunbar twierdzi, że 150 to średnia liczba znajomych, których aktywność śledzimy w mediach społecznościowych, mniej więcej tylu członków liczyły podstawowe jednostki taktyczne w oddziałach wojskowych – od rzymskich legionów po współczesne armie, a firmy, których pracownicy zorganizowani byli w 150-osobowe grupy, miały działać wydajniej. Również społeczności zbieracko-łowieckie, zdaniem Dunbara, liczyły średnio 150 osób. Te wszystkie tendencje mają odzwierciedlać fakt, że w grupach do 150 osób potrafimy się dobrze odnaleźć, bo nasz mózg jest w stanie efektywnie przetwarzać wszystkie potrzebne informacje społeczne.

Koncepcja Dunbara zaczęła także kształtować rzeczywistość. Szwedzki urząd podatkowy w 2007 r. ogłosił plany reorganizacji, zgodnie z którymi w każdym biurze miało pracować maksymalnie 150 osób. Autorzy tego projektu wprost odwoływali się do SBH (z czego się później wycofali – pracownikom nie spodobało się, że o ich życiu decydować mają badania prowadzone na małpach), podobnie jak producenci gier online, mediów społecznościowych, a nawet architektki.

W późniejszych pracach Dunbar rozbudował swoją koncepcję, wyróżniając kilka dodatkowych liczb: 5, 15, 35, 500 i 1500 – które miały odpowiadać kolejnym kręgom relacji społecznych. Jego zdaniem możemy stworzyć pięć intymnych relacji, mamy 15 bliskich przyjaciół, a 1500 osób potrafimy rozpoznać z imienia i nazwiska. Liczba 150 miała odpowiadać tworzonemu przez nas „znaczącym relacjom”. Z jednej strony – bogatszy model powinien coraz lepiej odpowiadać

Małpy próbują wspinać się po szczeblach drabiny społecznej, uciekając się nie tylko do przemocy fizycznej,
ale i oszustw oraz manipulacji.

rzeczywistości społecznej, ale można też zauważyć, że cała idea „liczby Dunbara” się przez to rozgadnia. Im więcej liczb i kręgów społecznych wyróżnimy, tym łatwiej dopasować do nich jakiegokolwiek dane. Odchodzimy zarazem od najważniejszego elementu SBH: żadna z tych dodatkowych liczb, w przeciwieństwie do 150, nie koreluje z rozmiarami mózgu.

Po owocach ich poznać

Problemów z SBH jest więcej. Zasadniczo wykresy Dunbara działały w przypadku małp żyjących w stadach – istnieją jednak gatunki prowadzące samotniczy tryb życia. Najbardziej wśród nich wyróżniają się orangutany – ich duże mózgi sugerowałyby, że będą tworzyć grupy złożone z dziesiątków osobników, tymczasem dorosłe żyją w pojedynkę. Dunbar tłumaczy, że orangutany stały się samotnicze wtórnie – ich przodkowie mieli być bardzo uspołecznieni, i to wtedy urosły im mózgi, ale z czasem porzucili ten tryb życia. To jednak wyłącznie spekulacja.

W 2017 r. opublikowano raport z badań, które silniej wstrząsnęły podstawami SBH. Alex DeCasien i współpracownicy wykazali, że rozmiar mózgu u małp zależy od diety, a nie liczebności grupy czy innych społecznych charakterystyk (np. struktury stada i sposobu łączenia się w pary). Gatunki zjadające liście mają małe mózgi, a te, które żywią się owocami – duże. Tę ekologiczną zależność łatwo wyjaśnić – liście łatwo znaleźć, zwłaszcza w lesie, więc nie potrzeba do tego dużych mózgów (mniejszy mózg łatwiej zaś utrzymać na niskiej jakości diecie). Zlokalizowanie owoców jest trudniejsze – ale są one bardziej kaloryczne, więc pozwalają odżywić większy mózg. Co istotne, DeCasien i współpracownicy nie musieli odwoływać się do żadnych

sztuczek, by wyjaśnić duże mózgi gatunków samotniczych, a ich analiza była bardziej drobiazgowa (opierała się na gatunkach, nie rodzajach małp, i brała pod uwagę więcej zmiennych) od tej przeprowadzonej przez Dunbara.

Kolejny cios koncepcji Dunbara zadali autorzy opublikowanej niedawno w „Biology Letters” analizy. Posługując się dwiema różnymi metodami statystycznymi oraz opierając na nowszych danych dotyczących rozmiarów mózgu małp i liczebności ich stad, Patrik Lindenfors ze współpracownikami ustalili, że wartość „liczby Dunbara” dla człowieka odbiega od sugerowanej przez Dunbara wartości 150. Obliczenia wskazywały, w uśrednieniu, na wartości 16-42 lub 69-109 (w zależności od użytej metody statystycznej). Jednak są one obciążone dużym marginesem błędów – z 95-procentowym prawdopodobieństwem możemy powiedzieć wyłącznie, że ta wartość mieści się w zakresie 2-336 lub 4-520. Tak szeroki przedział ufności niesie zaś niewiele użytecznych informacji.

Dunbar zareagował dość histerycznie – w artykule opublikowanym w serwisie „The Conversation” zarzucał Lindenforsowi i jego współpracownikom błędny wybór metod statystycznych. Ich kolejnym problemem ma być „zaskakująco ubogie rozumienie ludzkich i małpich relacji społecznych”. Gdyby bowiem „przeczytali, co w ostatniej dekadzie opublikowano [na temat SBH], to oszczędziliby sobie wiele niepotrzebnego wstydu”.

Trudno powiedzieć, kto w tym sporze ma rację. Niewątpliwą zaletą hipotezy mózgu społecznego jest to, że zainspirowała ona wiele badań, które poszerzyły naszą wiedzę o świecie społecznym małp i ludzi. Nie sposób jednak zapominać o jej brakach i alternatywie w postaci hipotezy ekologicznej – nawet jeśli sam Dunbar na krytykę reaguje bardziej jak urażony samiec alfa niż wytrawny polityk.

©© ŁUKASZ KWIATEK

**RADIO
KRAKÓW**

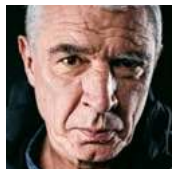
Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Słuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy
Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM |
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM |
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów
– 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM |
www.radiokrakow.pl

ANDRZEJ

Stasiuk:

O Iwaszkiewiczu



BYŁEM KIEDYŚ W STAWISKU. ZOSTAŁO mi w pamięci małżeńskie łóżko Iwaszkiewiczów. Małe jakieś takie mi się wydało. Niby małżeńskie, dwuosobowe, ale bardziej takie w kwadrat. Znaczący się krótkie. A przecież Iwaszkiewicz był kawał chłopca. Powiedzieli mi, że tak się wtedy spało. Jakby półsiedząco. Z wysokimi poduchami pod plecami. No niezbyt wygodnie i jakby przymus, że na wznak. I sama sypialnia ciasnawa, jakby lalczyna. Musiał się Pisarz trochę męczyć.

Przypomniało mi się to, bo wróciłem parę dni temu do jego opowiadań. Co tam – wróciłem. Czytałem je tak dawno, że uleciały mi całkiem z pamięci. Więc jakby od nowa. Długie to są rzeczy i psychologicznie trochę skomplikowane. Nie chcę powiedzieć, że niedzisiejsze, bo przecież psychologia akurat swój diamentowy wiek zdaje się przeżywać i człowiek dzisiejszy bezradny bez niej jest jak dziecko we mgle postnowoczesności. Jak mu się psychologicznie życiowej struktury nie wyjaśni, to nic tylko używki, przemoc oraz ryzykowne zachowania libidalne. Jednak ta Iwaszkiewiczowska jakby nieco bardziej złożona, niejasna oraz literacka. Ciągnie się przez całe strony, snuje, meandruje, a i tak na końcu graży nas w ciemnej otchłani. Nie to, co ta dzisiejsza.

Ale nie o tym chciałem... Ciasnota łóżka i sypialni stała mi przed oczami, gdy trafiałem na niezrównane i równie długie „fragmenty przyrodnicze”. Na przykład w „Brzezynie”. Albo w „Nauczycielu”. Albo w „Zarudziu”. Nie ma to jak urodzić się w otwartej przestrzeni pod rozległym niebem. Tak jak w tym jego Kalniku na południowych stepach nad rzeką Sob. Gdy rodzisz się w ogromnym pejzażu, szukasz potem jego wcieleń, powtórzeń i odmian we wszystkich miejscach, z których przyjdzie się rozglądać. Ile tam u niego otwiera się okien. Józio w „Zarudziu”, gdy wprowadza się do pokoju ojca samobójcy, każe wyciąć krzewy i drzewa, żeby otworzył się daleki widok. Tak samo w „Jazdach do Sandomierza”: nieustanne poszukiwanie rozległego meandru Wisły ogarnianego z wysokiej skarpy. W mieszkaniu, które pisarz wynajmuje, ku jego utrapieniu, okno wychodzi na mur katedry. A na parterze czy też w suterenie rezydowała koza, do której zapachu

musiał się przyzwyczaić. Za to widok roztaczał się z drewnianej sławki „na łąki nad Wisłą i na zieloną równinę za Wisłą (...) i nic nie przeszkadzało wzrokowi biegnącemu aż do horyzontu. Na horyzoncie tym widniały już dymy Stalowej Woli”. To jest jakieś dwadzieścia kilometrów widoku i jeszcze z takiego miejsca, więc nic dziwnego, że Pisarz chciał ten obraz do końca swoich dni.

Ale czym jest przestwór, jeśli nie wypełniają go pory roku i pogody? Jeśli nie wlewa się weń światło, by go zmieniać, unicestwiać i na nowo ocalać? Tylko geometrią kształtów. Na dłuższą metę jednak trochę nudną. Więc Iwaszkiewicz meteorologizuje jak najczulszy barometr. Jak hipochondryczny meteopata. Ogarniają nas, to znaczy mnie ogarniają, te aury, jakbym tam był, mókł w deszczach, marzył w mrozach, pocił się w upałach i błędził we mgłach. Nic nie poradzę, że losy, postacie i psychologiczne konstelacje jakby mniej podniecające. Odwrotnie niż było z Elizą Orzeszkową, z tym pomijaniem „opisów przyrody”. Czy ja jej zresztą nie pominąłem w całości? Wiele na to wskazuje. Iwaczy nie da się pominąć. Nie da się uciec od jego spojrzenia, które śledzi barwy świata tak naturalnie, jak się oddycha. Bo może on w istocie oddycha, odżywia się światłem, blaskiem, jakąś przedziwną spektralnością? Jakby rozkładał, rozpuszczał wzrokiem powierzchnię świata. Jakby ją topił tak, jak ciepło roztaja lodowe powierzchnie.

No wiem. Zachwycam się całkiem młodzieńczo. Nawet sam Redaktor się zdziwił, gdy mu powiedziałem, o czym piszę. Już nie pytałem, dlaczego się dziwi. Że Iwaszkiewicz się zestarzał? Albo ja za młody i zbyt prosty, żeby ulec subtelnym urokom tej prozy? A może jedno i drugie? A może niedzisiejszość Iwaszkiewiczowskiego pisania nie się ulgę w czasie marnym? Można się schronić, zanurzyć w jej nurcie, który ma swój początek w czymś w rodzaju przedwieczności. W przedczasie, gdy jeszcze nas nie było na świecie i nie rozpychaliśmy się ze swoim nieustannym „ja”, „ja”, „ja”. Dlatego cały ten człowieczy element u Pisarza wydaje się dodany, pretekstowy. Natura, Stworzenie nie czytają książek. A pisać trzeba dla kogoś. Albo chociaż dla pieniędzy.

No więc patrzę przez okno na zimny maj i podczytuje „Brzezinę”. Czasem wychodzi słońce, ale mam wrażenie, że robi się wtedy jeszcze chłodniej, bo powietrze się szkli, a błękit wydaje się lodowaty. Potem północny wiatr przysiania chmury i znikają długie poranne cienie świerków i modrzewi. Jestem już trochę stary. No nie taki stary jak Jarosław Iwaszkiewicz, ale jednak. Patrzę na chmury i cienie i odnajduję w tym pociechę. Bo mogę wiedzieć rzeczy, które mnie przetrwają, a ich piękna forma raczej się nie zmienia. I to jest tak, jakby się jednak oglądało coś w rodzaju wieczności. Nieprawdaż?

©



Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na klubtygodnika.pl/wydarzenia



GRZEGORZ JANKOWICZ

Przeszło dwa lata temu, anonsując nasz projekt „Wielkie Pytania na nowo”, podkreślaliśmy, że jest on niezwykle potrzebny w świecie ogarniętym światopoglądowymi wojnami. Prowadzone w przestrzeni publicznej dyskusje, podporządkowane zazwyczaj (zdecydowanie zbyt często) doraźnym celom politycznym, zmieniają nasze nastawienie wobec rzeczywistości, czyniąc nas obojętnymi na wiele jej aspektów. Doszliśmy do wniosku, że należy przeciwdziałać tym procesom, zadając ważne pytania naukowe i filozoficzne. Naszym celem było przeniesienie rozmowy na inny poziom, przyjęcie innej perspektywy, zmiana sposobu prowadzenia debaty.

Działaliśmy na kilku obszarach. Przede wszystkim publikowaliśmy specjalne dodatki do „Tygodnika Powszechnego”, w których ukazywały się artykuły wybitnych specjalistów i specjalistek. Wśród omówionych zagadnień znalazły się: matematyka, sztuczna inteligencja, kultura, teoria wszystkiego, idea Boga, pandemia, mózg, język oraz moralność. Poza tym przestrzenią namysłu były organizowane przez nas cykliczne wykłady, warsztaty czytelnicze oraz wydarzenia, które włączyliśmy do programu dwóch naszych festiwali: Conrada i Kopernika.

Państwa reakcje – nie tylko afirmatywne, ale też polemiczne – skłaniają nas do rozwijania tego projektu. Dołożyliśmy wszelkich starań, by nasza współpraca z Fundacją Templetona była kontynuowana. Jest jeszcze wiele istotnych pytań, które należy zadać dziś na nowo, by za ich pomocą zwrócić uwagę na ważne zjawiska i problemy, a także stymulować zmianę sposobu komunikacji w przestrzeni publicznej.

©®

Projekt „Wielkie Pytania na nowo” realizowaliśmy dzięki wsparciu z grantu Templeton Religion Trust. Menedżerem projektu jest Grzegorz Jankowicz, Łukasz Lamża zaś jest redaktorem serii wydawnictw.



Copernicus Center

Czytaj bezpłatnie wszystkie artykuły z serii „Wielkie Pytania na nowo”

w serwisie TygodnikPowszechny.pl/wielkiepytania

Jak mówić o Wielkich Sprawach?

ŁUKASZ LAMŻA

Dziesiątki opublikowanych artykułów i zorganizowanych wydarzeń miały nas – choć trochę – zbliżyć do nieskończoności.

Kiedy przychodzi do mówienia o „Wielkich Pytaniach”, bardzo trudno jest dobrać odpowiedni głos – wystarczająco poważny, ale jednocześnie nie nabożny. Żeby zrozumieć istotę problemu, wystarczy przytoczyć solidną próbę pytań, z którymi zmagaliśmy się przez ostatnie dwa lata. Ot, po jednym na każdy z dziewięciu głównych tematów, wokół których ogniskował się nasz projekt.

Jaka jest największa konkretna liczba, którą da się wyrazić językiem matematyki? Czy komputer może naprawdę myśleć, czy tylko bardzo dobrze imitować myślenie? Czy przedstawiciele rdzennych kultur Amazonii raczej korzystają, czy tracą na kontakcie z kulturą Zachodu? W jakim stopniu Bóg Starego Testamentu jest rzeczywiście podobny do człowieka? Co istnienie człowieka mówi o Kosmosie? Czy da się odczytać myśli ludzkie przy pomocy technologii? Jaką rolę ogrywają choroby w życiu jednostek i społeczeństw? Czy zwierzęta faktycznie posługują się językiem w takim samym sensie jak ludzie? Czy są jakieś argumenty za chęcią rozmnażania się; a co z ludźmi, którzy programowo nie chcą mieć dzieci?

Nietrudno zauważyć, że uczciwe zmierzenie się z tymi problemami wymaga zastanowienia się, czym „tak naprawdę” są kultura, język, życie czy moralność. I taka była nasza intencja – odważnie wskoczyć w sam środek problematyki, która nawet w pierwszych tekstach filozoficznych zapisanych ręką ludzką przedstawiana jest jako „odwieczna”. Nie da się tego zrobić niefrasobliwie. Z drugiej strony filozofowanie na „te tematy” bardzo lubi przekształcać się w nabożne przerzucanie się greką, łaciną i sanskrytem, Wielkimi Autorytetami i uczonymi klasyfikacjami. Tego też nie chcemy – przecież „Wielkie Pytania” miały być punktem wyjścia do rozmowy, a nie serią akademickich wykładów. Jeśli pytania te nie są aktualne – a przynajmniej nie na tyle, że da się je przetłumaczyć na konkretne, drobne pytanko, na które czasem po prostu da się odpowiedzieć – to po co się nimi zajmować?

Bóg i teoria wszystkiego

Po dwóch latach spędzonych na redagowaniu artykułów publikowanych w dziewięciu dodatkach do „Tygodnika

Powszechnego” – łącznie dokładnie sześćdziesięciu pięciu – muszę powiedzieć, że patrzę na ten zbiorek ze spokojem. Chyba się udało. Najbardziej cieszą mnie te momenty, kiedy pradawne pytania nagle stawiane są w nowym świetle przez na pozór niewinne, drobne odkrycie. Ot, zagadka pochodzenia Wszechświata. W dodatku „Teorie wszystkiego”, opublikowanym w marcu 2020 r. (wraz z numerem 12 „Tygodnika”), zmagaliśmy się z nią z kilku różnych perspektyw. Przypomnieliśmy też postać Edwina Hubble’a – astronoma, który stał się jednym z najsłynniejszych naukowców w dziejach, badając kolor odległych galaktyk. Zauważył z czasem, że coraz to bardziej oddalone obiekty w Kosmosie wydają się być coraz bardziej „poczerwienione”, co – słusznie – zinterpretował jako ślad po ich odsuwaniu się od nas. Ale jak to, czyżby Ziemia była w centrum Wszechświata i wszystko panicznie przed nią uciekało? Jest jeszcze jedno wyjście: wszystko odsuwa się od wszystkiego innego, choćby ze swojej własnej perspektywy nie ruszało się z miejsca. To sama przestrzeń z każdą chwilą „puchnie” – a więc i kiedyś, skończoną liczbę lat temu, jej „rozmiar” zbliżał się do zera. Obserwacja ta wywołała potężną rewolucję – nie tylko w fizyce i astronomii, ale również w teologii. Trudno bowiem myśleć tak samo o Stworzeniu, gdy dzieje Wszechświata widzimy w zupełnie nowym świetle. A zaczęło się od znużającego mierzenia długości fal światła galaktyk...

Tego typu przypadki dają nadzieję na postęp, nawet w tak zawiłych kwestiach jak pytania ostateczne. W dodatku „Bóg”, opublikowanym w grudniu 2019 r. (wraz z numerem 51 „Tygodnika”), biblista Marcin Majewski wyjaśniał, jak najnowsze badania archeologiczne wpływają na nasze rozumienie JHWH, czyli starotestamentowego Boga. Teolog i terapeuta ks. Jacek Prusak tymczasem pisał o relacji z Bogiem językiem współczesnej psychologii – dla osoby głęboko wierzącej, bądź co bądź, jest to relacja międzyzobowa. Próby „aktualizacji” spraw ostatecznych i podporządkowywania ich rozwojowi nauki to oczywiście niebezpieczna gra i dobrze jest nie zapomnieć o zdrowej dawce pokory. W tym samym dodatku filozof i teolog Piotr Sikora przestrzegał nas przed ograniczeniami umysłu ludzkiego, próbującego zrozumieć Boga tak, jak rozumienie przepisu na szarlotkę. Z kolei we wspomnianym wyżej dodatku o „teoriach wszystkiego” czytaliśmy wspólnie „Sen o teorii ostatecznej” – piękną książkę napisaną przez Stevena



ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT

SABINE HOSSENFELDER,

DLACZEGO FIZYCE BRAKUJE WYOBRAŹNI

Autorka książki „Zagubione w matematyce” była wirtualnym gościem Copernicus Festival 2021: Wyobraźnia. Dr Hossenfelder mówiła o przyczynach kryzysu, który opanował współczesną fizykę teoretyczną, skutkującego brakiem nowych, potwierdzonych eksperymentalnie teorii.



REWOLUCJA NEURONAUKOWA

TOMASZ ROŻEK,

O SZTUCZNEJ INTELIGENCJI W MEDYCYNIE

Jak daleko jesteśmy od zastąpienia lekarzy-diagnostów programami komputerowymi? Czy sztuczna inteligencja potrafi projektować nowe leki? Na te pytania odpowiadał znany popularyzator nauki, dr Tomasz Rożek, w wykładzie wygłoszonym w De Revolutionibus Books&Café w Krakowie.



WARTOŚCI DZIŚ

MICHAŁ HELLER,

WOJCIECH BONOWICZ,

CZAS ROZPACZY CZY NADZIEI

Specjalną edycję Copernicus Festival, w całości poświęconą pandemii COVID-19, zamknęła rozmowa ks. Hellera z Wojciechem Bonowiczem o pocieszeniu i nadziei, jakie nauka i religia dają w czasie kryzysu.



SPOŁECZEŃSTWO I KOMUNIKACJA

MAŁGORZATA MAJEWSKA,

LEKCJA PRZYRODY

Adresowany do licealistów wykład językoznawczyni dr Małgorzaty Majewskiej oparty został na książce Benjamina Bergena „What the F.”. Opowiada ona o tym, co przekleństwa mówią o naszym umyśle. Wydarzenie odbyło się w ramach Copernicus Festival 2020: Czas.



→ Weinberga, jednego z najwybitniejszych XX-wiecznych fizyków, który ostatecznie doszedł do wniosku, że próba objęcia „naprawdę wszystkiego” prawami fizyki to program tyleż odważny, co mający w sobie wiele z marzenia sennego.

Licealne osobliwości

Nieustające przeskakowanie między wielkimi ambicjami poznawczymi a przyziemnymi detalami nauki i technologii towarzyszyło nam przez cały czas trwania projektu. Nic nie ilustruje chyba tego napięcia lepiej niż trwająca mniej więcej od półwiecza walka o stworzenie „komputerowego umysłu”, którą relacjonowaliśmy w dodatku „Sztuczna inteligencja” (w kwietniu 2019 r., opublikowanym w numerze 16 „Tygodnika”). Stawki w tej grze są niewyobrażalne. Od strony praktycznej trudno wyobrazić sobie konsekwencje posiadania do dyspozycji inteligencji, która czysto potencjalnie może górować nad ludzką, jak ludzka góruje nad mysią. Już teraz komputerowe programy tłumaczeniowe, które opisywał dla nas kognitywista Marcin Miłkowski, stanowią zagrożenie dla zawodu tłumacza, a algorytmy generujące „fikcję prawdziwszą niż rzeczywistość” budzą wątpliwości etyczne i polityczne. Od strony teoretycznej pojawia się „drugiego umysłu” – po tym pierwszym, organicznym, wylaniającym się z pracy mózgu – rodzi nadzieje na zrozumienie, „o co tak naprawdę chodzi w tym całym umyśle”. Tymczasem twórcy sztucznej inteligencji przekonują nas, że jest to tylko zbiór sprytnych sztuczek, a bliskie poznanie anatomii dowolnego programu komputerowego, bez względu na to, jak spektakularne byłyby jego wyczyny, tylko potwierdza zblazowanie programistów. Z drugiej strony, po zjrzeniu do ludzkiej czaszki też nie znajdziemy nic poza elektryczną galaretką. Jak to więc jest z tym umysłem?

I tak już było cały czas. Od 2019 r., od kiedy ruszyły nowe „Wielkie Pytania”, tydzień w tydzień miotaliśmy się między filozoficznymi chmurami a słodkim błotkiem konkretności. A co dopiero w czasie spotkań z czytelnikami, uczestnikami „Lekcji czytania”, gośćmi na festiwalach Conrada i Copernicus oraz widzami naszych filmów, którzy jakże chętnie wchodzą z nami w dyskusje online. Bywało, że na przestrzeni kilku minut najpierw padało pytanie o to, skąd wziął się Wszechświat i czy to naprawdę Bóg go zaprojektował, a chwilę później zastanawialiśmy się, które rozwiązania równań pola Einsteina posiadają osobliwości na mocy twierdzeń Hawkinga-Penrose’a. Licealiści zaskakiwali nas abstrakcyjnymi pytaniami sięgającymi korzeni słów i idei, a emerytowani lingwiści poprawiali naszych wykładowców w subtelnych kwestiach dotyczących klasyfikacji dialektów języka fińskiego.

Ostatecznie okazało się, że całe to przedsięwzięcie ma charakter nieskończony, by nie rzec: fraktalny. Wielkie pytania składają się z pytań średnich, te zaś z drobnych; a gdy już się wydawało, że rozłożyliśmy je ostatecznie na drobne, nieledwie trywialne pytanko, nagle okazywało się, że w każdym z nich kryje się któraś z naszych Wielkich Tajemnic. Znaleźliśmy też po drodze kilka całkiem interesujących Średnich Odpowiedzi, ale największym sukcesem projektu był chyba fakt, że doszło przy okazji do niezliczonych Długich Rozmów. Tego nam wszystkim najpilniej potrzeba. © P ŁUKASZ ŁAMŻA

**Czytaj bezpłatnie wszystkie artykuły z serii „Wielkie Pytania na nowo”
w serwisie [TygodnikPowszechny.pl/wielkiepytania](https://tygodnikpowszechny.pl/wielkiepytania)**

DYSKRETNY UROK REBELII

AGNIESZKA TABORSKA, PISARKA:

Nigdy nie kłamałam, byłam grzeczną dziewczynką, niestety. Postaram się to wkrótce nadrobić jako staruszka.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Byłam pewna, że po Pani domu będzie się kręcił pies.

AGNIESZKA TABORSKA: Bo piszę o psach w „Człowieku, który czeka”?

I to z czułością.

Mnie też dziwi, że nikt tu nie merda ogonem, ale jeszcze nie możemy mieć psa. Od 1988 r. spędzamy z Marcinem kilka miesięcy w roku w Stanach, gdzie mieszkają z nami koty. Na razie mogą tylko bezkarne głaskać sąsiedzkie kundelki – byłych rezydentów schronisk. Coraz częściej zresztą przypominają mi ludzkich znajomych, niekiedy już nieżyjących. Jeszcze jeden dowód na to, że międzygatunkowe związki są znacznie silniejsze, niż skłonni bylibyśmy sądzić.

We „Włóczykiju”, Pani książce dla dzieci, tytułowym bohaterem jest kundel, który wybiera wolność ze wszystkimi jej konsekwencjami.

Tak jak Roland Topor wierzę, że literatura dla dzieci powinna być również literaturą dla dorosłych. Młodzi i starzy odczytują coś innego w dewizie Włóczykija, że „nigdy nie jest się kimś na zawsze”. Wielu „dziecięcych autorów” unika trudnych tematów. Roland uważał, że z dziećmi powinno się rozmawiać o wszystkim, a nie serwować im lukrowaną wizję rzeczywistości. Napisał libretto opery o dziewczynce, która – odwiedzając groby rodziców – zaprzyjaźnia się z duchami.



AGNIESZKA TABORSKA jest pisarką, romanistką, znawczynią surrealizmu. Autorka ponad 20 książek, m.in.: „Spiskowcy wyobraźni. Surrealizm”; „Okruchy amerykańskie”; „Abecadło Topora”; „Senny żywot Leonory de la Cruz”; „Wieloryb, czyli przypadek obiektywny”; „Niedokończone życie Phoebe Hicks”; „Nie tak jak w raju”. Do niedawna dzieliła życie między Warszawę a Providence w USA, gdzie wykłada – ostatnio zdalnie – w Rhode Island School of Design. W 2020 r. w wydawnictwie Lokator ukazała się jej książka „Człowiek, który czeka”.

Do literatury wrócimy, a mnie jeszcze interesuje, czy jako dziecko miała Pani psa.

Zawsze bardzo chciałam, ale rodzice – ze względu na małe mieszkanie – długo stawiali opór. Na jakimś etapie negocjacji ofiarowali mi pod choinkę małeńkie akwarium z dwiema czerwonymi rybkami. Nie znali się jednak na ichtiologii i nie wiedzieli, że rybki powinny mieć czystą wodę, a już na pewno nie to, co w latach 60. płynęło z warszawskich kranów. Rybki nie przeżyły nocy. Rankiem w pierwszy dzień świąt pływały brzuskami do góry, który to widok pamiętam do dziś. Przetrawiały za to ślimaki i długo z nami mieszkaly, rozmnażając się na potęgę. W końcu zrozumieliśmy, że ślimak to nie pies, i udało mi się namówić rodziców do zaadoptowania psa ze schroniska. Miał być mały i krótkowłose, ale okazał się sporą, długowłosą suczką. Nazwaliśmy ją Fizia. Na cześć Fizi Pończoszanki Astrid Lindgren. Wspomnienie Fizi żyje w moim rodzinnym domu.

Fizia to postać kluczowa Pani dziecięcych lektur?

Obok „Alicji w Krainie Czarów” i „Muminków”. Lubiałam Fizię dlatego, że – jak Alicja czy bohaterka książki Topora, którą wiele lat później przetłumaczyłam, Księżniczka Angina – zrywała ze stereotypami przedstawiania dziewczynek w literaturze. Nie była grzeczna, nie bawiła się lalkami i nie wpisywała się w określoną z góry rolę przyszłej mamy i pani domu. Miała za to nieograniczoną wyobraźnię, co czyniło z niej buntowniczkę.

Łączy się z nią moje pierwsze wielkie rozczarowanie. Egzemplarz książki, z którym się nie rozstawałam, pożyczy-

łam ulubionej polonistce z podstawówki, która nigdy mi go nie oddała. Tę „drzazgę w sercu” noszę do dziś. Widać nie wyciągnęłam jeszcze wtedy z lektury odpowiednich wniosków.

Fizia z pewnością by się upomniata.

W czasach, gdy jako dziecko czytałam „książki dla dzieci”, dziwiło mnie, że chłopcy bohaterowie mają zawsze większe pole swobody. To się oczywiście teraz zmienia. Wtedy jednak chłopiec w literaturze mógł zostać strażakiem, żołnierzem, ba, nawet astronautą. Dziewczynki zaś widziano głównie w roli przyszłych żon i matek. A przecież sprowadzanie części społeczeństwa do jednej roli jest zbrodnią.

Fizia Pończoszanka od wiecznie nieobecnego ojca – nie wiadomo, czy realnego, czy wytworu wyobraźni – na pocieszenie dostaje matpkę. Zwierzę ma Fizi zastępować człowieka, podobnie jak w pandemii koty i psy zastępują nam potrzebę dotyku i bliskości.

Uświadomiłam sobie właśnie kolejny związek między Księżniczką Anginą a Fizią: Angina też nie ma ojca. Król – o którym ciągle opowiada – istniał albo nie, Angina jest bowiem wytrawną kłamczuchą. Poszukuje mitycznego ojca, który przysłał jej listy pełne surrealistycznych rad, mogących przydać się w życiu. Tyle że nie jest pewne, czy ona sama ich nie pisze. Topor mawiał, że pierwsze w życiu kłamstwo to twórcza chwila, kiedy dziecko uświadamia sobie, że za pomocą wyobraźni może zmieniać świat.

A Pani pierwsze kłamstwo?

Chyba nigdy nie kłamałam. Byłam grzeczną dziewczynką, niestety. Postaram się to wkrótce nadrobić jako starszka.

W Pani pokoju wisi przedwojenne zdjęcie aktorki Zofii Grabowskiej – chciałoby się powiedzieć: profesjonalnie zajmującej się kłamstwem.

Bo była aktorką? Ciocia Zosia była siostrą mojej babki, Marii Popowskiej, tłumaczki literatury rosyjskiej. I jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie znałam. Była też typową przedstawicielką mojej rodziny, która zwykle wybiera niewygodne życiowe postawy. Zaczęła występować w latach 20., za okupacji – jak wiele niekolaborujących gwiazd – kelnerowała →

→ w kawiarni U Aktorek. Tuż po wojnie zagrała Rachelę w „Weselu” w Teatrze Rozmaitości, pierwszym teatrze otwartym w prawobrzeżnej Warszawie. Widziałam ją w końcu lat 60. w „Damach i huze-rach”. Za PRL-u, nie mając z religią wiele wspólnego, nosiła na szyi krzyżyk, który przysparzał jej sporo kłopotów. Wiele lat później, w sierpniu 1990 r., ksiądz zabronił, żeby na jej pogrzebie na Starych Powązkach przyjaciel muzyk zagrał na skrzypcach. Taka kara za jej wieloletnie życie bez ślubu z największą miłością.

Należała do dawnej szkoły aktorstwa i mówiła dźwięczne „i”. Przez co weszła w konflikt z Adamem Hanuszkiewiczem, któremu bezskutecznie tłumaczyła, że nie może mówić „ulica główna” zamiast „główna”. Aktorstwo było dla niej najważniejsze, ale przez bezkompromisowość dosyć wcześnie przestała grać.

Istotną częścią mojego dzieciństwa i młodości były wizyty na Chmielnej, gdzie na czwartym piętrze oficyny Zosia mieszkała z Konstantym Wojciechowskim, w skrócie Kotem. Paliło się tam w piecach węglem noszonym z piwnicy; wtedy nikt jeszcze nie zauważał smogu. W oknach wisiały zaciemnienia pozostałe z wojennych nalotów, bardzo zresztą praktyczne, bo Koty w nocy oglądały telewizję, a w dzień spały. Ciocia Zosia miała w swoim długim życiu więcej niż jednego męża i nie zwracała sobie głowy konwencjami. Marcin już wtedy robił filmy dokumentalne i próbował nagrać z nią rozmowę o przedwojennym teatrze. Nie chciała jednak o tym słyszeć. Jak Greta Garbo, strzegła swojej starości. Niesłusznie, bo była piękna do końca, kiedy urodą poruszyła pracownika firmy pogrzebowej.

O czym była Pani ważna z nią rozmowa?

Kiedyś opowiedziała mi o kłótni z mężem czy narzeczonym, podczas której on wyrzucał przez okno serwis. Ona zaś z kamiennym spokojem czekała, aż na chodniku rozbije się ostatni talerzyk.

Czyli dostała Pani lekcję, jak nie poddawać się szantażowi.

Kiedy w wieku 24 lat wpadłam na pomysł ślubu, mama się martwiła, że ponieważ będzie żałować. Szczęśliwie Zosia ją uspokoiła: „Najwyżej się rozwiodą!”. Taka filozofia wyróżniała ją na tle tamtego pokolenia.

Jaką filozofię miała Pani mama?

To jest dopiero buntownicza o żelaznych zasadach! Swoje życie zaczęła opisywać, kiedy po raz pierwszy wyjechałam do Stanów w 1988 r. i nie było wiadomo, jak się dalej wszystko potoczy. Mama uznała, że już się pewnie więcej nie zobaczymy i lepiej spisać dla mnie dzieje rodziny. Koniec końców powstała spora książka, która pod tytułem „Zapisywane z doskoku” ukaże się w najbliższych miesiącach. Urodzona w 1930 r. Hanna Taborska odznacza się świetną pamięcią. Zawsze żyła w sposób całkowicie wierny sobie. Ma nie tylko wszelkie możliwe językoznawcze honory naukowe, ale też tytuł Sprawiedliwej Wśród Narodów Świata. W warszawskim mieszkaniu dziadków ukrywało się wielu zaprzyjaźnionych Żydów, m.in. ocalona z getta przez działającego w Żegocie dziadka szkolna koleżanka mamy.

A ta filozofia mamy?

Rebeliancka. Na studiach żadne komunistyczne organizacje, żadne pochody pierwszomajowe, potem żadnych partyjnych znajomych, zaangażowanie w Solidarność i konspirację, zero związków z Kościołem. Krótko mówiąc, niewygodne wybory. Jedno z moich traumatycznych wspomnień dzieciństwa dotyczy jazd autobusami, gdy mama do mnie, kilkulatki, wygłaszała głośne krytyki ustroju. Prawdziwi adresaci tych monologów udawali głuchych.

W rodzinie babki też były same rebelle. Prababka Stefania Bobakowska wyszła za męża za Juliana Grabowskiego, pseudonim „Żul”, lekarza i konspiratora, współzałożyciela PPS-u, który – przed dziesięcioletnią zsyłką w Ust-Sysolsku – przesiedział trzy lata w warszawskiej Cytadeli. Z jego procesem wiąże się historia z prababką w roli głównej. Do ich mieszkania wpadł agent i znalazł walizę pełną bibuły. Na pytanie „Sztó eto takoję?”, Stefania odpowiedziała: „A skąd mam wiedzieć? Przecież pan to przyniósł!”. Trzymała się tej wersji do końca śledztwa, co jakoby złągodziło wyrok.

Pojechała z mężem na zesłanie. Stąd jej córka, a moja babka, świetnie знаła rosyjski i tłumaczyła potem Erenburga czy Bunina. Opowieść rodzinna głosi, że prababka w młodości nie nosiła gorsetu. W jej czasach była to decyzja, przy której minispódniczki z lat 60. to pikus.

W Pani też jest taka dzielność?

Mniej miałam okazji, żeby się przekonać. Ale że świat zmierza, dokąd zmierza, więc okazje mogą się zdarzyć. Na razie, zajmując się surrealistkami, sporo o kobiecej rebelii pisałam. Przystępując do ruchu w latach 30. zeszłego wieku, młodziutkie kobiety musiały buntować się dwukrotnie. Wpierw wobec konserwatywnych rodzin, oburzonych ich związkami z bohemą. A potem wobec teje bohemy, czyli starszych artystów, kochanków, mężów, „mistrzów”, widzjących w surrealistkach muzy i kobiety-dzieci. Chcąc wybić się na niezależność, trzeba było i te role odrzucić.

Zrobiła to m.in. jedna z najciekawszych postaci epoki, pisarka i malarka Leonora Carrington. Nawet André Breton docenił jej oryginalność, zamieszczając w „Antologii czarnego humoru” opowiadanie „Debiutantka”. Napisane zostało w odpowiedzi na to, że hołdująca tradycji rodzina wysłała Leonorę na bal debutantek wydany przez brytyjski dwór. Główna bohaterka wysłała w swoim zastępstwie zaprzyjaźnioną hienę „przebraną” w twarz pożartej pokojówki. A że goście zajęci są odgrywaniem rytuałów *savoir-vivre*’u, więc niczego nie spostrzegają. Znalazszy się podczas wojny w Meksyku, Carrington została tam do końca życia. Zmarła w 2011 r., szczęśliwie udało mi się jeszcze ją poznać.

I jakie wrażenia?

Od progu zapowiedziała, że nie będzie siła się na uprzejmość, bo zbyt wiele czasu na to straciła. Co za lekcja dla dobrze wychowanych dziewczynek – pomyślałam. I że nie będziemy mówić o surrealizmie, bo ma dość pytań typu „jak to było być kochanką Ernsta”. Podczas dwóch dni jednak rozmawialiśmy o surrealizmie. Szybko przekonałam się, ile humoru i mądrości przekazała 92-letniej bohaterce „Trąbki do słuchania”. To kolejna buntownicza, niedosłyszająca, odesłana przez antypatyczną rodzinę do domu dla starszych pań, ale zdolna odnaleźć Graala i spowodować metamorfozę świata.

A humor Carrington?

Taki przykład: w prezencie podarowałam jej talizman kupiony na targu Senora. Opisywany w przewodnikach jako miejsce „niebezpieczne”, ten targ oferuje przedmioty magiczne, zioła i talizmany właśnie. Carrington – której sztuka pęka

od magii – nie wykazała jednak entuzjazmu. Na pytanie, czy talizmany działają, odpowiedziała, że są jak meksykańska telefonka: czasem działają, czasem nie.

Całkowicie rozbija.

Jednocześnie nasze rozmowy uświadomiły mi, jak bardzo jej życie było naznaczone ucieczkami. Wpierw z domu ojca-tyrana do Francji, gdzie zamieszkała z żonatym Maxem Ernstem. Na początku wojny, po zaarrestowaniu Ernsta, ucieczka do Hiszpanii, gdzie trafiła do zakładu dla psychicznie chorych. W Lizbonie – spod skrzydeł przysłanej przez rodzinę niani, która miała odwiedzić ją do kolejnej kliniki w Afryce Południowej. Wreszcie z Lizbony do gościnnego dla wojennych uchodźców Meksyku. Tam od razu poczuła się jak u siebie. Ale na wypadek, gdyby trzeba było znowu uciekać, zawsze miała przy sobie brytyjski paszport.

Te wszystkie kobiety i pamiątki po nich widoczne w Pani domu są dla Pani punktem odniesienia?

Kobiety na pewno, rzeczy w jakimś stopniu. Towarzyszą mi tylko z doskoku, bo przez 30 lat znaczna część mojego życia toczyła się daleko stąd, w całkiem innych wnętrzach. „Człowiek...” opowiada o mieszkaniu pod dwoma adresami.

Życie w rozjazdach nie jest uciążliwe?

Jest i nie jest. Pozwala spojrzeć z dystansem na oba miejsca. Lubię amerykańską zdolność tworzenia siebie na nowo. Brak mi tego w Europie, choć sama pewnie nie miałabym odwagi zacząć od zera.

A Pani rebelia?

Dyskretna. Przede wszystkim wyjazd z Polski, co dla mojej patriotycznej rodziny było czymś trudnym do pojęcia. Nie tylko zresztą wyjazd, ale i osiągnięcie gdzie indziej szczęścia. Tyle że nie doprowadziłam rebelii do końca. Teraz więcej czasu spędzam tutaj.

W ogóle pandemia trzyma nas wszystkich pod kluczem.

A ja napisałam wtedy „Człowieka, który czeka. Pandemii na mansardzie”. Miałam urlop naukowy: czas na podglądanie sąsiadów i wron w gnieździe. Tak jak Georges Perec w „Człowieku, który śpi” robiłam listy: teorii spiskowych, skąd

Jedno z moich
traumatycznych wspomnień
z dzieciństwa dotyczy
jazd autobusami, gdy
mama do mnie, kilkulatki,
**wygłaszała głośne krytyki
komunistycznego ustroju.**
Prawdziwi adresaci
tych monologów
udawali głuchych.

ta pandemia, pierwszych trafionych zawodów, tego, czego brakuje nam najbardziej... Na tej ostatniej znalazły się brak możliwości wyjazdu, obejrzenia filmu w kinie czy zjedzenia czegoś w restauracji.

„Anioła zagłady” Luisa Buñuela, nakręconego w latach 60., można dziś uznać za alegorię pandemii: grupa znajomych spotyka się na kolacji, a gdy przyjęcie dobiega końca, z niewyjaśnionych powodów goście nie są w stanie opuścić domu.

Widzę więcej związków z Buñuelem, który jest jednym z najbliższych mi reżyserów. W „Człowieku...” wspominał „Dyskretny urok burżuazji”, opowieść o pretensjonalnych mieszczańcach, którzy starają się zjeść wspólny posiłek, lecz za każdym razem coś im staje na przeszkodzie, od śmierci właściciela restauracji począwszy, na ataku terrorystycznym skończywszy. Absurdalny rytuał trwa jednak nieprzerwanie: te same osoby spotykają się kolejnego dnia, siadają na tych samych miejscach, wymieniają te same grzecznościowe formułki. Po którymś tam razie widzowie rozumieją, że zamiast zjeść obiad czy kolację, niedoszli biesiadnicy znowu przeprowadzą sztampową konwersację. Nasze rozmowy na początku pandemii były podobnie powtarzalne. Zaplątani w sytuację chwilowo bez wyjścia, zadawaliśmy sobie pytania, kiedy to się skończy; jakie maseczki są skuteczniejsze; czy i kiedy będzie szczepionka. Wyznawcy teorii spiskowych mieli tematów więcej. Żyliśmy poza czasem.

Pani napisze bajkę o pandemii?

Chyba nie. Taki pomysł nie gra mi w duszy, a nigdy nie pisałam na zamówienie.

A „Czarna Góra”?

Racja, ta książka powstała na zamówienie, ale miałam przy jej pisaniu całkowitą swobodę. Zresztą może być ona odczytana jako opowieść o pandemii właśnie albo o wojnie, katastrofie ekologicznej, każdym traumatycznym doświadczeniu. Zamówiły ją u Józefa Wilkonka władze prowincji Unzen w Japonii, kiedy piękną tę krainę 20 lat temu zniszczył wybuch wulkanu. Przed katastrofą tamtejszy Park Narodowy był atrakcją turystyczną. Brak przyjezdnych okazał się drugą katastrofą. Władze wpadły więc na pomysł poproszenia bardzo cenionego w Japonii Wilkonka, by wybrał pisarza czy pisarkę, który czy która napisze odwołującą się do tego zdarzenia książkę dla dzieci. Z happy endem oczywiście. Wilkoń miał książkę zilustrować. Wybrał mnie i tak powstała historia o zwierzętach mieszkających na ukochanej przez nich Czarnej Górze, która pewnego dnia wypływa masy gorącej lawy. Zwierzęta uciekają, po czym – nie mogąc żyć bez Góry – wracają śladem optymistycznego błękitnego ptaka. Wkrótce, zważeni sławą niezwykłego miejsca, przybierają podróżnicy. To streszczenie brzmi bardziej dydaktycznie niż książka. Rzecz jasna, czytelnicy polscy odczytują ją jako ogólniejszą alegorię.

Powiódt się plan władz prowincji Unzen?

Nie mam pojęcia. Dziecięca literatura ma dużo katastroficznych metafor. Moją ulubioną postacią jest Filifionka z „Opowiadań z Doliny Muminków”. Całe życie czeka na apokalipsę, cierpi, że nikt jej napięcia nie rozumie, a kiedy przychodzi trąba powietrzna i porywa jej dom z bardzo cenionymi przez inne Filifionki bibelotami, jest niemal szczęśliwa. Czy przynajmniej uspokojona, że to, co musiało nadejść, wreszcie nadeszło. Po czym – uwolniona od rzeczy i strachu przed katastrofą – śmieje się z płaczącej nad jej „tragedią” Gapsy.

A Pani?

Jak każda Filifionka, dopiero czekam na hekatombę.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA



ANNA ZAGÓDZKA / CC BY-SA

Instalacja Joanny Rajkowskiej „Rhizopolis” w Zachęcie

Dzień po końcu świata

PIOTR KOSIEWSKI

Joanna Rajkowska zajmuje się miejscami, gdzie została zakodowana pamięć, której nie dostrzegamy lub wypieramy. Stara się ten brak przekuć w namacalną obecność.

WSALI PANUJE PÓŁMROK. DOPIERO po chwili można dostrzec, że większość pomieszczenia zajmują korzenie drzew – są bezpośrednio nad głowami zwiedzających, a podłoga została wysypana ziemią. Wszystko jest tu fizycznie namacalne: skrzypiące pod butami podłoże, unoszący się zapach. Bez problemu można dotknąć korzeni. Znaleźliśmy się w świecie bez słońca, widoku nieba, wiatru.

Warszawska Zachęta pokazuje najnowszą pracę Joanny Rajkowskiej „Rhizopolis”. Artystka zaprosiła widzów do świata po katastrofie klimatycznej. Do rzeczywistości, która – co uświadamia pandemia COVID-19 – staje się coraz bardziej realna.

Wkraczając w miejską przestrzeń

W 2002 r. w samym centrum Warszawy, na skrzyżowaniu Alej Jerozolimskich

z Nowym Światem, Rajkowska ustawiła sztuczną palmę. Jej widok zaskakiwał, budził zdumienie. W innym miejscu ta palma nie zostałaby nawet zauważona – przestrzeń ówczesnych miast była nieustannie zawłaszczana przez reklamy, czasami przedziwne. Jednak stanęła w jednym z najbardziej prestiżowych miejsc w stolicy.

Sztuczność plastikowego drzewa połączona z tytułem pracy – „Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich” – sprawiły, że dzieło Rajkowskiej mogło się kojarzyć z popularnymi, sztamowymi kartkami pocztowymi wysyłanymi z jakiegoś odległego kraju. Narzucało się pytanie: po co ją ustawiono? Palma nie pełniła przecież żadnej użytkowej funkcji. Niczego nie reklamowała, do niczego nie zachęcała. Była tylko sztucznym drzewem ustawionym w środku wielkiego miasta. Owszem, w zamierzeniu artystki przywo-

ływała dawno wypartą pamięć o XVIII-wiecznej żydowskiej osadzie, do której prowadziła ta droga. Ale bezinteresowność pracy budziła niepokój, skłaniała do stawiania pytań.

Szybko też inni zaczęli palmie przypisywać własne znaczenia. Za swoją uznały ją pielęgniarki strajkujące przed siedzibą premiera w 2007 r. W 2011 r. zawieszono na niej kefiję – przypominając o konflikcie palestyńsko-izraelskim. W kolejnym roku wykorzystali ją anarchiści, protestując przeciw skrajnej komercjalizacji mistrzostw świata w piłce nożnej. Palma przenosiła się w centrum wydarzeń, tego, co tu i teraz.

Pięć lat później w Warszawie, na placu Grzybowskim, przy jednym z najważniejszych stołecznych kościołów, Wszystkich Świętych, przy synagodze i ostatnich pozostałościach zabudowy warszawskiego getta, ale też nowoczesnych biurach i PRL-owskich blokach artystka stworzyła sztuczny staw. W przestrzeni naznaczonej przeszłością, także trudną – to przy tym kościele działała antysemicka księgarnia Antyk – a jednocześnie pozbawionej tożsamości „Dotleniacz”, jak staw nazwała artystka, stał się miejscem ważnym dla okolicznych mieszkańców. Uznali go za swój: tu spotykali się i odpoczywali. A potem wystąpili – nieskutecznie niestety – w obronie pracy artystki, gdy

władze miasta postanowiły po swojemu zrewitalizować plac.

Zaufanie, nieufność

„Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich” i „Dotleniacz” przestały być traktowane jako projekt autorski. Zostały przejęte, uznane za własność społeczną. Sama Rajkowska podkreślała: „Wiedziałam, że wchodząc w przestrzeń publiczną będę miała do czynienia z bogactwem kontekstów, milionem narracji, konfliktów, wizji. Próba wprowadzenia w to bogactwo jeszcze jednego wątku, jeszcze jednego znaczenia to działanie skazane na porażkę. Jedyne, co mogłam zrobić, to zaproponować pewną ramę, wewnątrz której ludzie sami usytuowaliby własne narracje”.

Podobnie oswojone zostało „Pisklę” – rzeźba ustawiona w 2019 r. w londyńskim Regents Park. To wielkie jajo ptaka, kosa, o niebieskawym kolorze skorupy. Praca emituje dźwięki wykluwającego się pisklęcia. Można usłyszeć początki nowego, bezbronego życia: bicie serca, ćwierkanie, wreszcie uderzenie dziobem w skorupę. A cała powierzchnia rzeźby wibruje, co dodatkowo podkreśla jej delikatność. „Pisklę” przypomina o kruchości istnienia, ale też o obecności innych: ptaków, które mieszkają z nami w miastach, o czym często zapominamy.

Nie wszystkie projekty w przestrzeni publicznej udało się artystce zrealizować. Taki los spotkał projekt „Wulkan Umeå”, czyli budowę w szwedzkim miasteczku w 2006 r. 15-metrowego stożkowego wzniesienia. Ta dominująca w krajobrazie konstrukcja miała stać się miejscem lokalnych spotkań, przełamywania izolacji i budowania wspólnoty. Została jednak odrzucona przez mieszkańców. Projekt wywołał konflikt, ujawnił lęki i obawy.

Nie udał się również projekt przygotowany dla Poznania. Rajkowska chciała w przestrzeń miasta wprowadzić element dobrze znany z Bliskiego Wschodu, ale tu nieobecny, chociaż społeczność muzułmańska żyje w tym mieście – nadać nieczynnemu już kominowi dawnej fabryki papieru kształt minaretu. Zamyśl wywołał ostre spory. „Minaret” pokazał, jak trudno uzyskać zgodę na obecność w przestrzeni publicznej mniejszości, zwłaszcza tak odmienną.

Pod znakiem zapytania stała wreszcie realizacja nowego pomysłu – kolejne „Pisklę”, tym razem wielkie jajo szpaka, błę-

kitne, w czarno-purpurowe plamki, które ma się znaleźć na tzw. placu pięciu rogów w Warszawie, czyli u zbiegu ulic Chmielnej, Szpitalnej i Brackiej (obecnie jest tam wytyczany plac). Ostatecznie wojewódzki konserwator wyraził zgodę na ustawienie tam rzeźby Joanny Rajkowskiej.

Spotkania

Joanna Rajkowska podkreśla, że zajmuje się miejscami, gdzie została zakodowana pamięć, której nie dostrzegamy lub wypieramy. Artystka stara się ten brak przejąć w obecność. Powstają prace-powidoki, w których pamięć uruchamia „obraz, nakładając nań marzenia o czymś, co mogłoby się wydarzyć, klisze innych obrazów i sytuacji”.

„Pozdrowienia z Alej Jerozolimskich” czy „Dotleniacz” zaważyły na odbiorze publicznym artystki. Jednak jej twórczość jest znacznie bardziej różnorodna. Warto pamiętać chociażby o pracach z lat 90. dotyczących problematyki ciała. Jest też autorką bardzo osobistych, wręcz intymnych dzieł, jak „Urodzona w Berlinie” z 2012 r. – filmu o powolnym wrastaniu w miasto, w którym zamieszkała. O ciąży z towarzyszącą jej radością, ale też niepewnością, wreszcie o narodzinach dziecka. Chwili szczęścia i dramatu – u małej Rosy zdiagnozowano nowotwór oczu. Wreszcie walki – jej, artystki, ale też emigrantki – o leczenie córki w stolicy Niemiec.

Dwa lata później powstała inna praca wideo „Mój ojciec nigdy mnie tak nie dotykał” – dotycząca relacji rodzinnych. Jak podkreśla Joanna Rajkowska, w pewnym momencie sobie uzmysłowiła, że nie zna dotyku własnego ojca, jego rąk, temperatury ciała. I nie będzie mogła o nich wspominać, gdy kiedyś ojca zabraknie. Zorganizowała zatem spotkanie, na którym powoli, cierpliwie się dotykają. Niczym osoby niewidome artystka i jej ojciec za pomocą rąk poznali swoje ciała, rysy twarzy, napięcia mięśni, sprężystość skóry. Po latach wrócili do sytuacji, która powinna zaistnieć w dzieciństwie.

Przed końcem

Rajkowska od dawna zwraca uwagę na problemy klimatyczne. W 2017 r. przed Teatrem Powszechnym w Warszawie ustawiła instalację „Ja do waszego nieba nie wejść”. Z korzeni wyciętych drzew powstał monumentalny mur-barykada. Praca była odpowiedzią na tzw. *lex Szyszko* – protestem, ale też przypo-

minała o skali zniszczeń i bezsilności wobec działań rządzących. Zwracała uwagę na działania, które przybliżają nas do katastrofy ekologicznej.

Instalacja „Rhizopolis” w Zachęcie pokazuje rzeczywistość, w której ona się już dokonała. Artystka stworzyła krainę znajdującą się pod lasem. Przestrzeń pozwalającą na egzystencję po upadku świata, który znamy. Miejsce schronienia dla ocalałych. Ten podziemny świat wymusza też koegzystencję z innymi jego gospodarzami, przede wszystkim z drzewami, pod korzeniami których przyszło ludziom żyć. Tu nie ma miejsca na ludzką dominację, a nasza sprawczość i siła zostały podważone przez katastrofę, której byliśmy sprawcami.

„Bo »Rhizopolis« to katastrofa nie tyle człowieka, co katastrofa ekosystemów” – podkreśla Rajkowska w wywiadzie dla portalu Onet.pl. Jeśli powierzchnia Ziemi „niezdolna będzie do utrzymania nas przy życiu, to oznacza, że miliardy gatunków zostaną skazane na zagładę. Klęska na skalę globalną”. I dodaje: „Niewyobrażalna różnorodność życia przestanie istnieć. A nie jedynie *homo sapiens*. Więc nie o przyszłość człowieka tu chodzi. Nasza empatia jednak jest na tyle monogatkowa, że jeśli nie poruszymy tematu naszej własnej nędzy, to nic się w nas nie wydarzy”.

„Rhizopolis” jest scenografią zbudowaną do futurystycznego filmu. Niezmiernie realistyczną. Odczuwamy ją wszystkimi zmysłami: od wzroku, który powoli musi przyzwyczajać się do przebywania w półmroku, poprzez dotyk czy słuch. Węch wreszcie: zapach drzew, ziemi.

W tej przestrzeni brakuje tylko aktorów. Okazują się zbędni. W rolę mieszkańców nowego świata wcielają się – nieświadomie – odwiedzający wystawę. W kolejnym pomieszczeniu wyświetlany jest obraz z kamer ukrytych między korzeniami drzew. Nie odtwarza obrazu w czasie rzeczywistym, lecz z pewnym opóźnieniem. Jeżeli ktoś dłużej będzie oglądał ten pokaz, to zobaczy własną postać. Siebie jako mieszkańca Rhizopolis, podziemnego świata stworzonego po końcu świata, jaki znamy.

© PIOTR KOSIEWSKI

Joanna Rajkowska, **RHIZOPOLIS**, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki w Warszawie, ekspozycja czynna do 8 sierpnia br., kuratorka: Aneta Szyłak

Horror nieczystego sumienia

JAKUB MAJMUREK

Ważniejszy od pytań „kto zabił?” i „czy to były duchy?” jest w serialu „Nadciąga noc” problem tego, jak daleko możemy się posunąć, by uciec od konfrontacji ze złem, które popełniliśmy.

NOC, DESZCZ, MROK, KTOŚ DZWONI DO drzwi schludnego domku za miastem. Otwiera młody mężczyzna: za drzwiami stoi zgarbiony, starszy od niego człowiek z długimi, niechlujnymi włosami, można by go wziąć za bezdomnego. „Co tu robisz, nie możesz tu przychodzić” – mówi właściciel domu. „Rozkopują las” – odpowiada tamten, co wyraźnie porusza jego rozmówcę. Tak zawiązuje się akcja w miniseriale „Nadciąga noc”. W następnych odcinkach, gęsto przetykanych retrospekcjami, dowiemy się, co kryje się w lesie i jaki sekret łączy obu mężczyzn.

Serial jest adaptacją powieści Brytyjczyka Neila Crossa. Cross sam napisał scenariusz wszystkich odcinków – bardziej niż jako pisarz znany jest jako scenarzysta i serialowy *showrunner*. Ostatnio mocno zajęty. Oprócz „Nadciąga noc” (dostępne na platformie VOD Canal+) niedawno premierę miała jego serialowa adaptacja „Wybrzeża moskitów” (dostępna na Apple Tv), książki Paula Theroux o szalonym wynalazcy, który ucieka od pustki i konsumpcjonizmu Stanów na półdzikim wybrzeżu Hondurasu. Wcześniej zekranizował ją Peter Weir w 1986 r.

Melodramat, makabra

Najważniejszym serialem Crossa, który wyrobił mu markę jako twórcy telewizyjnemu, zapewnił rzesze fanów i wrogów, jest policyjny serial „Luther”. Na przestrzeni prawie dziesięciu lat (2010-19) powstało w sumie 21 odcinków, pięć krótkich sezonów – całość można zobaczyć w Polsce na HBO Go.

„Luther” skupia w stężonych dawkach wszystko to, co jednych w twórczości Crossa zachwyca, innych odstręcza: mroczny, przytłaczający nastrój,

zamiłowanie do melodramatycznej przesady, teatralnej, czasem wręcz groteskowej makabry, wreszcie głębokiej moralnej ambiwalencji. Tytułowym bohaterem serii jest czarnoskóry detektyw londyńskiej policji, John Luther. Pracuje nad szczególnie trudnymi przypadkami, ściga psychopatycznych morderców, sprawców wyjątkowo okrutnych zbrodni.

Zbrodniarze na celowniku Luthera traktują mord jak dzieło sztuki, jak scenę, na której inscenizują swój teatr ciała i okrucieństwa. Zbrodnia jest w „Lutherze” zagadką domagającą się interpretacji i odczytania, tak jak czyta się ukryte w dziele sztuki sensy i treści. Praca detektywa jest dla głównego bohatera sztuką interpretacji: frustrującą, ciągle napotykającą opór, wymagającą całkowitego poświęcenia się, wręcz obsesyjnego podejścia do przedmiotu „lektury”. W jednym z odcinków Luther mówi, że jako młody chłopak interesował się literaturą, cały czas widzimy go otoczonego książkami, być może gdyby nie odczytywał wskazówek zapisanych w zmasakrowanych ciałach, byłby dobrym krytykiem lub redaktorem.

Każdy sezon przynosi coraz bardziej dramatyczne zbrodnie i stojące za nimi mroczne postaci. Bliźniaków rywalizujących ze sobą o to, kto zrani lub zabije więcej osób w miejscach publicznych. Zaburzonego byłego wojskowego, który zmanipulowany przez ojca morduje policjantów, by wymusić redukcję wyroku dla swojego rodzica. Okultystę co dekadę porywającego młodą matkę, by użyć jej krwi do swoich rytuałów.

Poruszamy się w mrocznej, upadłej rzeczywistości. Londyn z serialu jest pełen przemocy, brudnych, sypiących się,



porzuconych przestrzeni: rozpadających się bloków komunalnych, opuszczonych fabryk, pustych magazynów, niszczących nadbrzeży. Odkąd ostatecznie rozpada się jego małżeństwo, Luther mieszka w kolejnych mieszkaniach wyglądających jak pustostany przeznaczone do rozbiórki – nie wiadomo, czy żyjąc w ten sposób zadaje sobie jakiś rodzaj pokuty, czy po prostu policjanta w Londynie nie stać na wynajęcie niczego lepszego.

Jak często narzekali krytycy „Luthera”, zbrodnia jest w serialu tak komiksowo przesadzona, że trudno ją traktować poważnie, a fabuły grzeszą melodramatyczną przesadą. Te same zarzuty pojawiają się przy okazji „Wybrzeża moskitów” – Cross zapełnił świat powieści Theroux galerią postaci jakby wziętą z serialu „Narcos”, przefiltrowanego przez mrok pierwszego sezonu „True Detective” i barokową wyobraźnię godną najbardziej ekscentrycznych twórców spaghetti westernu.

Dla widzów kupujących estetykę autora „Luthera” podobne zarzuty wynikają z niezrozumienia konwencji. Teatralna przesada, skłonność do melodra-



Bertie Carvel w serialu
„Nadciągaj noc”

obronić się w sali sądowej. Relacja między nim i Alice szybko wykracza poza formułę „policjant i ścigana przez niego podejrzana”. Alice wchodzi głęboko w życie Johna, staje się jego stalkerką, z czasem zaczyna ich łączyć głęboka, pełna napięć emocjonalna relacja. Kobieta działa jako ktoś w rodzaju mrocznego „anioła stróża” Luthera, usuwa kolejne zagrożenia i przeszkody stojące na drodze policjanta, korzystając ze swojej wybitnej inteligencji, talentu do zbrodni oraz luksusu działania poza wszelkimi granicami prawa. Czasem zastanawiamy się nawet, czy Alice Morgan naprawdę istnieje, czy nie jest uosobieniem mrocznej strony osobowości głównego bohatera, jego przemocowych czy wręcz morderczych instynktów.

Luther ma bowiem skłonność do działania poza granicami prawa, porusza się nieustannie w sferze etycznej ambiwalencji. Z każdym kolejnym odcinkiem przesuwają się coraz dalej poza granicę prawa. Traci żonę, rozpadają się jego związki i wszystkie relacje, które łączyłyby go z „normalnym życiem”, z czymś innym niż obsesyjna, psychicznie wyniszczająca praca. Chce pomóc ludziom znajdującym się w beznadziejnej sytuacji – jakiegokolwiek jednak byłyby jego motywacje, zmierzają wprost ku miejscu, z którego coraz trudniej wyobrazić sobie powrót do normalnego życia po jasnej stronie prawa.

Tej transformacji nie udało się pokazać na ekranie, gdyby nie fenomenalna rola Idrisa Elby. Elba miał wcześniej na koncie świetną rolę Stringera Bella w „Prawie ulicy” – gangstera z Baltimore czytającego Adama Smitha i marzącego o przekształceniu się w poważanego człowieka biznesu – ale dopiero rola Luthera zrobiła z niego gwiazdę, przymierzaną czasami nawet do roli Jamesa Bonda. Elba nadaje postaci policjanta koniecznego ciężaru, charyzmy, gwiazdorskiego magnetyzmu. Wydobywa na ekranie wszystkie jego paradoksy: błyskotliwą inteligencję, skłonność do obsesyjnego pracoholizmu, gotowość do łamania reguł w imię większego dobra, postawę jedynego szlachetnego romantyka w przegniłym, cynicznym świecie, równie jak do szlachetności zdolnego do przemocy,

destrukcyjnych i autodestrukcyjnych zachowań.

Komiksowy złoczyńca

W „Nadciągaj noc” Cross jest blisko klimatów „Luthera”. Serial pokazuje bohatera, który jak we śnie, sam nie do końca świadomy tego, co właściwie robi, przekracza kolejne etyczne granice. Nie zdradzę tu niczego, czego nie dowiedzieliby się państwo z trailera i pierwszych minut serialu, gdy napiszę, że tym, co łączy dwójkę mężczyzn ze wspomnianej na początku sceny, jest zakopane w lesie ciało młodej kobiety. Dopiero w połowie serii dowiadujemy się, jak wyglądały okoliczności tragedii i kto ponosi za nią winę. Od początku wiemy natomiast, że Nathan, mężczyzna mieszkający w domu, do którego drzwi puka stary znajomy, Bob, poślubił siostrę pochowanej w lesie dziewczyny. Ich wspólny dom pełen jest zdjęć ofiary, wygląda jak wystawione zmarłej sanktuarium, ciągły wyrzut sumienia Nathana.

„Luther” sprawdzał się jako gatunkowa hybryda: łączył w sobie klasyczny policyjny dramat proceduralny (zbrodnia jako intelektualna zagadka do rozwiązania) z „brudnym”, realistycznym kinem gangsterskim, a nawet elementami horroru, wprowadzanymi przez najbardziej przerażających zbrodniarzy, których ścigał tytułowy bohater. Podobną hybrydą jest „Nadciągaj noc”.

Serial rozwija się według reguł kryminału, podstawowe pytanie brzmi, „kto właściwie zabił?”, co stało się feralnej nocy, która tak głęboko naznaczyła Boba i Nathana? Ta zagadka podszyta jest motywami z zupełnie innej konwencji: gotyckiego horroru. Wielokrotnie zastanawiamy się, czy właśnie nie weszliśmy w rejon opowieści o duchach, nawiedzeniach, zmarłych zza grobu domagających się sprawiedliwości, której odmówiono im za życia. Nawet po obejrzeniu wszystkich odcinków wciąż zadajemy sobie pytanie, czy nadprzyrodzone siły były, czy nie były tu czynne.

Zarówno kryminalna zagadka, jak i gotycki horror budują główny wątek: psychologiczny dramat nieczystego sumienia, w jaki uwikłani są Bob i Nathan. Ważniejszy od pytań „kto zabił?” i „czy to duchy?” jest w „Nadciągaj noc” problem tego, jak daleko gotowi jesteśmy się posunąć, by zagłuszyć wyrzuty własnego sumienia, jak uciec przed konfrontacją

matycznych efektów oraz gra z jawnie pulpowymi motywami i schematami narracyjnymi stanowią istotę produkcji Crossa, główne źródło przyjemności, jakie wywołują. Seriale takie jak „Luther” są prawdziwie właśnie w swojej przesadzie, pokazują w wykrzywionym zwierciadle makabreski obraz szalonego świata, który „wypadł z formy”, w ten czy inny sposób doświadczanego przez nas wszystkich.

Droga w mrok

Cross ma też wielki talent do pisania postaci, które nawet jeśli bywają komiksowo przesadzone, to bronią się na ekranie. Doskonałym przykładem jest Alice Morgan (chyba najlepsza rola w karierze Ruth Wilson) z „Luthera”: wybitnie inteligentna naukowczyni, która morduje swoich rodziców – najpewniej z nudów, może z braku intelektualnych wyzwań albo z potrzeby stworzenia zbrodni doskonałej, zagadki, której nikt nie będzie w stanie rozwiązać.

Luther prowadzi śledztwo w sprawie śmierci rodziców kobiety, od początku podejrzewa Alice, jednocześnie nie jest w stanie zgromadzić dowodów zdolnych

→ ze złem, które się popełniło, prowadzi do dalszych przekroczeń.

Temat ten z pewnością bliski jest także bohaterowi „Luthera”; Bob wygląda zresztą trochę jak komiksowy złoczyńca z tego serialu. To były naukowiec zajmujący się w swojej pracy nawiedzeniami – ekscentryczne teorie i praktyka badawcza skutkują wyrzuceniem go z uniwersytetu. W centrum dramatu stoi jednak nie on, ale Nathan. Postać będąca przeciwieństwem Johna Luthera: ostentacyjnie niecharyzmatyczna, zwyczajna, szara, z pozoru biernie poddająca się wydarzeniom, niezdolna stanąć w prawdzie wobec samej siebie.

Wcielający się w Nathana, znany z serialu „Rok za rokiem” Russell Tovey tworzy wybitną kreację, zmuszając nas, byśmy przejęli się losem antybohatera bez właściwości, byśmy zrozumieli jego dziwne, pozornie irracjonalne wybory na czele ze związkiem z siostrą kobiety, w której zniknięcie był uwikłany. W kreacji Toveya ta ni-jakość Nathana, jego słabość i bierność pozwalają w pełni wybrzmieć moralnemu dramatowi.

Recenzentka „Guardiana” napisała, że gdyby rola Toveya pojawiła się w bardziej prestiżowej produkcji albo w filmie pełnometrażowym, aktora czekałyby pewnie przynajmniej nominacje do najważniejszych nagród. Tak, czasem można odnieść wrażenie, że „Nadciąga noc” i inne produkcje Crossa jeszcze lepiej wyglądałyby na wielkim ekranie. Komiksowe postaci z „Luthera” byłyby bardziej na miejscu w kinie, a dramat Nathana mógłby jeszcze silniej wybrzmieć skondensowany do formuły kinowego widowiska.

Niedawno ogłoszono, że w planach jest kinowa wersja „Luthera” – nie wiadomo, czy film zacznie się tam, gdzie skończył się ostatni jak dotąd odcinek serialu, czy przedstawi zupełnie inną historię. Z pewnością wielki ekran daje szansę na pełniejsze wykorzystanie potencjału tej postaci i pisarstwa Crossa – pod warunkiem, że machina kinowej produkcji nie wygładzi chropowatości, brudu, surowości, melodramatycznej przesady oraz klimatu moralnej ambiwalencji, które nadają smak jego telewizji.

© JAKUB MAJMUREK

Bliscy oddaleni

ANITA PIOTROWSKA

Nagrodzony Oscarem scenariusz „Ojca” wpuszcza widza w labirynt. Zwodzi i dezorientuje niczym podstępna choroba neurodegeneracyjna.

UWIEŻENIE W MIESZKANIU I BRAK pełnej kontroli nad własnym życiem to doświadczenia bliskie wielu z nas na przestrzeni ostatniego roku. Film „Ojciec” Florianą Zellerą, nakręcony jeszcze w czasach przedcovidowych, pozwala lepiej zrozumieć, czym jest zamknięcie nie tylko w czterech ścianach, ale i we własnej głowie. Precyzyjnie napisany i wyreżyserowany, zagrany z mistrzowską powściągliwością przez Anthony’ego Hopkinsa, przypadek kliniczny zamienia w sytuację egzystencjalną. Przed nami zniekształcony chorobą obraz życia, gdzie alzheimer stał się głównym scenarzystą i reżyserem. Również dla tych, którzy pomagają choremu odnaleźć się jakoś w koszmarnie niepamięci.

Takich filmów było już sporo: „Motyl Still Alice” z Julianne Moore, „Iris” z Judi Dench czy „Daleko od niej” z Julie Christie. Celowo podaję nazwiska aktorek, bo to głównie ich przejmujące kreacje miały być kluczem do wewnętrznego świata, który odkleił się od realnej powłoki. Tak jest i tym razem, choć twórcy „Ojca” zrobili znacznie więcej, byśmy mogli wejść w ten świat o własnych siłach, bez asekuracji. Nagrodzony Oscarem scenariusz Zellerą i Christophera Hamptona, oparty na sztuce napisanej w 2012 r. przez pierwszego z nich, wpuszcza widza w labirynt. Zaburza percepcję, powoduje zakrzywienie czasu i przestrzeni. Na każdym kroku zwodzi i dezorientuje niczym podstępna choroba neurodegeneracyjna.

Weźmy choćby status, topografię i wystroj ukazanych na ekranie londyńskich wnętrz. Anthony ma wrażenie, że mieszka u siebie, podczas gdy od dłuższego czasu przebywa u swojej córki Anne, myśląc rozkłady obu miejsc i błędząc po dobrze znanych kątach. Kamera świetnie oddaje ten stan zagubienia, zamieniając przestronny apartament

w pułapkę bez wyjścia, scenografia zaś w kolejnych odsłonach wprowadza dyskretnie zamieszanie w kadrze.

Wyglądy i tożsamości bliskich osób również nakładają się na siebie i miesza. Córka raz ma twarz Olivii Colman, to znów Olivii Williams, odgrywającej w tej historii jeszcze inną postać. Nowa opiekunka domowa (Imogen Poots) przypomina bohaterowi idealizowaną przezeń młodszą córkę, która zginęła dawno temu w wypadku, choć w świadomości ojca pozostaje żywa. Nielubianego zięcia gra dwóch bardzo odmiennych fizycznie aktorów, czyli Rufus Sewell i Mark Gatiss, pojawiający się pod koniec w nowym wcieleniu.

Widzimy, jak pod wpływem ciągłych lęków i urojeń bohater zatrzaskuje się we własnym świecie. Twierdzi np., że kiedyś był tancerzem, choć pracował jako inżynier, zgubienie zegarka wzbudza u niego obsesyjną podejrzliwość, a pozytywne gesty, jak choćby troska Anne, odbierane są opacznie. Jedyną bezpieczną przystanią dla osamotnionego w chorobie starca zdaje się opera, słuchana przez niego namiętnie. Film rozpoczyna się zresztą słynną „lodową” arią Purcella w wykonaniu Andreasa Scholla, bo przecież o tym, o nieubłagany zamrażaniu się pamięci, jest ta historia.

„Ojciec” czysto filmowymi środkami stara się rozbudzić w widzu głębszy rodzaj empatii. Prócz poznawczego zamętu, jaki ogarnia bohatera, możemy dzielić z nim jego emocjonalne rozchwianie – te wszystkie naprzemienne fazy beznadziei, buntu, rozdrażnienia, agresji. Oraz przebliski samoświadomości, w których Anthony rozpaczliwie chciałby zapanować nad galopującą demencją. Ale Zeller pokazuje, że osamotnienie i rozpacz nie dotyczą wyłącznie bezpośrednio dotkniętego chorobą. Oto na drugim planie rozgrywa



ĆWICZENIA Z ŁUKU

W wykonaniu perfekcyjnym, minimum 50 centymetrów nad ziemią, jak obliczał profesor Jean-Martin Charcot, wygięte ciało zamienia się w natężoną do kresu obręcz, tak kolistą, że pęknięcie zdaje się nieuniknione.

MAREK BIEŃCZYK

ĆWICZENIA KRĘGOSŁUPA W CZASIE PANDEMII SĄ KWESTIĄ fundamentalnej wagi dla kasty online'owych wybrańców, cieszącej się przywilejem samotności kosztem nietykalnych, którzy dalej pracują w tłumie. Spośród ćwiczeń rozciągających najbardziej osobliwa jest figura zwana „mostkiem”. Zapewne dlatego, że na swój sposób najbar-

dziej karkołomna, choć jej stopień trudności nie jest wysoki; martwy robak albo deska, nie mówiąc o pompkach, wymagają większego wysiłku i napięcia mięśni.

Karkołomność mostka jest, by tak rzec, natury bardziej psychicznej: w mostku osiąga się jakąś granicę, która jest mniej może wyzwaniem dla ciała niż dla duszy (czy tego, co



NACHO DOCE / REUTERS / FORUM

w chwili wyginania się w nas myśli), która zaczyna teraz dostrzegać transgresyjne możliwości.

Coś wybuchowego mogłoby się tu zdarzyć. Ale że to przecież niewinna gimnastyka przy dźwiękach znanych przebojów, opada się na dywan bez żadnych ceregieli. Przypominając sobie rzadko używane słowa: „pałak”, „kablak”; gimnastyka jest też lekcją polskiego.

Mobilna depresja

Choć sami z tym mostkiem w domu, to nie jesteśmy jedyni; tradycja jest potężna, już tyle mostków przed nami wykonano! Z dywanu do muzeum: obrazki Auguste'a Rodina, od razu budzi się niepokój. Nagi mężczyzna (grafika) wykonujący radykalny mostek, widziany od przodu, od strony nóg; lecz co jest teraz przodem w tym dziwnym stworzeniu? Wygięty tors zasłania głowę; obnażenie uwidatnia dramatyczność pozycji.

Jeszcze bardziej niepokoją przedstawienia kobiety (akwarele); na jednej z nich ciało bez stóp, jak lalka ze sklejonnych członów, z ledwo zarysowaną głową, widziane z boku i za-



NACHO DOCE / REUTERS / FORUM

Charles Bell „Opisthotonus (Tetanus)”, 1809 r.

Obok: Rzeźba Louise Bourgeois „Arch of Hysteria” na wystawie w Instituto Tomie Ohtake w São Paulo, lipiec 2011 r.

wieszzone w przestrzeni niczym organ w probówce; to już coś więcej niż mostek, to łuk ciała w stanie nieważkości, wypreparowany eksponat. Na innej akwareli z wygiętą sylwetką strumień włosów opada z odchylonej głowy niczym kaskada; mógłby zmieść po drodze wszystko.

Z muzeum do szpitala: mostek jest zaledwie ludycznym wstępem do figury w ten sposób właśnie określanej, „łukiem”. A dokładniej „łukiem hysterycznym”. Tak mówi się o niej w psychiatrii; używa się też terminu *opisthotonos*, a we francuskiej literaturze medycznej skrótu ADC (*arc de cercle*). Rodin rysuje i maluje swoje łuki w chwili, gdy za sprawą profesora Jeana-Martina Charcota (1825-93) i jego oddziału psychiatrycznego w szpitalu La Salpêtrière opowiadanie o histerii staje się wręcz modne, wkracza na salony i do atelier artystów. Łuk, niczym załamana secesyjna linia, odpowiada gustowi czasów.

Najbardziej zastanawia albo i poraża domysł, że to, co byłoby podczas zwykłej gimnastyki niemożliwe, teraz jest przez ciało osiągalne, tak jakby dostało ono dodatkowy impuls energetyczny, dzięki któremu przekracza swoje ograniczenia. Mostek, tak, da się unieść tors całkiem wysoko, lecz nie poruszamy przy tym drzemiącej w nas siły wygięcia; tę uruchomić może tylko dodatkowy impuls. Coś da się przeczuć, lecz trudno uwierzyć, że w wyniku wewnętrznej energetycznej fali możemy stać się wyrzutnią dla siebie samych i wznieść fizycznie jeszcze kilkanaście centymetrów wyżej.

Łuk, pozycja spektakularna, zamienia się w jedną z tych medycznych klisz, do których redukuje się doświadczenie choroby. Dużo już o tym pisano; bibliografia na temat samej La Salpêtrière jest bezkresna. Lecz teraz, gdy psychiatrzy i psychologowie alarmują o tej innej fali covidowej, fali depresji, i gdy zewsząd padają świadectwa o depresyjnym doświadczeniu (właśnie czytam wyznanie Łukasza Orbitowskiego „Groza o świcie” i tekst Renaty Lis „Samotność: serduska z Instagrama”), siła tej figury jako *pars pro toto* sytuacji lękowej nagle wraca. Sytuacji o wiele rozleglejszej, niż się wydaje. Jeśli





Henri Cartier-Bresson „Taniec Barong”, wioska Batubulan, Bali, 1949 r.

→ rozejrzeć się dookoła, podpytać w towarzystwie, łatwo można się przekonać, że mało kto czegoś nie lyka.

Bo przecież histeria to mobilna postać zwycięsko dziś kroczącej depresji. To motoryczne wypowiedzenie skrajnego lęku, rozbicie krypty ciała, w którą zagrzebał nas stupor; zanim nas zgarnie na nowo, zezwala na eksplozję. Albo w innej kolejności: trzeba eksplodować, zanim zejdziemy do krypty. Lęk depresyjny rozdwa się jak język żmii, jedna tasiemka prowadzi do grobowego bezruchu, druga do przesadnej ekspresji.

Dusze odwrócone

Ikonografia covidowa w dużej mierze opiera się na głębokiej perspektywie. Na dwóch planach w każdym razie; pacjent ukryty jest gdzieś dalej, w planie najdalszym, z przodu i z boku albo gdzieś wyżej widać elektroniczny i mechaniczny osprzęt, pikające ekrany, niekiedy sylwetki personelu medycznego w kombinezonach. Rodzaj *mise en abîme*, gdy główny bohater zasłonięty, zamaskowany, opleciony rurkami, czasem w plastikowej osłonie od głowy po pas, zamieniony w mumię, staje się niejako domysłem, widmem zepchniętym w głąb; w widzu budzi się poczucie *horror vacui*. Pacjenci zostali wycofani, unieobecnieni; chorobę poznajemy po fotografiach szpitalnego otoczenia, po sfilimowanych rzędach czekających ambulansów. Eksterytorialnie, beczleśnie niejako, a nie esencjonalnie, po ciele chorego.

Ikonografia depresji i histerii jest blisko choroby; u Charcota niekiedy tak blisko, że zaciera się tło i niekiedy „przepala się” kadr; bezpośrednia ekspresja ataku wypełnia całość ob-

razu. Zestawiam te dwa zjawiska – spektaklu covidowego i spektaklu hysterii/depresji – tylko conceptualnie, dla ponurej zabawy, lecz nie mogę oprzeć się wrażeniu, że są jak naczynia połączone: tak jakby w mieszkaniach wykrzykiwało się milczenie szpitalnych sal, rozjarzała obecność nieobecnych, oddzielonych i schowanych.

Joris-Karl Huysmans w prozie z tamtych lat, wspominając o łuku historycznym, pisał o „duszy odwróconej” czy o „odwróceniu duszy”. To równie dobra definicja transferu doznań lękowych na gesty ciała, jego motorykę, co psychiatryczne określenie „zachowanie konwersyjne” czy „zaburzenia konwersyjne”, które opisze Zygmunta Freud.

Łuk mieści się w niezłym pakiecie. Obok *globus hystericus*, czyli kuli w gardle, do czasów Charcota pierwszego wśród historycznych symptomów (który wielokrotnie zdążył już trafić do literatury; u nas u Elizy Orzeszkowej, tworzącej postać Emilii w „Nad Niemnem”), mamy tu głuchotę, bezgłos i inne objawy pseudoneurologiczne, jak utrata węchu; astazję i abazję, czyli niemożność utrzymania pozycji siedzącej i niemożność poruszania się; kamptokormię, czyli niemożność wyprostowania się; kurcz pisarski (cokolwiek to znaczy) itd., itp.

Łuk, pojawiający się w drugiej z czterech opisanych przez Charcota faz ataku historycznego, wzbudzał gapiowskie zainteresowanie, a w prasie można było nawet znaleźć przedrzeźniające go rysunki czy karykatury. U Charcota nie był on nawet szczególnie uprzywilejowany jako obiekt dociekań, lecz stał się najbardziej znaną pod koniec XIX wieku figurą choroby. Do dziś pozostaje artystyczną inspiracją. Nic dziwnego; jest widowiskowy, cyrkowy – mówiło się nawet



WIKIPEDIA.ORG

Albert Londe (1859–1910) „Atak hysterii”, data fotografii nieznana

o fazie „clownicznej” w hysterii (następującej zaraz po łuku) – wręcz akrobatyczny.

W wykonaniu perfekcyjnym, minimum 50 centymetrów nad ziemią, jak obliczał Charcot, wygięte ciało zamienia się w natężoną do kresu obręcz, tak kolistą, że pęknięcie zdaje się nieuniknione. Widać to doskonale w cyklu rzeźbiarskim Louise Bourgeois „Arch of Hysteria” (1993); lśniące, w kolorze złotym, męskie sylwetki tworzące niemal domknięte koła, zdają się pierścieniami, które jakiś kosmiczny demon hysterii, inny Saturn, nizałby tryumfalnie na swe paluchy.

To wygięcie (Freud: „tak jakby anatomia nie istniała”) z racji swej przesady wciąż też daje do śmiechu. Lubelska Galeria Labirynt eksponowała kilka lat temu gwasz Roee Rosena zatytułowany „Vladimir’s Night. Maxim Komar-Myshkin”, przedstawiający Putina wygiętego w łuku i bliskiego już całkowitego moralnego i fizycznego rozpadu. Artysta komentował: „Ogarnęły go ból i rozkosz jak fale przyływu. Vladimir wije się w tradycyjnym kobiecym tańcu”.

Od szpitala zatem do muzeum. Wiadomo dobrze, że w klinice Charcota chorzy byli wręcz prowokowani do różnych cielesnych ekspresji, niejako pozowali do obiektywu czy do sztalugi – pisał o tym Georges Didi-Huberman w swym głośnym „Wynalazku hysterii” czy Asti Hustvedt w „Muzach medycznych”. Didi-Huberman, opisując sposoby wizualnej dokumentacji przypadków hysterii, cytując we wstępie charakterystyczną wypowiedź Charcota: inaugurując katedrę chorób systemu nerwowego, profesor mówił o „fabryce obrazów”, „atelier fotografii i odlewów woskowych”, słowem o „muzeum anatomiczno-patologicznym”,

jakim w potrójnym projekcie naukowym, terapeutycznym i pedagogicznym stanie się klinika. Wszystko to, wzmożone echami prasowymi i artystycznymi rysunkami, sprawiało wrażenie, że Europa tuż przed wkroczeniem w wiek XX stała się szczególnie na histerię podatna.

Równanie z kobietą

Wzmożenie figury łuku w opisach symptomów choroby za czasów Charcota bije w oczy. Dosłownie; fotografii, a także obrazów ją przedstawiających powstaje dużo; przypominane też są wcześniejsze jego ilustracje, jak obraz lekarza i nie-dzielnego malarza Charlesa Bella „Opisthotonus (Tetanus)” z 1809 r. Dzisiejsi psychiatrzy są skłonni uznawać łuk za historyczny objaw hysterii i zaburzeń funkcjonalnych, obecnie już rzadki. Tak jakby nasilił się on i kulminował w określonych warunkach społecznych i politycznych, a później statystycznie bardzo osłabł.

Indagowana przeze mnie doktor Iwona Koszewska, autorka książki „O depresji dziś” (PZWL 2020) wspomina, że w swej wieloletniej praktyce spotkała się z jednym przypadkiem na izbie przyjęć, lecz dodaje, że „małe łuki hysteryczne i inne objawy konwersyjne w małym nasileniu mogą występować w zaciszu domowym u osób o osobowości histrionicznej i nie być widziane przez specjalistów”. *Nota bene* z dzisiejszego języka psychiatrycznego samo słowo „histeria” wypadło, ustępując miejsca różnego rodzaju „zespołom” i „zaburzeniom dysocjacyjnym”.

Statystycznie rzadki, łuk wciąż się jednak pojawia, głównie w ekspresjach zbiorowych. Historycy psychiatrii wychwycili notatkę Anny Politkowskiej spisaną w Czechenii w roku 2006: „Dziewczyna wykręca się na wszystkie strony, podobnie jak inne staje się ofiarą podobnego, tak charakterystycznego napadu. Jej twarz z bladej staje się żółta, a następnie ogniście czerwona, jej oddech przestaje być widzialny. Brat usiłuje rozdzielić jej szczęki łyżeczką, żeby się nie udusiła własnym językiem (...). Matka opada na nią całym ciałem, chcąc powstrzymać jej konwulsje. Dziewczyna wygina tors w sposób nieprawdopodobny, jej pięty dotykają głowy tak, że całe ciało tworzy niemal koło”.

Politkowska zauważa, że figura łuku jest przekazywalna; pojawia się u wielu innych osób dotkniętych chorobą – wywołaną zapewne czy wzmożoną przez okrucieństwa wojny. Faktycznie istnieją podobne świadectwa z czasów wcześniejszych wojen. Zachowało się sprawozdanie lekarskie z roku 1940; w jednym z wojskowych szpitali „na wszystkich piętrach chorzy odchylają się, tworząc półkoła, łuk, którego nie są zdolni przerwać. W tej postawie, która daje im moc napiętej do granic sprężyny, wykonują gigantyczne podskoki, po których ciężko opadają. Kiedy ciała zwalają się na materac przed kolejnym podskokiem, rozlega się przeraźliwy odgłos”.

Zaraźliwość figury nie jest kwestią oczywistą. Nie wiadomo, jakim językiem o niej mówić, trudno rozgraniczać kreację od nieświadomego impulsu. Jednak zbiorowe wykonania, różne uchwycone przez świadków przejawy „epidemii hysterycznej” dodają łukowi kulturowej wartości.

Wkraczamy wraz z nimi w świat już nie monologu, lecz wieloosobowego spektaklu, podobnie jak w przypadku zbiorowych opętanych albo tańca św. Wita czy transowych uniesień tancerzy – jak na fotografiach Cartiera-Bressona z Bali; i oni

→ wykonują w amoku łuk. Powszechna depresja dzisiaj również poddaje się interpretacjom na swój sposób zbiorczym; indywidualne predyspozycje uaktywniły się w tym samym czasie; sufity w „zaciszach domowych” oglądają *en masse* te same widoki zapaści. (La Rochefoucauld mówił w słynnej sentencji, że są ludzie, którzy by nigdy się nie zakochali, gdyby nie słyszeli o miłości. Czy są ludzie, którzy nigdy by nie wpadli w depresję, gdyby o niej nie słyszeli? Nie wiem).

Charcot uważał łuk historyczny za figurę naturalną i powszechną, udokumentowaną w dziejach. W zbiorze opracowanym z rysownikiem Paulem Richerem mieści się wiele rycin przedstawiających różne „demoniczne” ekspresje; zbiór zatytułowany jest „*Les démoniaques dans l'art*”. Łuk najbardziej zbliża się do figur wyrażających ekstazę, którą można kojarzyć z ekstazą religijną; w niektórych jego przedstawieniach układ ciała i rąk przywołuje wręcz obraz ukrzyżowania. Ale to kobieca ekstaza erotyczna wiązała się z łukiem na stałe, dając mu godność toposu nowoczesności. Tak zbanalizowanego czy umasowionego, że można nawet natknąć się na kubki do herbaty ozdobione odpowiednimi rysunkami.

Wbrew powszechnej opinii Charcot nie przypisywał kobietom na wyłączność ani hysterii, ani w szczególności figury łuku. 35 proc. jego pism o hysterii dotyczy mężczyzn, występują oni również u Charcota w ikonografii ADC. Występują albo „występują”; najsłynniejsza bodaj fotografia łuku autorstwa Alberta Londe’a przedstawia całą scenę: na ławce pacjent-mężczyzna wykonuje łuk, a w obiektyw spogląda z dumnym uśmiechem sanitariusz; odnosi się wrażenie, że pokazuje publiczności tresowanego lwa albo inny znakomity numer.

Ostatecznie jednak dziejowe, obowiązujące przez długie wieki przed Charcotem równanie „histeria = kobieta” nie zostaje podważone; w sposób oczywisty kobiety były dla Charcota jej lepszymi, bo bardziej spektakularnymi i lepiej sprawdzającymi się w publicznej prezentacji przewodniczkami. Freud, przenosząc śladem starożytnych zachowania historyczne na teren seksualności, ułatwił utożsamienie figury łuku z kobiecą figurą orgiastyczną, napędzaną energią libidinalną. Dorzucił do etiologii hysterii kobiece seksualne stłumienie i tak powstała klisza o niespełnieniu, która do dzisiaj ma się znakomicie, zaśmieca głowę facetom, także tym bardzo światłym, a w wypowiedziach publicznych i komentarzach internetowych przyjmuje najbardziej wulgarne postaci.

W swoim studium o figurach hysterii w sztuce nowoczesnej Jean Clair zastanawiał się, co czemu służyło w większym stopniu: sztuka nauce – czy też nauka sztuce. Wiele byłoby tu do powiedzenia; należałoby natychmiast przywołać prace Aby’ego Warburga, czytelnika Charcota, i jego pojęcie *Pathosformel*. Formy namiętnej, intensywnej ekspresji, przekazywane przez sztukę z wieku na wiek są dla Warburga

Zestawiam zjawiska
spektaklu covidowego
i spektaklu hysterii/depresji
dla ponurej zabawy,
lecz nie mogę oprzeć się
wrażeniu, że są jak
naczynia połączone:
jakby w mieszkaniach
**wykrzykiwało się milczenie
szpitalnych sal, rozjarzała
obecność nieobecnych.**

jak przekazywane z jednej epoki w drugą formuły językowe, w których skupia się istota języka; są mięszem wypowiedzenia. To one, gesty artystyczne, tworzą środowisko, w którym rozpoznaje się charakter namiętności. Nie tyle są one odzworowaniem emocjonalnych form ujranych w rzeczywistości, co stanowią materię, w której rzeczywistość się rozświetla. A figurę łuku Warburg odnalazł w postaci starożytnej tańczącej menady na jednej z płaskorzeźb w Luwrze.

Charcot dopatrywał się w dawnych płótnach i rycinach prostej ilustracji choroby. Zapewne trzeba mówić jednak o sprzężeniu zwrotnym; malarskie i rzeźbiarskie, sięgające wiele wieków wstecz, a później również fotograficzne przedstawienia form konwulsyjnych wpływały na rozpoznania medyczne. Ale od cza-

sów Freuda impuls szedł mocno od strony nauki (czy „nauki”) w stronę sztuki.

Wystarczy przypomnieć uniesienia surrealistów nad Charcota i Freuda mówieniem o hysterii, o której Breton z Aragonem pisali, że „jest ona największym odkryciem poetyckim od końca XIX wieku” oraz że „nie jest zjawiskiem patologicznym, lecz najwyższą formą ekspresji”. W tekście „Pięćdziesięciolecie hysterii (1878–1928)” wspominali również o „jej wzniosłej aurze” i o jej czterech fazach, z których trzecia (następująca po figurze łuku) warta jest „najczystszych i najbardziej ekspresywnych żywych obrazów”. Kultura masowa, film hollywoodzki, także literatura (Faulkner!) wzmocniły Freudowskie rozpoznanie, często wprowadzając w sceny erotyczne figurę łuku jako konieczną dla wskazania na pułap osiąganą właśnie przez kobietę rozkoszy. Jeśli nawet figura ta zeszła na margines psychiatrycznego języka, pozostaje obecna tak w sztuce niskiej, jak – w przypadku Louise Bourgeois, a wcześniej Klimta, Kubina, Dalego czy Brassaïa – w sztuce wysokiej.

O poranku

Teraz się przyda słowo „pałak”. Zgięty w pałak, też mocna poza gimnastyczna; dobrze robi po mostku, po odchyleniu następuje równoważące je pochylenie. Lecz przede wszystkim, gdy pomyśleć o łuku, jest to poza mu przeciwstawna, gest melancholii. Skurczenie zamiast rozparcia; pochylenie głowy i redukcja szyi zamiast pełnego odgięcia i pełnej ekspozycji krtani; zwiotczenie mięśni i twarz bez wyrazu zamiast skrajnego mięśniowego napięcia i twarzy w wytrzeszczu i euforii. Dwie strony tego samego, melancholijna redukcja i historyczne rozwarcie.

Gimnastyka, choć sama w sobie przeraźliwie nudna, znacząco fatalnie wspomnieniami z kolonii letnich i dawnych poranków radiowych, niech będzie ich parodią, wesołą z nich kpina, przystankiem w drodze po prochy. Może dałoby się na dłużej zatrzymać.

© MAREK BIENČYK

Korzystałem z tekstów Céline Eidenbenz, Aleksandry Skarbek, Joanny Lewczuk, Jeana-Pierre’a Luauté, Oliviera Saladiniego, Oliviera Walusinskiego.



„TP” 20 / 2021

Reportaż Anny Goc „niesłysz. edu.pl”, opisujący jedną ze szkół dla głuchych dzieci, wywołał poruszenie wśród czytelników i w społeczności osób niesłyszących. Oto kilka głosów (pierwszy jest tłumaczeniem z Polskiego Języka Migowego jednego z vlogów, jakie po publikacji tekstu zaczęli nagrywać absolwenci opisanego w artykule Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Niesłyszących w Poznaniu, a także innych szkół).

~ Sytuacja z pierwszej klasy technikum, lekcje języka polskiego. Nie chcę zdradzić, kto prowadził te zajęcia, ale było okropnie. Nauczycielka nie migłała w ogóle. Tłumaczyła się bólem rąk. Nie migłała ani w PJM [polskim języku migowym], ani w SJM [systemie językowo-migowym, miganej polszczyźnie], tylko oralnie prowadziła dwugodzinne lekcje języka polskiego [oralnie – mówiła do głuchych uczniów]. Wszyscy spali na tych zajęciach. Tylko mówiła i pisała. Osoby słabosłyszące jeszcze coś wnosili z tych zajęć, my nic. (...) Chciałabym wam jeszcze powiedzieć, że warto czytać dużo książek. Dopiero po szkole, gdy zaszłam w ciążę w roku 2014 i chciałam przygotować się do opieki nad dzieckiem, zaczęłam uczyć się czytać. Miałam 23 lata, czytałam

i tłumaczyłam każde słowo, bardzo się starałam. Nikt nigdy mnie nie uczył, jak czytać w języku polskim (...) Teraz myślę, że gdybym wcześniej umiała czytać, mogłabym być na zupełnie innym poziomie.

MONIKA BARTECKA

~ Dawno żaden artykuł nie poruszył mnie tak mocno. Nie zdawałam sobie sprawy, że w szkołach dla głuchych w Polsce nie używa się PJM, i że tak, a nie inaczej wyglądają np. egzaminy maturalne. Przedstawiona sytuacja jest straszna. Po pierwsze, część osób pracująca w opisanej szkole w ogóle nie powinna tam pracować, nawet nie ze względu na brak kwalifikacji, ale ogólnie fatalne postrzeganie osób głuchych, PJM oraz brak empatii. Po drugie, oprócz specyficznych problemów z tą konkretną szkołą, ewidentnie w Polsce mamy problem z sys-

temem, który nie gwarantuje równego dostępu do edukacji.

WERONIKA TOMUSIAK

~ To jest nie do uwierzenia, że w szkole dla głuchoniemych pracują nauczyciele bez biegłej znajomości polskiego języka migowego. To tak jakby zatrudnić do zwykłej podstawówki albo średniej nauczyciela bez znajomości języka polskiego.

RADOSŁAW BASIŃSKI

Sprostowanie

W numerze 19/2021 „TP” w rozmowie Katarzyny Kubisiowskiej z Joanną Braun pt. „Miłosne samogłoski” nazwisko dyrygenta opery „Hiacynt i Apollo” zostało przekręcone, a poprawnie brzmi: Kuba Wnuk. Za pomyłkę pana Kubę Wnuka i czytelników przepraszamy.

REDAKCJA

REKLAMA

Wschód
Kultury
Inne
Brzmienia

WSCHÓD
KULTURY
INNE
BRZMIENIA

24-27
CZERWCA
2021

LUBLIN,
BŁONIA
POD
ZAMKIEM

SPRAWDŹ
LINE-UP NA
INNEBRZMIENIA.EU



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY, DZIEDZICTWA
NARODOWEGO I SPORTU



JAN

Klata:

Żeglujże żeglarzu



MOGŁO BYĆ GORZEJ, PO WIELEKROĆ GORZEJ. Mógł być inny kurort, bądź też zgoła niekurort. Mogło być kilkanaście godzin, a było tylko kilka. Mogła być o wiele gorsza pieśń, a zaprawdę, w dziejach rodu ludzkiego i narodu polskiego powstało

ich mnóstwo. Wreszcie: mogło być jeszcze głośniejsze (ale już niewiele).

Tyle pozytywów, którymi wielce wskazane się pocieszać, zważywszy postpandemiczną sytuację sopockiego relaksu, niezapomnianych sopockich nocy, sopockiego weekendu. Ludzie teatru mają tak dziwnie w życiu, że przez większość weekendu pracują, ale inni ludzie mają tak, że nie. Innych ludzi jest więcej, i część z nich bardzo nie lubi ciszy. Trudno powiedzieć, jaka część, gdyż akurat tych ludzi, którzy ciszę lu-

bią, po prostu nie słyszą, więc niemożliwym ustalić proporcje. Nietrudno natomiast gołym uchem dostrzec, kiedy ktoś – dajmy na to weekendowy sąsiad – za ciszą akurat nie przepada. Powody mogą być różne i ja w nie nie wnिकam. Fakt faktem, że takie osobniki istnieją, swą aktywność nasilają, kiedy robi się ciepło, zwłaszcza nad morzem.

A zatem żeglujże żeglarzu całą nockę po morzu, na Pomorzu, żeglarzu hej! Od godziny 1:30 (prawdopodobny powrót z lokalu gastronomicznego) do godziny 5:17 (prawdopodobne urwanie filmu). Repertuar? Żeglujże żeglarzu, na ripicie, całą nockę po morzu. Coś innego? Nie, bynajmniej, bezdenno kipi nurt, Bałtyk huczy wokół burt. Killkadziesiąt razy raz po raz, ciągiem zza ściany ostatnia minuta piosenki fantastycznie robi na głowę po nocy, całą nockę. Pani Maryla traumatyzuje, śmieszy, tumani, przestrasza, ale przecie ani to jej wina, ani mistrza Kantego, pieśń jak najbardziej na miejscu, i to od wieków, kaszubska, nie ma się do czego przy-czepić. Przyżeglujże ty do mnie – kusi weekendowy Sopot, dźwiękowa krynica, uzdrowisko, jakże ja mam żeglować, zzzzzzzzzzzzz. Koloryt lokalny, po prostu, nie ma się co sierdzić. Ostatnią godzinę prześpiewałem z Panią Marylą oraz z sąsiadami, rozgimnastykując aparat mowy przed poranną próbą.

Z próby nic nie pamiętam. Żeglarzu hej!

©

Lektor:

Praca nad umieraniem



■ Ignacy Karłowicz
CICHO, CICHUTKO
Wydawnictwo Literackie,
Kraków 2021, ss. 268

KTO OPOWIADA? KTO JEST narratorem? Pisarczyk, który w tej narracji się pojawia? Ale on tylko pracuje nad cudzymi historiami. W części pierwszej, która dotyczy jego wieloletniej szalonej przyjaźni z Michałem-Misiem, ma w dodatku współautora. Bo to śmiertelnie chory przyjaciel pisze z nim razem kronikę własnego umierania. Koryguje, zmienia detale, czasem fakty stosunkowo istotne. Prowadzą nas wspólnie, zwodząc niekiedy na manowce. „Pisaliśmy z Misiem wypracowanie ze

śmierci tak długo, jak potrafił utrzymać wagę”. Potem „umieranie przestało reagować na słowo”. Jeszcze kremacja, pogrzeb. Żałobnicy rozchodzą się na stronie sto dwudziestej ósmej. Następna to początek drugiej opowieści, której sygnały mogliśmy dotąd prześlepić. Nie od razu dowiemy się, skąd ona do nas przychodzi. A to jest pamięć ciotki Misia – Anny, postaci wcześniej dosyć enigmatycznej. Wiemy, że Misiem opiekowała się od dzieciństwa, wiemy, że chłodne relacje łączą

ją z (raczej platoniczną) partnerką biseksualnego Misia. Ta opowieść też jest o śmierci – o zamkniętym, dusznym wiejskim świecie i o zabójstwie w noc wigilijną, niepojęcie absurdalnym, a zarazem okrutnym, które odebrało Misiowi rodziców i rodzeństwo. Ale też o ratunku – bo to Anna uratowała Misia. A w rok po jego odejściu stała się niezwykłym, choć i kłopotliwym spadkiem dla Pisarczyka. Razem ze swoją historią. Teraz pomaga narratorowi składać całość i słucha tego, co on jej czyta. Związki międzyludzkie w najrozmaitszych odmianach, przyjaźń, miłość, seks, poświęcenie, a także zawiść i zbrodnia, poddane zmianom i na nowo kształtowane, stają się materiały literatury, próbą nieufnie traktowanego języka.

Karłowicz nie kryje, że wykorzystał opisaną wcześniej, przede wszystkim przez Wiesława Łukę, zbrodnię w Połańcu. I że postać Misia ma pewne rysy jego zmarłego przyjaciela. Monika Ochędowska na łamach „dwutygodnika” wskazuje zarówno na odniesienia do realiów, jak i na trop iwaskiewiczowski, tak ważny w poprzedniej powieści Karłowicza, „Miłości”. Słusznie jednak podkreśla, że nie to jest w „Cicho, cichutko” najważniejsze: „Powinno się o niej mówić przede wszystkim dlatego, że subtelnie i umiejętnie gra ze starą jak sama powieść tradycją, wedle której – jak pisze kanadyjska poetka i eseistka Ann Carson – to »zawsze Eros jest opowieścią«, a »pisarz rajfurem«”. Dodam: mówić i czytać! ©P

PAWEŁ

Bravo:

Oddawanie pola



CZTERYSTA TYSIĘCY GOSPODARSTW OBSIEWA polskie pola i wypasa bydło na polskich łąkach. Dużo to czy mało? Prościej będzie stwierdzić, że to prawie trzy razy mniej, niż obejmuje lista formalnych beneficjentów dopłat bezpośrednich ze Wspólnej

Polityki Rolnej (WPR). Sucha więc liczba nabrzmiewa gniewem – jeśli jest bowiem prawdziwa, mamy prawie milion martwych księgowych dusz, ludzi pobierających nienależne pieniądze z racji tylko tego, że mają jakieś hektary, choć jeśli zapytać ich o uprawy, to ostatnio podlewali pelargonie na tarasie.

Tak twierdzi europoseł ludowców Jarosław Kalinowski w liście do premiera. Wskazuje przy tym na wiele patologii takiej sytuacji. Bo jeśli pewną część ziemi rolnicy dzierżawią na czarno od właścicieli, to nie tylko nie dostaje im się należna subwencja – która powinna wspierać uprawę, a nie fakt własności – ale tracą dostęp do innych programów pomocowych czy możliwości ubezpieczenia. Pan poseł i eksminister chce, aby polski rząd wziął się za stworzenie porządnej i wąskiej definicji „rolnika aktywnego zawodowo”.

Kto to jest rolnik? W mitologiach i świętych księgach znanych nam cywilizacji występuje zazwyczaj obok kapłana czy wojownika na samym szczycie drabiny ludzkich zajęć. Po co komu na świecie i co robią brand manager albo influencer – o tym można w sposób niebłahy dyskutować. Z rolnikiem tak nie jest. Nawet w warunkach dzisiejszego Zachodu, gdzie większość z nas może spędzić nawet i pół życia, nie widząc z bliska, jak przebiega młócka lub wykopki, zdefiniowanie, kto jest, a kto nie jest rolnikiem, pozostaje poza obszarem językowych stref szarości.

Powiecie, że to typowe, iż instytucje państwa (a tym bardziej unijnego ponadpaństwa) pędzą swój samoistny byt w innym wymiarze rzeczywistości, muszą zatem tworzyć własny język, tylko częściowo stykający się z naturalnym. Zgoda, ja też pamiętam ze szkoły ten dowcip oddający w dwóch liniach istotę wojskowej mentalności: „pies bojowy składa się z linki prowadzącej i psa właściwego”. Ale różnica między rolnikiem właściwym a rolnikiem aktywnym to coś więcej niż żałosny przykład unijnej nowomowy. Jeśli już osiem lat trwa wojna w instytucjach o to, by przyjąć wspólną definicję „aktywnego”, to dlatego, że idzie za tym dostęp do ok. 50 mld euro rocznie.

Mniejsza o prehistorię – czyli o pytanie, skąd się wzięła unijna polityka rolna i czy naprawdę kiedyś służyła ochronie autentycznych społeczności rolniczych czujących na ple-

cach oddech rynku, na którym duży zjada małego. Jak wiedzą fani cyklu o Mikołajku, wczesne lata 60. we Francji wyglądały pod wieloma względami w sposób dziś nieakceptowalny, zwłaszcza jeśli się było kobietą lub dzieckiem (albo imigrantem z Algierii – pamiętacie może jakiegoś z książki? Nie? Otóż właśnie). Ale godność (a także siła głosu) rolnika stała jednak wysoko.

Dziś jednak WPR służy głównie obłudnemu kupowaniu głosów ludzi, którzy są czuli na rzewne hasła o rolniczym trudzie. Lwia część pieniędzy ląduje na kontach wielkiego agrobiznesu, nawet krztynę nie pachnącego sianem, oborą – czy rzepakiem, który tak dobrze się sprawdza jako tło na plakatach wszelkiej maści „ludowców”. Dziś pan europoseł bije się listownie o dobro prawdziwego polskiego chłopca, ale polityka rolna PiS-u sprawnie idzie w kierunku, jaki poprzednio wytyczyła jego partia, dbając o to, by unijne pieniądze i prze-modelowany pod Unię system prawny przysłużył się przede wszystkim wielkim graczom, polskim i cudzoziemskim.

Jednym z grzechów ośmioletniej kadencji PO było oddanie w pacht PSL-owi wszystkiego, co ważne dla wsi w szczególnym okresie zmian. W ten sposób bez próby najmniejszej choćby korekty prze-flancowano najbardziej spaczony unijne mechanizmy. Także wcześniej ludowcy bywali zbawienni dla systemu partyjnego, bo stabilizowali go na różnych zakrętach, ale w zamian mieli wolną rękę w modelowaniu finansów wsi w interesie swej prawdziwej bazy: przedsiębiorców spożywczych i wszelkiej maści chłopów z Marszałkowskiej. Podobnie może być i w następnym rozdaniu, kiedy do gry wejdzie projekt budowania wokół tej partii jakowejś nowej „chadecji”.

Kolejne negocjacje wokół przyszłości WPR właśnie się kończą. Co z nich wyniknie? Czy Warszawa odda nieco pola i zawęzi kryteria określania „aktywnego rolnika”? Coś może drgnie, ale kierunek jest, niestety, wciąż zły. W wielu innych dziedzinach można zignorować głupie lub niesprawiedliwe państwo czy obsiadł przez lobbystów Unię. Jeść jednak trzeba, nasze biedne żołądki będą więc – by użyć urzędowego eufemizmu – coraz mniej właściwe, a coraz bardziej aktywne. ©P



FRANS ROMBOUT / ADOBE STOCK

Nie wszystko jest polityczne! Kłopoty z trawieniem i uczulenia to nie tylko wynik tego, że jemy coraz więcej rzeczy, które z racji spaczonych rynku tylko z nazwy przypominają chleb, owoce czy nabiał. Jedną z moich latorośli ma problem z cukrem, choć od kołyski starałem się ją karmić jak najprościej. Swoją potrzebę słodczych zaspokajam za to daktylami – zwłaszcza tymi bardziej „mokrymi” odmianami mozafati – i ostatnio zrobiłem na jej cześć takie ciasto: moczymy ok. 100 g rodzynek w paru łyżkach soku tłoczono-go z jabłek. 250 g daktyli pozbawiamy pestek i miksujemy z ok. 100 ml soku jabłkowego i łyżką miodu oraz taką ilością letniej wody, by uzyskać krem o konsystencji miękkiego masła. Dodajemy namoczone rodzyнки, 250 g mąki kukurydzianej i 100 g siekanych migdałów. Wykładamy do średniej tortownicy wyłożonej papierem do pieczenia i pieczemy ok. 40-50 minut w 180 stopniach.

DZIEŃ DOBRY, SROKO

Gdy jedna z nich umiera, kilka ptaków zbiera się wokół martwego osobnika, próbując go ocucić. Najpierw krzyczą, potem zapada cisza.

MONIKA OCHĘDOWSKA

Pamięci Arkadiusza Szarańca

BOGU DZIĘKI, ŻE NIE SĄ WIĘKSZE, BO LUDZKOŚCI GROZIŁYBY sceny rodem z »Parku Jurajskiego«. Gdyby sroki zdecydowały się na nas polować, mielibyśmy przechłapane. Dopadłyby nas wszędzie, bez problemu poradziłyby sobie nawet z otwieraniem drzwi za pomocą domofonu – przekonywał mnie pewnego październikowego popołudnia przyrodnik i pisarz Arkadiusz Szaraniec.

Zerkając na coraz ciemniejsze, gęstniejące niebo, z którego pewna sroka zlatywała raz po raz wprost na mój balkon, tworzyliśmy scenariusz, przy którym dreszczowiec Hitchcocka o obracającej się przeciwko człowiekowi ptasiej naturze stawał się doprawdy bajką dla przedszkolaków. Sroka w tym czasie, po przejrzeniu mizernej zawartości donic, z których zwiślały już tylko uschnięte łodygi polnych kwiatów, ochoczo rozdrubywała balkonowy tynk w kolorze wystygłego budyniu.

Jeśli grozę „Ptaków” Hitchcocka rozkręcała mewa, psującą fryzurę Melanie Daniels, nasz film mogłaby otwierać równie drapieżna scena inspirowana przypadkami jednej z udomowionych srok Xymeny Zaniewskiej, projektantki i scenografki. „Proszę sobie wyobrazić – budował napięcie Szaraniec – jak powoli drepcze przez otwarty salon, skradając się za meblami... Następnie ogląda ogon śpiącego psa, oceniając, czy jest wystarczająco daleko od pyska, i – orientując się, że jest bezpiecznie – hyc, wymierza bolesny cios dziobem”. Sroka Zaniewskiej terroryzowała w ten sposób pod nieobecność swojej pani cały dom, spuszczając łomot zamieszkującym go zwierzętom. Być może to zresztą ta sama, o której Za-



niewska napisała we wspomnieniach, że jednym z jej ulubionych przysmaków był „czosnek, po którym miała chuch jak stary Bułgar”.

Jedno jest pewne – krukowate po prostu lubią się bawić. Do harców, jak wyjaśnili naukowcy, zachęcają obecne w ich mózgach receptory dopaminowe i opioidowe (te same, które odnaleziono w „ośrodku śpiewu”, bo ptaki czują prawdopodobnie narkotyczną przyjemność ze śpiewania, choć wciąż nie wiadomo, czy robią to dla zastrzyku dopaminy, czy ośrodek nagrody robi swoje, gdy trenują przed randką).

Wojny gangów

Tymczasem mijały nie tylko ciemne, słotne popołudnia, ale i wyjątkowo roziskrzone tygodnie zimy. Sunąc na biegówkach w okolice położonych tuż za miastem, skutych lodem stawów, już z daleka podziwiałam kolorowe skrzydła la-



TRENT PARKE / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Adelaida, Australia, 2014 r.

tawców rozpostarte przez miłośników kitesurfingu. Wiatr igrał z nimi beztrasko. I tylko sroka wpadała coraz rzadziej, przy każdych odwiedzinach odrobinę powiększając dziurę w tynku – haracz pobierany najwyraźniej za brak karmnika. Aż pichcąc bułgarską zapiekanke z resztek przednówkowych zapasów, zorientowałam się, że nie zagląda już wcale. Z szarosinych kłębiastych chmur zrywały się tylko kolejne wiosenne ulewę. Co moja sroka może teraz robić?

– Zapewne siedzi na jajach – uspokaja z uśmiechem przyrodnik i pisarz, współzałożyciel stowarzyszenia Ptaki Polskie, Jacek Karczewski. Co więcej, była do tego od dawna świetnie przygotowana. – Widuję sroki, które rozpoczynają budowę gniazd już w grudniu. Robią to bardzo wcześnie, by zdążyć przed okresem lęgowym innych ptaków, a potem, prowadząc tylko drobne roboty wykończeniowe, spokojnie czekają, aż przyjdzie wiosna. Spiesz się, bo na ich lokal jest zwykle

wielu chętnych – zdarza się, że sowy i gołębie tłuką się o niego z prawowitymi lokatorkami, próbując przemocą eksmitować.

Mniej więcej taką awanturę sfilmował Stanley Kubrick, wykorzystując uverturę „Sroki złodziejki” Gioacchina Rossiniego w słynnej scenie bójki gangu Alexa z „Mechanicznej pomarańczy”. Film, ze względu na swoją brutalność, wywołał w latach 70. skandal. Zakazany w brytyjskich kinach, krążył w drugim obiegu aż do 1999 r. Wojowniczość krukowatych skonstrastowana z elegancją ich szat rzeczywiście bliska jest wyreżyserowanemu przez Kubricka „baletowi przemocy”, w którym wytwornie odziani panowie dokonują – oględnie rzecz ujmując – czynów zabronionych.

Może dlatego co bardziej zapobiegliwi Anglosasi do niedawna pozdrawiali sroki życzeniami dobrego dnia – ot, lepiej dmuchać na zimne. Choć za sroki, szczególnie wczesną wiosną, naprawdę wypada trzymać kciuki. W wydanej właśnie



→ książce ornitologa i popularyzatora wiedzy o przyrodzie Pawła Pstrokońskiego „Wszystkie okna dla oknówek” trafiam na historię trzyletnich prób wicia gniazda, które uparcie torpeduje młodym sroczkom gang kilku wron. Gdy tylko przyszłym rodzicom udaje się zebrać pierwsze materiały na budowę, popielato-czarne psuje w try miga skrzykują się, by zdemolować świeże fundamenty.

W jednym z odcinków starej amerykańskiej kreskówki o „gadających srokach” (Brytyjczycy przezywają „srokami” wyjątkowe gaduły), produkowanej przez młodzieżową wówczas wytwórnię 20th Century Fox, kalifornijskie żółtodzioby o imionach Hecke i Jeckle próbują uwić sobie gniazdko zaraz za oknem pewnego farmera. Zirykowany skrzeczeniem miłośnik ciszy prędko sięga po strzelbę, ale Hecke i Jeckle są w stanie poradzić sobie z nim nie gorzej niż słynny, młodszy o pół wieku inny wychowanek tejże wytwórni – Kevin „sam w domu” McCallister.

Zdaje się, że w naturze sroki jednak szybciej odpuszczają. Przynajmniej te od Pstrokońskiego w końcu się wyniosły. Zresztą i tak nie zagrzałyby miejsca, bo drzewo, na którym próbowały się osiedlić, wkrótce ścięto, a cały placyk wysypiano żwirkiem. Farmer mógłby spać spokojnie.

Ptaka Nakręcacz

Uwertura do opery Rossiniego budzi „wrażenie, którego się doznaje, gdy po gwałtownej walce wręcz powaliło się silnego przeciwnika i zastanawia się człowiek, czy go teraz powoli udusić”. Pisząc te słowa, meloman i wielbiciel kina Haruki Murakami nie tylko bliski był intuicji Kubricka, ale i musiał wiedzieć o impertynencji wron.

„Mechaniczna pomarańcza” w oryginale jest „nakręcana” (choć angielski tytuł „A Clockwork Orange” oznaczać może także „nakręcane, mechaniczne człowieka”, „pana nakręcacza”), a przywołany cytat pochodzi z „Kroniki ptaka nakręcacza” – książki, którą otwierają płynące z radiowego odbiornika dźwięki sroczki opery. „Kronika...” to jednak wtórny tytuł jednej z najbardziej znanych powieści Murakamiego. Po japońsku ukazała się ona na początku lat 90. w trzech częściach, z których pierwsza miała po prostu w tytule srokę złodziejkę (w angielskim tłumaczeniu „Book of the Thieving Magpie”).

Bohater książki, Toru Okada (nazywający siebie Panem Ptakiem Nakręcaczem), to przeciętniak, którego dzisiejsza krytyka nazwałaby kolokwialnie przegrymem, choć może ofiarowałaby mu więcej zrozumienia niż 30 lat temu, gdy postawa ironicznego dystansu wobec korporacyjnego kapitalizmu dopiero robiła się modna. Okada mógł irytować: nie dość, że rzuca nudną, choć nieźle rojącą finansowo robotę w kancelarii adwokackiej, to nie spieszy się, by szukać nowego zajęcia. Pozostając na utrzymaniu żony, całymi dniami słucha radia, czyta powieści i krząta się po domu, przygotowując skromne posiłki, układając sprawunki, porządkując. Zdziwiony, jak niewiele pozostało mu przyjaciół, czasem wda się w pogawędkę z mieszkającą na końcu ulicy nastoletnią sąsiadką, która z kolei – pozorując chorobę – unika szkoły, a więc także nakładającego pewne normy, opresyjnego systemu edukacji.

Murakami na swoich bohaterów wybiera przeważnie ludzi bez właściwości. W najnowszym zbiorze opowiadań z sa-

mego aktu kreowania postaci czyni najważniejszy temat, już na poziomie zaimków bawiąc się tożsamościami (Japończycy używają wielu zaimków oznaczających „ja” i „ty”, Murakami posługuje się w opowiadaniach zaimkiem „ja” na dwa sposoby – formalnym i nieformalnym, w zależności od tego, czy chce budować dystans wobec czytelnika, czy stworzyć wrażenie poufałości). W jednym z opowiadań, które znajdziemy w jego nowej książce, tytułowej „Pierwszej osobie liczby pojedynczej” (zaimek *watashi*, bardziej formalny, do tego unisex), czytający powieść i przeglądający się w knajpianym lustrze bohater Murakamiego rozważa, czy mógłby wieść zupełnie inny los: „wydawało mi się, że ja, stanowiący treść, nie pasuję jakoś do swojego obecnego opakowania, że w pewnym momencie przepadła gdzieś konieczna spójność między nami. Takie rzeczy się czasami zdarzają”.

O tak, zdarzają, szczególnie u Murakamiego. Wybór „człowieka bez referencji” mógł mieć w przypadku „Kroniki...” swoje dodatkowe uzasadnienie. Wystawioną z sukcesem w 1817 r. „Srokę złodziejkę” Rossiniego uznaje się za pierwszy dramat realistyczny we włoskiej literaturze operowej. Różnica względem poprzedników była znacząca – tłem dla wypadków nie była już mitologia, legenda czy doniosłe wydarzenie historyczne. To tylko rozgrywająca się na prowincji historia służącej Ninetty, której przypadki – z powodu psikusa, jakiego robi jej mały złodziejaszek – trafiają do sądowego protokołu. Zwykłych ludzi nie umieszczano dotąd w tak eksponowanym miejscu na scenie. Oczywiście, sięgano po nich, tyle że lud pojawiał się w ujęciu komicznym lub sielankowo-sentymentalnym, nigdy dramatycznym. Dopiero „Sroka...” odwróciła trend.

Dzioba nie wciśniesz

Kwietniowy wiatr ostro tnie skórę. Parząc usta plastikiem o smaku kawy czuję się jak zmęczony Andrzej Stasiuk. Dla wzmocnienia uczucia zarezerwowanego dla mężczyzn jeżdżących na Wschód zabłoconymi toyotami odpalam audiobooka o przedwojennych bokserach. Maciej Stuhur w roli żydowskiego ojca chrzestnego trzaska po mordach dłużników (co za wroniec!), a ja mijam się z Polską przydrożną z pewnością pozwalającą zaglądać w pastelowe obejścia domostw.

Orły Orlenów rozpościerają skrzydła w geście powitania. Rozrzucone co kilka kilometrów, lejące się czerwienią jak krew Taty Tasiemki stacje są jak ostatnie źródła ropy, wody i ognia. Szklane drzwi wielkich niczym piramidy szamów otwierają się i zamykają z cichym mlaskiem. Obserwując skupione wokół nich ludzkie migracje wreszcie rozumiem, dlaczego położone na obrzeżach delikatesy mają zwykle w nazwie słowo „centrum”.

Zjeżdżam z drogi i wtedy je dostrzegam, skaczą parami jak przez niewidzialną skakankę. Co kilka susów nurkują dziobami w kępy traw. Pstrokoński zwraca uwagę, że gdy siedzą na drzewach, często się bujają. Zabawne, bo wygląda to tak, jakby do perfekcji opanowały maniery – czyżby kłaniały się przyjezdnym? Tak naprawdę – tłumaczy ornitolog – muszą co rusz łapać równowagę. To przez ten długi ogon. On także powoduje, że w powietrzu wypadają nieporadnie, nie przemierzają się dalej niż na kilkunastometrowe dystanse.

Na wierzchołku najwyższej, ledwo kwitnącej wierzby ktoś narysował kłębek czarnej wełny. Wrażenie miękkości

to tylko pozory – kwatery srok są wyjątkowo solidne i trwałe. A przy tym zmyślne: cienkie i suche gałązki, z których je zbudowano, tworzą skomplikowane konstrukcje godne mistrzów ikebany.

„Gdy powolutku rozebrano, a następnie złożono srocze gniazdo, okazało się, że każda gałązka włożona w tę konstrukcję miała co najmniej dwa, trzy zaczepy zahaczające o inne gałązki” – zachwycił się w trakcie naszej jesiennej rozmowy Szaraniec. „Poddawano je przeróżnym eksperymentom, na przykład zraszano wodą – krople spływały wytyczonymi przez konstruktorów »rynnami«, nie mocząc wnętrza. Próbowano także sprawdzać, czy srocze gniazda odporne są na dym. I znów: choć konstrukcja wydaje się ażurowa, to przetrzeń, w której przebywają złożone przez sroki jaja, a potem wykluwają ich pisklęta, wolna była od dymu. Proszę mi wierzyć, afrykańska zeriba to nic w porównaniu z gniazdem każdej sroki”.

To, że srocze gniazda posiadają funkcje antywłamaniowe, potwierdza Karczewski: – To kule zbudowane z kolczastych gałęzi, które pozwalają zabezpieczyć się przed intruzami. Gdzieś wśród tej skomplikowanej konstrukcji znajduje się wejście, ukryte przed nieproszonymi gośćmi. Byle kto dzioba tam nie włoży.

Pani entropia

Nie byle kim jest Markéta Baňková, autorka poczytnego, popularyzującego prawa fizyki zbioru bajek „Sroka w krainie entropii”. Uchylając drzwi doskonałego, sroczego gniazda, Czeszka przestrzega, że każdy, nawet najbardziej imponujący „układ izolowany wykazuje naturalną tendencję do przejścia w stan nieuporządkowania”. Za przykład Baňkovej służą ptasie porządki: „kiedy sprzątasz, to, co prawda, hamujesz ten proces, ale skoro tylko przestaniesz, rzeczy w sposób samostny znowu znajdą sobie drogę do chaosu. To się nazywa entropia”.

Entropia? Jako bohaterka Murakamiego bez wstydu wyznałabym, że nie mam najmniejszego pojęcia o zasadach termodynamiki. Jako uczennica Karczewskiego powątpiewam z kolei w uroczą pogawędkę, którą sroka Baňkovej prowadzi w tej bajce z gołębicą. Autorka odwołuje się tu najprawdopodobniej do jednej z brytyjskich legend, wedle której precyzyjna inżynier sroka na widok byle jak skleconego gołębiego gniazda postanawia zaoferować gapie swoją pomoc. Gapa ofertą gardzi. I rzeczywiście, jeśli przyjrzeć się efektom jej pracy na pierwszym z brzegu parapecie, trudno nie odnieść wrażenia, że gołębicę są miłośnikami chaosu.

Gdy u Murakamiego Okada przestaje kopiować swoje dotychczasowe dni, w zmaganiach z istnieniem rzeczywistości wygrywa zamęt. Najpierw znika kot, potem odchodzi żona, a sam Okada zaczyna śnić przedziwne erotyczne sny (w końcu od Leśmiana wiemy, że najwierniejszym sojusznikiem entropii jest libido). Od momentu, gdy „Kronika...” ma za sprężynę fabuły nie porządkowany godzinami pracy w kancelarii, lecz gołębi miszmasz, opowieść rozprasza się w dygresjach.

Lisy i listy

Zakładam, że Okada jako miłośnik literatury znał kopistę Bartleby’ego z opowiadania Hermana Melville’a, a na

pewno ma z nim wiele wspólnego. Ten zatrudniony w nowojorskiej kancelarii prawniczej przeciętniak sumiennie wypełnia swoje zadania, aż do momentu, gdy otrzyma od swojego szefa polecenie, które wymaga porzucenia rutyny, „wyjścia zza parawanu”. Wówczas wypowiada swoje słynne „wolałbym nie”, które będzie odtąd coraz bardziej irytującą ripostą na wszystko: groźby, ofertę podwyżki, próbę zwolnienia czy propozycję zamieszkania razem z pracodawcą.

Gdy Toru Okada poznaje swoją żonę, zajmuje się mniej więcej tym samym, co Bartleby – dzień po dniu, przez wiele tygodni przepisuje wraz z jednym z zamożnych klientów kancelarii jego testament. Gdy powieść się rozpoczyna, mija już jakiś czas, odkąd wypowiedział rzeczywistości swoje gołębie „wolałbym nie” i mierzy się z konsekwencjami. Długo wydawało mi się zresztą przeoczeniem czy wręcz fatalną pomyłką Melville’a, że nie wypuścił na nowojorskie niebo żadnych ptaków (czy z Wall Street widać niebo?). Aż w eseju Gillesa Deleuze’a omawiającym dziełko trafiłam na wzmiankę o tym, że sam Bartleby jest jak „nocny ptak, który nie znosi, by go widziano”. Wywołany z kryjówki odmienia życie tego, kto go spostrzegł.

Bartleby to człowiek znikąd, „bez referencji”, sroczy typ Murakamiego. Bohater nowego świata, nowej powieści – pisze Deleuze. Powieści nie są mile widzianą lekturą na biurku prawnika – wyznaje Okada. Pracując w kancelarii nie może czytać beletrystyki, bo język, w którym możliwa jest entropia powodowana formułą „wolałbym nie”, jest przeciwieństwem litery prawa. Ale też przeciwieństwem tego, czego oczekuje rynek, co się opłaca (z podtytułu „Bartleby’ego” dowiadujemy się, że to „historia z Wall Street”; ulica, przy której mieszka Okada, także jest „ślepa”, na jej końcu znajduje się mur). A skoro jesteśmy już przy literach, to zakończenie opowiadania Melville’a zdradza, że nim Bartleby podjął pracę w kancelarii, zatrudniony był w Biurze Listów Niedoręczonych, skąd „otrzymał nagłe wypowiedzenie w związku ze zmianami w administracji”.

Niedoręczone, „martwe listy” – podsumowuje narrator opowiadania. Angielskie listy, *letters*, to oczywiście także listy – może więc chodzić o martwe znaki, bo przecież „literatura o życiu i tym, co żywe, jest ściślej związana z nicością i tym, co nieżywe, niż sądzimy” – napisał jeden z najlepszych kronikarzy krzątaństwa, Karl Ove Knausgård. Jedną z cech języka, a zarazem jego największym niebezpieczeństwem, jest to, że potrafi nazywać rzeczy, których nie ma. A sroki? Gdy jedna z nich umiera, kilka ptaków zbiera się wokół martwego osobnika, próbując go ocucić. Najpierw głośno krzyczą, potem zapada cisza.

■■■

Gdy się zegnaliśmy, umawiając terminy kolejnych spotkań, Szaraniec obiecywał, że następnym razem pogadamy o srokach na poważnie, bez obszernych dygresji na temat przeróżnych listów i lisów odwiedzających bez zapowiedzi siedzibę PIW-u przy Foksal 17. Gdy zapisywałam plik z nagraniem naszej rozmowy, na jej początku pojawił się jakiś szum, chrobot, jakby skrzek ptaka, choć wydaje mi się to niemożliwe – bo niby skąd miał się tam wziąć.

© MONIKA OCHĘDOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz:

Spod strzykawki



OD NIEDAWNA, TZN. OD PRZYJĘCIA DRUGIEJ dawki szczepionki przeciw COVID-19, siedzimy w dość ponurym nastroju. Nie jesteśmy w tym sami, bo jest nas legion. Oto czekamy – ile można? – na szeroko opisywane skutki uboczne. Już po pierwszym

zastrzyku byliśmy rozczarowani. Czekaliśmy na choćby symboliczny, chwilowy, ale jednak, kontakt z p. Gatesem z Ameryki. Cisza. Niedoczekanie. Po drugiej dawce nie jest inaczej.

P. Gates, energiczny i rzutki jegomość – słyszymy to od dawna – umieszcza w strzykawkach własnego pomysłu czipy, które wtrysnięte do ciał umożliwiają jemu i jego semickim koleżkom z banków i koncernów sterowanie pocziwymi ludźmi na całej planecie. Ponieważ my, tu w Polsce, należymy do najpocziwszych z pocziwych Ziemiaków, sprawa dotyczy nas najpoważniej. Powiada się tu i ówdzie, że pierwszy raz od zawsze, to znaczy od czasów Pierwszego Ocieplenia, gdyśmy tu zeskoczyli z wierzb płaczących i rozpoczęli pisanie historii naszej przepocziwości, najnowsze światowo technologie mają być pierw zastosowane w Polsce. Tu i teraz. No więc mieliśmy, co tu kryć, nadzieję, że taki czippek, wtrysnięty nam przez pielęgniarkę, da nam nieco życiowego luzu. Że zacznie działać – pi pi pi – natychmiast, co zwolni nas choćby na chwilę z wysiłku podejmowania dowolnej decyzji. Łudziliśmy się, że Bill, którego tak lubimy z mnóstwa powodów, nieco problemów po prostu rozwiąże za nas. Że zdecyduje szybko i sprawnie, w choćby kilku kwestiach – w co się ubrać, co zjeść, pójść teraz w lewo czy w prawo, czy zagłosować bądź to na p. Kaczyńskiego, na p. Budkę, na p. Czarzastego, na p. Hołownię czy na kogoś innego – dziś już wszystko jedno na kogo. Czy w końcu czippek ten da nam znak, z kim

wypić i co, a z kim – broń Boże – nie pić. Doprawdy, w naszym wieku przejadło się nam bezustanne decydowanie, bynajmniej nie na kogo zagłosować, ale z kim się i czego napić. Tak, mamy dość tego i zaiste wiza, że kandydata wskaże nam p. Gates za pomocą cyfrowej modulacji, jest zupełnie kapitalna. „Idźże – powiadałby czip od p. Gatesa – zobacz się z tym tam, ale nie z tamym, dawno się z owym nie schlał, a to nie jest za ładnie”. Tak to sobie wyobrażaliśmy. I nic. To jedno.

Powiada się także – po drugie – że każdy czip ma rzekomo programik zniechęcający ludzi do rozmnażania. Że programik ten – pi pi pi – obkurczać ma ludzkość do roztropnych rozmiarów. Roztropnych? Jak dla kogo, my bowiem: najpocziwsi, zgodzilibyśmy się – owszem – by Ziemię naszą odciążyć z niepocziwych, by zlikwidować też – nazwijmy to tak – ludzką bioróżnorodność i ustalić, że nas pocziwców powinno być więcej, a nie mniej. W pozycji obronnej czekaliśmy więc na intymny sygnał, który by nas – he he – zniechęcał do czynności rozrodczych. Rzecz trzeba, że nawet jeżeli był on nadawany, to bardzo słabo i był zagłuszany przez tutejszą na ten temat arcywulgarną i obscurną kontrpropagandę. Można od niej nabrać do czynności rozrodczych niesłychanej odrazy, i wielu jej – rzecz trzeba – nabrało.

Po trzecie wreszcie, czwarte i piąte, mieliśmy nadzieję, że zgodnie z zapowiedziami po zastrzyku będziemy mówić po żydowsku, to znaczy wspaniale, że wyrośnie nam trzecie ucho i coś, cokolwiek jeszcze naddatkowego a wielkiego, i że choćby z tego powodu humor nam się choć ciupinkę poprawi. Nie poprawił się, a wręcz pogorszył, do czego przyczyniło się i to, że nie dostaliśmy za ten zastrzyk od tutejszych władz ani małowitrazowego samochodu, ani hulajnogi, choć ponoć dają i ponoć niektórzy dostają.

Po szóste, mieliśmy nadzieję, że efekty poszczepionkowe odetną nas na chwilę od komunikatów nadawanych przez p. Morawieckiego, p. Dudę bądź to p. Kaczyńskiego, zwłaszcza gdy ten ostatni znajduje się w swej powtarzalnej raz na jakiś czas tzw. fazie humanitarnej. Niestety. Wszystkie te frazy owych mędrców, w odróżnieniu od szczepionki, działają znacznie poważniej. Zmieniają nam i nie tylko nam masę mózgową w galaretkę owocową. Taka jest prawda o szczepionkach i rzekomej wszechmocy p. Gatesa z Ameryki. ©®

BARTOSZ MINKIEWICZ



weź, czytaj!

zanim zabraknie



* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny z siedzibą w Krakowie
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela
Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101
(w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska”, „Smak wolności”, „Zwierzenia zwierząt”, „Halo tu Ziemia”, „Dobre życie”, „Moc kobiet”, „Święto spotkania”, „Kryzys w Kościele”.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

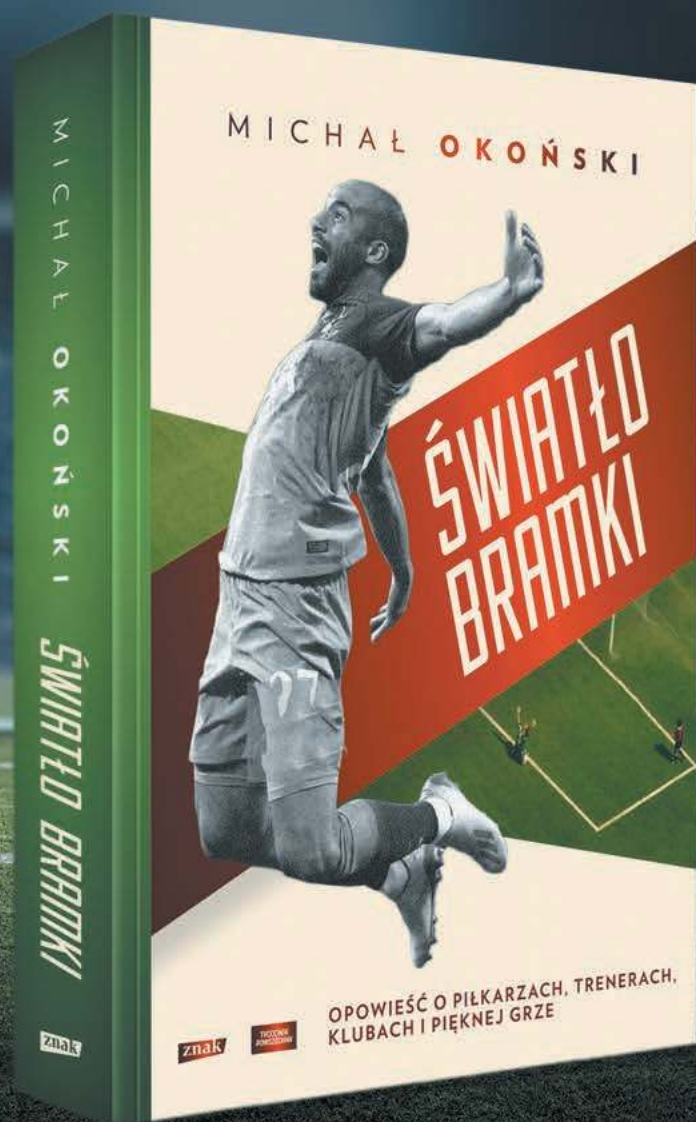
* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Wydawnictwo Znak i „Tygodnik Powszechny” polecają

ŚWIATŁO BRAMKI – NOWA KSIĄŻKA MICHAŁA OKOŃSKIEGO



**FUTBOL TO NIE TYLKO SPORT.
TO COŚ WIĘCEJ NIŻ PIENIĄDZE,
TRANSFERY I REKLAMY.
I COŚ WIĘCEJ NIŻ WYNIK.**

W książce, którą czytać można jak miłosne wyznanie, Michał Okoński opowiada o prawdziwym pięknie piłki nożnej. Opisując biografie najciekawszych piłkarzy i trenerów naszych czasów, analizując najważniejsze mecze, ale też zmagając się z jakże częstym w życiu kibica rozczarowaniem, tworzy niezwykle i czuły portret współczesnego futbolu. To książka o ludziach szukających w piłce absolutu, o doświadczeniu wspólnoty na trybunach i na boisku, o sile podnoszenia się po porażkach, o odwadze odnajdywania nowych rozwiązań i o tym, że cuda naprawdę się zdarzają.

**CRUYFF, MARADONA, MESSI, RONALDO,
LEWANDOWSKI, GUARDIOLA, BIELSA, KLOPP,
WENGER, FERGUSON I WIELU INNYCH.**

PREMIERA 2.06

Z kodem **TYGODNIKPOWSZECHNY**
33% rabatu na znak.com.pl.

Zamów już dziś!